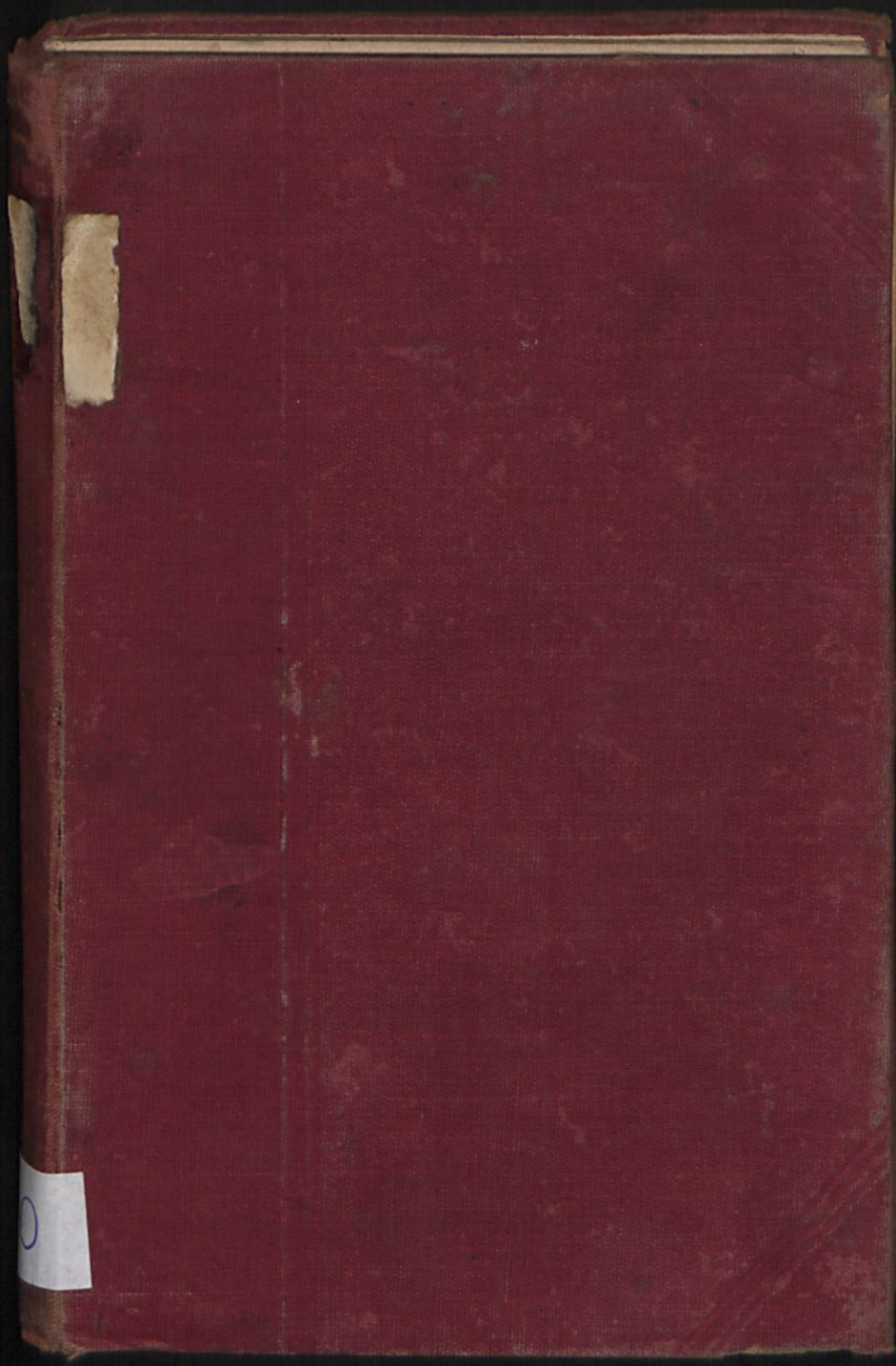




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Rocznie . (52 tomy) rs 13

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —

Półrocznie. (za 26 tomów). . . . „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów). . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,

Teodor Jeske-Choiński,

Dr. Julian Ochorowicz,

Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 554.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia „Biblioteki Dzieł Wyborowych,” Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

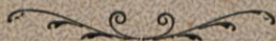
№ 109.

PRZELOTNE WRAŻENIA

z podróży do Rzymu

Juliana Mohorta.

(Z Hebrucyam!)



WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

—
1899.

91

Julian Mohort.

PRZELOTNE WRAŻENIA

z podróży do Rzymu.

(Z ilustracyami).



D- WŁADYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI

WARSZAWA.

DRUKARNIA

„Biblioteki Dzieł Wyborowych”

47. Nowy-Swiat 47.



KMB

410

810.4

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Октября 1899 года.

Książnica Zamojska



10258723

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

SŁOWO WSTĘPNE.

Autor tych szkiców podróŜnych nie ma najmniejszej pretensyi do głębokości.

Nie jeździł dla studyów, lecz dla rozrywki; opisy jego nie są teŜ natchnione jakimkolwiek celem poważnym, lecz tylko chęcią doznania wraŜeń—wraŜeń przelotnych.

Po naukę, po dokładne zbadanie krajów przebieganych odsyła on czytelnika do prac specjalnych. Jeżeli go nie znudzi, jeżeli mu pozostawi w imaginacyi ten lub ów obrazek podróŜny, żywszemi barwami skreślony—cel jego będzie osiągnięty.

Zastrzega się teŜ co do wniosków pośpiesznych.

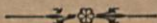
Wycieczka, o której mowa, miała miejsce przed dwudziestu laty; czytelnik więc zauwaŜy z przyjemnością, że wiele z opisywanych stosunków, zwłaszcza w Galicyi, zmieniło się od tej pory na lepsze.

Czy pod każdym względem?

To już do niego nie należy: badać nie miał zamiaru—chciał tylko widzieć,

Pozostało niezmicnione tło natury i ludzi, pomników i zabytków, które starał się jak najlepiej uprzytomnić w obrazkach.

Kto tej rozkosznej podróży nie odbywał — niechże ma przynajmniej słabą podobiznę wrażeń, jakichby mógł doznać. Kto zaś zwiedzał Włochy — dla tego, oby kartki niniejsze stały się miłym przypomnieniem.



WŁADYSŁAW KIERZALOWSKI

Przelotne wrażenia.

I.

Na równinach Mazowsza, nad piaszczystym brzegiem płowej Wisły i w wonnym cieniu sosnowych lasów, wykołysałem trzy marzenia młodzieńcze:

Po pierwsze: zobaczyć góry!

Ale góry prawdziwe, wielkie, pełne skał i przepaści, z rwącymi potokami u spodu i koroną śnieżystą u szczytu.

Życzenie to spełniło się: widziałem Tatry.

Powtóre: zobaczyć morze!

Morze olbrzymie, bezgraniczne, jakie widywałem na obrazkach, szalonemi falami rzucające okrętem, jak łupiną...

I to życzenie zostało spełnione: widziałem ocean.

Pozostawało mi jeszcze jedno: poznać kraj, „w którym cytryna dojrzewa,” kraj świątyń i cyprysów, marmurów i alabastrów, wspaniałej natury i wzniosłej sztuki. Zobaczyć niebo, opiewane przez poetów całej ziemi, zobaczyć Włochy.

„Chciałem,“ jak mówi W. Gomulicki:

„choć raz, choć raz, przy wiosła cichym szmerze,
Senny od kwiecia technień w weneckiej płynąć łodzi,“

Płynąć, gdy miasto ciska
Obłokom gwar i śmiechy,
Cyprysów pić oddechy
Gdy w rosie cały las...
Z pod naszej wzlecieć strzechy
Na strome skał urwiska,
I niebo widzieć zblizka
Chciałem choć raz, choć raz!“

Nie spodziewałem się wprawdzie zobaczyć „całego lasu cyprysów,“ bo o cyprysowych lasach z kądowną nie słyszałem, a wiedziałem owszem, że we Włoszech żadnych lasów nie ma.

Niemniej jednak mogłem pić oddechy choćby jakiejś alei cyprysowej i toby mi zupełnie wystarczyło.

Mogłem widzieć Wenecyi „gród syrenę“ w zwojach srebrnej mgły, mogłem podziwiać galerye Florencyi, starożytności Rzymu, widzieć Watykan i Kapitol, prawdziwą Wenus medycejską i prawdziwego Apollina, a we freskach Rafaela i Michała Anioła, nietylko niebu, ale i piekłu przypatrzeć się zblizka.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

* * *

Dla człowieka, który całe miesiące spędza między czterema ścianami swego pokoju, każda podróż ma w sobie coś niepodobnego do wiary.

To też dopiero, gdy z okna wagonu ujrzał

mogile Kościuszki i między kościołami Krakowa szczyt Maryackiej wieży, dopiero wtedy uwierzyłem, że jestem już w drodze, że oddycham szerszym, wolnym powietrzem.

— Co słychać w Krakowie? spytałem pierwszego znajomego, spotkanego na rynku.

Pytanie to zdziwiło go.

— Jak to, co słychać? A! chcesz może wiedzieć czy restauracya Sukiennic skończona? Jeszcze nie.

— O tem wiedziałem z góry.

— A! to zapewne jesteś ciekawy, kto pisał ten ostatni paszkwil na...

— Dajże mi pokój z paszkwilami, powiedz raczej, co robicie?

— Co robimy?... Ja idę do Hawelki, tam będą wszyscy znajomi.

— Dobrze, ale powiedz mi nad czem pracujesz?

— Zostałem radcą miejskim.

— Aaa! winszuję!

Widząc, że mój znajomy, który nawiasem mówiąc, dopóki mieszkał w Warszawie był dzielnym chłopcem, od czasu przeniesienia się do Krakowa przybrał minę zaspanego, pożegnałem go i poszedłem dalej.

Między czterema osobami przechadzającymi się na czterech rogach krakowskiego rynku, znalazł się i drugi znajomy, który już stanowczo wyglądał na lunatyka.

— Stój, gdzie idziesz?

— Na piwo, chodź ze mną, tam będzie cała inteligencja.

— Dziękuję ci, powiedz mi raczej, dlaczego wasz zegar wieżowy z jednej strony pokazuje 5 minut po dziesiątej, a z drugiej 20 na jedenastą? Któraż jest właściwie teraz?

— Właściwie, będzie już wpół do jedenastej, on tylko tak wskazuje, ale bije dobrze.

W samej rzeczy, gdyśmy to mówili, zegar uderzył wpół, a za nim w odstępach kilkominutowych trzy inne zegary powtórzyły to samo.

— Jakże możecie pozwolić, żeby zegar publiczny tak ludzi w błąd wprowadzał...

— E! cóż to znaczy, różnica nie wynosi nigdy więcej nad trzy kwadranse. Ale bądź zdrów, idzie ktoś z moich, widząc mnie z tobą mógłby mnie posądzić o liberalizm. Do widzenia!

— Do widzenia!

Spodziewając się ważnego listu, poszedłem na pocztę. Wskazano mi wejście do jakiejś brudnej dziu-ry, gdzie dwóch panów urzędników rozmyślało głęboko, podparłszy głowę rękami.

Pierwsze moje odezwanie się było bezskuteczne; po drugim, jeden z panów obejrzał się, z miną człowieka, któremu spać nie dają, lub poety, którego w chwili natchnienia odrywają do pospolitych zajęć.

Za pomocą kilku silniejszych apostołów udało mi się nareszcie wydobyć z pana „urzędnika,” że o niczem nie wie, że więc muszę jeszcze 2½ godzin przepędzić w Krakowie.

Dla człowieka, który widział wszystko, co w Krakowie jest do zobaczenia i który niema zamiaru szpe-

rać po bibliotekach, to rozpacz nielada. Ale cóż było począć?

Paweł ani pisał

Wrócił do domu i czapkę naciśnął.

Do domu, to jest do Hotelu Krakowskiego.
Zadzwońtem.

W pół godziny potem zjawił się staruszek z jowialną miną, przypominającą dawnych kluczników pańskiego dworu.

— Dlaczego dotychczas nie sprzątnięto? — spytałem hotelowego szambelana, który patrzył na mnie z wyrazem ospałego podziwienia.

— Dlaczego nie sprzątnięto? Aha, pan dobrodziej chce wiedzieć dlaczego nie sprzątnięto? Eee ba! bo to widzi pan dobrodziej, panna, młoda, a młodość to panie tego, ma swoje... eee ba! czy to pan dobrodziej myśli, że nie mówilem... no, no, mówilem panie najwyraźniej, że trzeba sprzątnąć.

— To mnie wszystko jedno czyś pan mówił, ale czemuż ta wasza panna nie przychodzi, kiedy dzwonię tyle razy?

— Eee ba! onaby przyszła, tylko widzi pan dobrodziej, zwyczajnie młode, stoi przed domem i rozmawia, bo widzi pan dobrodziej przyszedł do niej ten frajter z przeciwka... no, no, ale to nic, ona powinna przyjść; jeżeli pan dobrodziej pozwoli, to ja duchem pobiegnę i powiem, żeby przyszła.

— Ależ pozwolę, pozwolę!

Starowina chciał jeszcze prawić, gdym mu jednak przypomniał, że miał iść „duchem“, wygramolił się pomaleńku z pokoju.

W półtorej godziny potem weszła panna, majestatycznym krokiem lunatyczki i zaczęła udawać, że sprząta pokój. Była widocznie urażoną, że ośmieszono się odrywać ją od zwykłych zajęć.

Nie mając nic lepszego do roboty, a zwłaszcza, że dnia tego przedstawienia w teatrze nie było, wybrałem się do jednego z „przyzwoitszych“ (jak mnie zapewniano) *Caffés chantants*.

Jakto, Kraków poważny i pobożny, a jeśli wolno dodać: i śpiący Kraków, ma swoje *Caffés chantants*?

Tak jest, nieinaczej; ma, i to aż cztery odrazu. Rzecz przed dwoma jeszcze laty niesłychana!

Poczcwi krakowiacy wstydzą się tego wprawdzie, bardzo się wstydzą, bo nawet unikają miejsc naczelnych i siadają gdzie kto może, po kątach, ile możliwości przodem do ściany, ażeby ich ktoś znajomy, siedzący w drugim kącie nie podpatrzył.

Ale i na to zdobywają się tylko śmielsi i niewiele mający do stracenia w oczach opinii, albo jej całkiem nieznani. Ostrożniejsi, a do tych należy „wyższe“ obywatelstwo i inteligencya, przychodzą dopiero około 11-ej w nocy, zawsze jeszcze zajmując miejsca uboczne. Ponieważ jednak w sali są tylko cztery kąty, a pożądających schronienia liczba ciągle wzrasta, więc pomału cała sala wypełnia się gośćmi, siedzącymi ile możliwości tyłem do siebie...

Widok prawdziwie oryginalny!

I czegoż ci ludzie słuchają?

Oto najgłupszych w świecie szansonetek, śpiewanych przez niezdarne niemieckie lafiryndy, dymisjonowane z bud jarmarcznych Pragi i Pesztu, a któ-

re w Wiedniu śpiewałyby tylko na Praterze, pod gołym niebem.

Niemniej jednak jestto owoc zakazany, owoc, którego zakosztowanie uczyniło Kraków miastem europejskiem!

Wprawdzie artyści tych przybytków muzy, na grubym kamieniu wyśmiewają moralność i przyzwoitość, no, ale mniejsza z tem, zawsze to nie żadne farmazony, nie żadne prelegenty, a przecież lepiej, że śpiewają trochę tłuste piosenki, niż żeby prawili wolnomyślnie odczyty.

II.

Drugi dzień spędziłem lepiej, bo zwiedziłem między innemi instytut przemysłowo-techniczny, który pomyślnie się rozwija, szczególnie w dziale chemicznym, i który krakowianie radziby przekształcić na akademię techniczną w konkurencyi ze Lwowem. Ale dotychczas jestto *pium desiderium*, któremu staje na drodze *die finanzielle Lage der Monarchie* (wyrządzenie chroniczne, urzędowo aprobowane w całej dykasteryi ministerstwa wyznań i oświecenia).

Przy zwiedzaniu pracowni chemicznej okazano mi ciekawy przyrząd, ulepszony przez p. dyrektora Ziębińskiego.

Służy on do oznajmiania pożaru za pomocą automatycznego dzwonienia, a jest tak wrażliwy, że najlżejsze, byle tylko nagłe podniesienie temperatury, np. przez chuchnięcie na przyrząd, wywołuje silne dzwonienie na stacyi, trwające dopóty, dopóki otoczenie nie ochłodnie.

Zasada przyrządu bardzo prosta, polega na tem, że słup rtęci (żywego srebra) w wąskiej rurce, za ogrzaniem podnosi się jak w termometrze i dotykając pręcika metalowego, tworzy połączenie galwa-

niczne, które wprawia w ruch zwykły dzwonek elektryczny.

Ulepszenie zaś leży głównie w prostocie przyrządu, który daje się poruszać bardzo słabą a więc tanią baterią, a ma przytem i tę zaletę, że oznajmia nietylko o pożarze, ale także i o uszkodzeniu lub niedomknięciu rur gazowych, co może być przyczyną wybuchu. Jeżeli bowiem po pokoju rozejdzie się gaz węglowodorny, służący do oświetlania, wówczas wciśka się on przez porowate (gipsowe) denko bańki, zawierającej rtęć, ciśnię na jej powierzchnię, wywołując przejście prądu, które tak samo oznajmia się dzwonieniem.

Rozmyślając nad tem, czyby nie można wynaleźć równie automatycznych przyrządów do zastąpienia panów urzędników pocztowych, zaszedłem powtórnie do tej nietykalnej instytucji i zastałem obu panów, pogrążonych w jakiejś pesymistycznej zadumie.

Wyglądali jak gdyby byli na czczo, po przeczytaniu hartmanowskiej „Filozofii Nieświadomości“. Prawdopodobnie rozmyślali nad tem, jakim sposobem pozbywać się gości, używając w tym celu najmniejszej liczby wyrazów, wypowiedzianych najbardziej hipokondrycznym głosem. Ale mniejsza o czem myśleli, dość że mojego listu jeszcze nie było i że otrzymawszy tę bolesną wiadomość, postanowiłem jechać... do Wieliczki.

Było to wprawdzie w mojej podróży krokiem w tył, ale zważywszy, że „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu“, wsiadłem na pociąg, i odbywszy na przestrzeni kilkowiejskiej, trzy długie stacje (u nas

czas nic nie kosztuje), znalazłem się nareszcie na ziemi, kryjącej w swem wnętrzu nieobliczone bogactwa słonych skarbów.

Zaledwieśmy wysiedli, opadła nas chmara niejetnich *ciceronów*, która jednak rozpięzchła się szybko pod dotknięciem miejscowej straży ogniowej, widocznie przywykłej do tego rodzaju czynności.

W jednej chwili kilku *ciceronów* znalazło się za plotem, kilku na ziemi. Ci ostatni powstawszy z miną wytrwałych gladyatorów, zajęli się wyszukiwaniem swoich czapek, które siła odśrodkowa poroznosiła w różne strony.

Rozejrzałem się po przybyłych: było nas wszystkiego siedm osób, ale za to mieliśmy między sobą Anglika, prawdziwego Anglika, patrzącego z jednostajnym uśmiechem przez grube, złote okulary.

Był mi on przedsmakiem podróży po Europie, w której zawistne losy przytrzymywały mnie dotąd za poly.

Zaledwieśmy ruszyli ze stacyi drogą do odległego miasteczka, gdy jeden z małoletnich *ciceronów*, najmniej poszkodowany przy rozgromie, i który prędzej od innych odszukał swoją starą wojskową czapkę, niegdyś błękitnego koloru, przyczepił się do nas, ze stanowczem postanowieniem spełnienia swego posłannictwa.

— To, to, to, jest, proszę pana, ko-kościół — wybąkał nasz przewodnik, drepząc bosemi nogami po żwirze kolejowym — to jest u-urząd powiatowy; to szkoła chłopczańska, a tam gdzie widać ko-komin, to sól miela, a tam gdzie się dy-dymi, to się państwo będą spu-spuszczali, a tam hen jest a-apteka,,

— A tu trawa rośnie, wiem, dziękuję ci mój łaskawco, prowadź mnie tylko wprost do kopalni.

— Kiedy bo państwo te-teraz nie wejdą, aż dopiero o trze-trzeciej.

Masz tobie! Miła perspektywa spędzenia trzech godzin na bruku Wieliczki.

Ale nie było rady. Zwiedziłem tedy „dólny rynek“, zwiedziłem „górnny rynek“, posiedziałem na stosie belek, przypatrując się niebu, które miało pozór błękitnego talerza, poplamionego tu i owdzie białymi mydlinami chmur, zwiedziłem powtórnie „dólny rynek“ i nareszcie zaszedłem na obiad do restauracji, gdzie w obszernej altanie przy jednym ze stołów siedziało kilka osób, widocznie z miejscowej inteligencji.

Przy drugim stole siwy staruszek nic nie mówiąc rozkładał najrozmaitsze wyroby solne, krzyżyki, pieczątki, orły, wieże i beczulki, a za trzecim, mały czarny piesek niepokoił ociężałe kaczkę, natrętnie garncząc się do stołów.

Towarzystwo stanowili: otyły mężczyzna z wypukłymi oczami i ogromnym sygnetem na palcu, który każdym spojrzeniem objaśniał, że jest bardzo wymowny a jeszcze bardziej przystojny; mężczyzna cichy i wiecznie potakujący, który ożywiał się tylko na widok nowego kufła piwa, a gdy go skończył, odwracał się do skrofulicznej panny, mówiąc:

— Jeszcze jeden, ale mały!

(To słowo „mały“ wymawiał z naciskiem, ażeby go nie posądzono, że za dużo pije) i nareszcie mężczyzna trzeci, wyglądający stanowczo na radcę, który przy każdym odezwaniu się wykonywał ręką-

mi ruchy, niezbędne przy rozdawaniu kart, a gdy się ożywił, wówczas prawa jego ręka miała wszelkie pozory dźwigni ciskającej kulę w kręgle.

Towarzystwu tych trzech panów asystował nadto z pewną rewerencyą młodzieniec o bardzo małej głowie, wysokich kołnierzykach i zielonym krawacie, które bezustannie prostował i poprawiał, przybierając pozy efektowne i paląc długie *virginia*, od którego słómkę trzymał za uchem.

Rozmowa prowadzoną tonem konferencyi berlińskiej, dotyczyła układów pomiędzy municypalnościami Wieliczki i Podgórze w sprawie wydzielenia gruntu pod strzelnicę, co dało sposobność mężczyźnie o wypukłych oczach rozwinąć całe bogactwo swojej administracyjnej wiedzy, o wysadzonej komisji rzeczoznawców, o odezwach i referatach, jakie w tym przedmiocie wyekspensowano.

Mężczyzna cichy potakiwał wszystkiemu, zwracając co chwila żalostny wzrok ku skrofulicznej panie i powtarzając z pewnym rodzajem rezygnacyi:

— Jeszcze jeden — ale mały!

Czarny piesek tymczasem, znudziwszy się zapędzaniem kaczek, podbiegł do stołu i zaczął się upominać o posiłek.

— A ja państwu powiadam — wtrącił mężczyzna o wypukłych oczach — przechodząc wprost od referatów wysadzonej komisji — że takiego rozumnego psa jak mój nie ma w całym powiecie, a wiadomo państwu, że powiat wielicki należy do najobszerniejszych, samych gmin kastralnych ma 200 z okładem.

— Sto trzydzieści — bąknął radca, imitując rozdawanie kart palcami.

— Być może, być może. Otóż powiadam państwu, że takiego rozumnego psa nie ma w całym królestwie Galicyi i Lodomeryi. Jeżeli mu dać np. suchy kawałek chleba, nie zechce jeść, ale jeżeli ten kawałek potrzeć pierwaj o suchy talerz, pies chwytachciwie, bo myśli, że jest z masłem. Proszę tylko popatrzeć. Żolek chodź tu!

I to mówiąc potarł kawałek chleba, który pies połknął z apetytem.

— A teraz patrzcie państwo, daję bez pocierania.

Żolek i tym razem chwycił chleb bez namysłu i poczał z zadowoleniem strzydz uszami i machać ogonem, jak gdyby kompromitacya pana wcale go nie interesowała.

— E, bo widzicie państwo — rzekł niezrażony właściciel — on myślał, że ja już pierwaj pocierałem. O! to jest panie pies, jakiego w całej monarchii nie znajdzie!

— No, no, nie blaguj, nie blaguj, wtrącił radca, niby rozdając karty.

— Nie, nie, jak Boga kocham nie blaguję, ale wiesz radca co? Chodźmy na partyjkę kręgielków.

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę... chyba na jedną tylko.

— I jabym poszedł — wtrącił nieśmiało cichy mężczyzna — tylko chwileczkę zaczekajcie, zaraz idę: panieneczko! proszę jeszcze jeden — ale mały!

W tej chwili wszedł Anglik i poczał zakupywać solne produkty, któremi naładował wszystkie kieszenie.

Trzecia wybiła, trzeba było iść do urzędu i wpisać się na listę zwiedzających.

Towarzystwo było nieliczne i nie wiem, czy z tego powodu, czy z innego, dość, że p. sekretarz nie miał humoru i traktował nas jak przestępców, których miano wtrącić do podziemnych lochów kopalni.

Poubierawszy się w płócienne kitle i w sukienne ciemno zielone garybaldki, ruszyliśmy, w asystencji sześciu górników z latarniami, w głąb kopalni, po wilgotnych, ale zresztą bardzo wygodnych schodach.

Przedemną szła młoda para, którą już pierwей podejrzewałem o całowanie się na ławeczce, między drzewami wielickiego skweru; obecnie zaś zauważyłem, że unikała ona światła latarni i na każdym założeniu schodów oddawała się przyspieszonym uściłkom.

W ten sposób przeszliśmy ze trzysta stopni, zwiedziliśmy trzy wielkie komory, kaplicę w soli wykutą, wspaniałą salę balową, most Franciszka Józefa nad podziemną przepaścią, przepłynęliśmy stawem słonym na promie, przy oświetleniu fioletowym ogniem bengalskim, a nasza młoda para zawsze tylko wyczekiwała zagaśnięcia ogni, ażeby we właściwy sobie sposób skorzystać z ciemności.

Szczęśliwil

Tymczasem przewodnicy opowiadali nam, jak się odrywają „klopocie“ soli od ścian kopalnianych, jak się przerabiają na „bałwany“, jak się podpira „kaształami“ komory opuszczone przez górników i wreszcie jak wspaniałe wyglądają przepaście podziemne,

gdy jest „wielkie *usposobicie*” (to znaczy wielu zwiedzających) i gdy wszystkie światła zapalą.

Tyle już razy opisywano Wieliczkę! Lecz ażeby zrozumieć ogrom wrażenia w tych grotach — do którychby pół Krakowa można zsypać wygodnie — żeby poznać efekt światła, rakiet i szmeru, puszcanych pod sklepienia komór, lśniących solnemi bryłami, trzeba to wszystko widzieć i słyszeć samemu, tylko nie przy boku ukochanej istoty w pierwszych miesiącach małżeńskiego pożycia; bo co do naszej pary, to ta, jak sędzę, nie wyniosła z kopalni innego wspomnienia nad to, że chwilami było jasno a chwilami ciemno, i że te ostatnie chwile były o wiele przyjemniejsze od pierwszych.

Jeszcze słońce nie myślało zachodzić, kiedy po dwugodzinnej krętaninie, znużeni, zgrzani, przesiąknięci chłodną i słoną wilgocią podziemi, wydobyliśmy się na powierzchnię, czyli „do dnia”, jak mówią górnicy i zasiedli przed błogosławionym kuflem bawarskiego piwa.

Poprosiłem skrofulicznej panienki o jeden, ale duży, i nigdy jeszcze produkt chmielny nie wydawał mi się tak smacznym, jak wtedy.

W godzinę potem znalazłem się znowu na rynku krakowskim, list mój nadszedł nareszcie, a więc niewiele myśląc, pojechałem wprost na pociąg idący do Wiednia.

Wrażenia dzienne oddziały na mnie w ten sposób, że porozumiawszy się z konduktorem, rozłożyłem się jak długi i chrapnąłem.

Od czasu do czasu dolatywało jeszcze do moich uszu głośnie bremzowanie maszynisty, wołanie

konduktora, wyznaczające ilość minut i piskliwe krzyki dziewcząt po stacyach:

— *Frisch Wasser! Frisch Wasser!*

Potem wszystko gluchło na nowo, wśród monotonicznych drgań pociągu, a ja widziałem się unoszonym gdzieś w góry jakiejs ciemnej przepaści, oświeconej bengalskim ogniem i której otwór z góry zasypywano bryłami skal. Lada chwila wyjście mogło być zupełnie zasypane, a wtedy ujrzałbym się skazanym na głodną śmierć w tych ciemnych lochach. Na domiar nieszczęścia spostrzegłem, że jadę w górę przez powietrze, siedząc jak na koniu, na wielkim stalaktycie solnym, który ciągle topniał i olbrzymimi kroplami spływał na dno przepaści.

Już go było tylko ze dwa łokcie, tylko łokieć, tylko pół łokcia, i nareszcie stalaktyt stopniał w igłę, a ja, ujrawszy o dwa kroki nad sobą skrawek błękitnego nieba, zostałem stracony napowrót w przepaść i spadłem na łeb, na szyję.

— Gdzież jestem?—zawołałem tonem budzących się bohaterów scenicznych, uczuwszy nagle wstrząśnienie.

— *Preraul vierzig Minuten Aufenthalt!* — odpowiedział mi głos konduktora.

Dniało już i z za gór wychylały się złociste ząbki Febowego płaszcza, okazując mi najwyraźniej, że przespałem przeszło 8 godzin, nie odżywiwszy strudzonego ciała.

Wynagrodziłem to sobie z procentem, tak, że przybywszy do Wiednia, mogłem swobodnie wyjść na miasto i odnowić znajomość z austriackim Paryżem.

Znalazłem wszystko tak, jak było, nawet się ku starości nie nie pochyliło.

Owszem tu i owdzie coś odświeżono, coś dodano, jeden tylko *Votiv Kirche*, który przed kilku laty wyglądał jak cukrowe cacko na olbrzymim torcie, zczerniał i sposepniał.

Zresztą taż sama wspaniała Ring-Strasse, gotowa rywalizować z paryzkimi Bulwarami, tenże sam Prater kipiący ruchem i gwarem, całe tłumy omnibusów kolejowych, tenże sam sposób polewania ulic za pomocą grubych rur nawiniętych na olbrzymie dwukółowe motki, też same wiedenki o zalotnych twarzyczkach, wielkich biustach, jeszcze większych nogach i popsutych zębach, wszystko tak jak było, tylko... *Sperla* ¹⁾ już nie ma... pokój mu!

De mortuis aut nihil aut bene.

) Był to ogród i sala taneczna, miejsce schadzki niewybrednych cudzoziemców.

III.

Była to niedziela, a więc w alejach Prateru roilo się ludzi jak mrowia.

Rozkoszne miejscel

Wyobraź sobie czytelniku, że się znajdujesz odrazu na dziesięciu placach Ujazdowskich, podczas dziesięciu tygodni Wielkanocnych; dodaj do tego wszystkiego Bielany i Saską kępę podczas Zielonych Świątek, a będziesz miał pojęcie o tem, czem jest Prater w piękny dzień świąteczny.

Tu widzisz wielką budę z napisem: Teatr Czarodziejski, gdzie pokazują duchy; tam gabinet figur woskowych, tu rezyduje wróżka, przepowiadająca przyszłość za 10 centów, tam gabinet anatomiczny, ogród zoologiczny, *Cafée chantant*, kobieta olbrzym, potwór morski, dzicy ludzie, zrośnięte bliźnięta, tańczące i śpiewające, głowa mówiąca, człowiek włosami pokryty, człowiek z rybią łuską, tu cały dom jednopiętrowy kręci się naokoło osi, tam wirują karuzele konne i welocypedowe, a pomiędzy tem wszystkim co krok strzelnica, w której możesz strzelać do panny, do turka, do niedźwiedzia, do gołębia, do jajka, a za każdym celnym strzałem wyskoczy ci jakaś

awantura, otworzą się drzwiczki i ukaże się Niemiec z fajką, który uśmiechem i ukłonem „gratuluje“ ci strzału, spuszcza się ptaki jak żywe, wyjedzie kolej żelazna, da się słyszeć muzyka i t. d. i t. d.

Stanąwszy wpośrodku którejkolwiek alei, słyszysz jednocześnie kilka orkiestr, kilkanaście katarynek, kilka fortepianów, kilka przedętych śpiewaczek; pukanie kilkudziesięciu flowerów i krzyki kilku tysięcy nianiek i dzieci, nie licząc już handlujących owocami, piernikami, zapalkami, którzy starają się wszystkich przekrzyczyć.

W głębi Prateru na olbrzymim placu, z kąd gdzie droga do byłego gmachu wystawy, widzisz znów tłumy szkolnej młodzieży, które pod kierunkiem korepetytorów zajmują się puszczeniem ogromnych latawców, ginących w górze ponad drzewami.

Na prawo drogi głównej dojść można do *Aquarium*, ze wszystkich osobliwości Prateru najwięcej zasługującego na zwiedzenie.

W ostatnich czasach odnowiono je i wzbogacono starannie. Są tam całe rodziny małp, krokodylów, żółwiów, węzów i śliczny okaz psa albo cielecia morskiego (foki), który rozumnymi oczami okrągłej główki zdaje się rozmawiać z gośćmi, już to wynurzając się z wody, już pływając zręcznie po małym basenie.

W oszklonych grotach *aquarium*, przepysznie urządzonych, można podziwiać świat wodny od ryb aż do zwierzokrzewów.

Olbrzymie kraby strzygą tam swemi nożycami, ośmionogi wywijają przezroczystymi ramionami, pur-

purowe aktynie wysuwają i chowają koronę swych czulków, morskie koniki unoszą się i spuszczaą, a korale i inne polipy, gwiazdy i lilie morskie leniwo dają znak życia, niezdolne ocenić cudownej gry słonecznych promieni, w strumieniach ciągle odnawianej wody.

A ile tam jeszcze w głębi cudów mikroskopowego świata żyjatek, które nie tylko same nie widzą swych towarzyszków, ale i przez człowieka dojrzałe być nie mogą!

Tyle życia, tyle istot powstających i ginących jak bańka mydlana, pożerających byle co i przez byle co pożeranych, którym dano łasen w miej ce oceanu, a które nawet niezdolne są zrozumieć utraty jedynego dobra, jakie im przypadło w udziale: utraty wolności.

Gdyby nie ogłuszający wrzask papug, który po godzinnej wizycie, do rozpaczy doprowadza podróżnika, możnaby w aquarium pół dnia przesiedzieć, odkrywając coraz to nowe osobliwości, między sztucznymi skałami basenów.

Ale publiczność niezbyt licznie odwiedza pałacyk, kryjący naszych „przodków w Darwinie”, a natomiast tłumy gapiów zastać można zawsze przed budą, która nosi napis *die Hölle* (piekło) i gdzie za 10 centów znajdziesz wszystkie okropności, czekające grzeszników na tamtym świecie.

Dobrze jest zawczasu przygotować się do silnych wrażeń!

Ponieważ wszystkie większe teatry są zamknięte podczas lata, musiałem porzucić na letnim, lu-

dowym: Fürst-Theater, w którym grano już dzie-
ciąty raz z rzędu farsę p. t. „Szach w Wiedniu.”

Wiedeńczycy bawią się nią zapamiętale, ponie-
waż karykaturalnie wyśmiewa zapal bürgerских dam
względem Szacha, podczas jego ostatniego pobytu
w tem mieście.

Młodzi kochają się, ale nie mogą się pobrać,
ponieważ mamunia marzy o tem, że znane w całym
przedmieściu wdzięki córki, zwrócą na siebie uwagę
syna słońca, a z córką cała rodzina dostanie się na
dwór Szacha.

Korzystając z tej manii, kochanek przy pomo-
cy przyjaciół urządza maskaradę, mniemany Szach
nawiedza dom rodziców panny, zachwycą się nią,
wprawia w entuzjazm mamunię, ale cały urok
szczęścia nagle gaśnie, gdy Szach zabrawszy pannę,
oddaje ją w podarunku swemu ministrowi, którym
jest przebrany kochanek.

Cała ta farsa, grana jak wszystkie sztuki Fürst-
Theatru w żargonie wiedeńskiego ludu, wprowadza
widzów w nieklamany zapal, mimo, że niema w niej
ani dowcipu, ani talentu.

Wymęczony na niewygodnem krześle, wypra-
żony jak w łaźni, bo teatr nie ma porządnej wenty-
lacyi, przyczepilem się do jednego z przeładowanych
omnibusów i z rozkoszą odetchnąłem, znalazłszy się
nareszcie na trzeciem piętrze „Francuskiego Hotelu”,
który ma tylko tę jedną wadę, że piąte piętro trze-
ciem nazywa.

Nazajutrz o godzinie 9 ej rano byłem już na
dworcu kolei południowej, rozpoczynając podróż
przez kraj dotąd mi nieznany.

Miałem przed sobą 22 i pół godzin jazdy w jednym wagonie; ale trzeba przyznać, że na drogę z Wiednia do Tryestu nie jest to wcale zawiele; bogactwo wrażeń wypełnia cały ten czas tak przyjemnie, że zapomina się o znużeniu i stężeniu członków.

Góry pokryte winnicami i dziko rosnące akacje, dają już przedsmak południowego klimatu, a wspinała swem urozmaiceniem, droga kolejną po węzownicy na szczyt Semmeringu, arcydzieło sztuki inżynierskiej, przedstawia widok gdzieindziej w Europie niespotykany.

Natura dzika, ale tak zręcznie opracowana w ramki cywilizacji, że przepaście, wąwozy i strumienie nie budzą uczucia grozy, lecz tylko wrażenie wspanialej dekoracji; bo w tych bezludnych napozór ustroniach, spostrzegasz co chwila ślady ręki ludzkiej, słyszysz gwar życia.

Widok z wagonu, na pierwszych wiorstach drogi za Wiedniem, stanowi przejście od murów i ulic wielkiego miasta, do małych domków miasteczka, do małych domków wsi, skupionej na płaszczyźnie, i nareszcie do rozrzuconych szałasów wiejskich między górami, do ustroni cichych i dzikich.

A wszystko to białe, czyste, miłutkie, umajone bogatą zielonością, gdzieśniedzie ożywione olbrzymim kominem fabrycznym, który dym przenosi w obłoki.

Od miejsca kąpielowego w Baden, zaczynają się góry, a od Vöslau (gdzie się rodzi najlepsze wino austriackie), lasy.

Tu i owdzie wille na górach, uporczywie upra-

wianych, nawet tam, gdzie spadek wynosi prawie 45 stopni.

W oddali widać nagie szczyty Śnieżnej góry (Schneeberg, i okolica urozmaica się coraz bardziej.

Mijamy małe tunele i wiadukty, nieraz tak w połowie góry przyczepione, że nad sobą na prawo mamy górę i las, a pod sobą na lewo przepaść i las, i tak jedziemy między dwoma lasami, jak gdyby się ziemia w tem miejscu na jeden bok przechyliła.

Nagle ukazuje się przed nami dolina, w której kłęby dymu i mgły górskiej odsłaniają i zasłaniają co chwila, białe miasteczko z wesołemi domkami.

Dolinę obejmują góry pokryte iglastymi lasami, ale tak spadzisto, że korona drzew niższych opiera się o korzenie wyższych, a ponad tem wszyskiem ukazuje się szczyt większy i węższy od innych, jak głowa cukru, przepasana w połowie pierścieniem mgły.

Zaledwieś miał czas przypatrzeć się temu obrazkowi, gdy pociąg wpada w środek rzadkiego lasu, przez którego gałęzie, jak przez palce, widać przepaść, za przepaścią dolinę i wioskę, za doliną i wioską górę prostą jak ściana, pod którą najspokojniej w świetle porozkładały się głowy kapusty.

Odwróciłeś oczy na jedną chwilkę i już panorama się zmieniła.

Przed tobą trzy góry, jedna za drugą, a coraz wyższe; między niemi wije się ulica, a pociąg wdzie-

ra się wyżej i wyżej, zwalniając bieg i sapiąc, jakby ze zmęczenia.

Na stacyi zapalają już lampy, bo mamy ni mniej ni więcej tylko 15 tuneli do przebycia!

— *Alpenweiss! Alpenweiss!* — wołają dziewczęta, sprzedające białe, żółte i purpurowe kwiaty górskie, przymocowane na pręcikach, i całe bukiety uczepione u wysokich drabinek.

Ruszamy z miejsca i panorama urozmaica się jeszcze bardziej.

Przed nami cztery wierzchołki okalające biały pałacyk księcia Lichtensteina, potem mijamy jakąś wielką ścianę, skręcamy w lewo, a zawsze jeszcze pod górę, i wpadamy w tunel dłuższy od innych.

Za tunelem witają nas sosny i świerki, a za chwilę przydrożne sztachety odkrywają o dwa kroki przepaść, gdy tymczasem po drugiej stronie piramida skał i kamieni zdaje się co chwila grozić strąceniem pociągu w otchłań.

Wagony przechylają się, damy wydają okrzyki i czepiają się okna.

Uspokaja je z jednej strony widok silnej baryery, z drugiej mur podpierający górę; przebiegamy przez rodzaj mostu kamiennego i wpadamy znów w tunel.

Za tunelem krajobraz łagodny: zielony stok łąki i łany zboża, które po chwili ustępują miejsca nagim skałom, potem sklepionej galeryi, potem znów otula nas ciemność.

Posuwamy się ciągle jeszcze pod górę, zakre-

ślając węzownicę, pozwalającą widzieć w części drogę przebieżoną.

Jesteśmy na wysokości 780 metrów nad powierzchnią morza.

Pędzimy tunelem—i nagle przez otwór w ścianie sklepienia miga przed nami dolina, zaciśnięta stosiem lasów, i znów zapada ciemność, wśród której rozlega się tylko przeraźliwy świst lokomotywy.

Nareszcie wychylamy się do światła i stajemy; to Brettenstein.

Za stacją nowe tunele doprowadzają podróżnika do rozpaczy.

Zaledwie rzuciłeś okiem na rozkoszny krajobraz, umajony wieńcami świerków, brzoź i akacyj, zapada czarna kurtyna i wszystko znika.

Mijamy olbrzymi wiadukt, długi na 218 metrów, wysoki na 46!

I znów widok się rozszerza.

Z prawej strony żółte skały, na lewo dwie prostopadłe góry, gęstą sukienką krzaków okryte, a między niemi i nad niemi, jakby most niebieski rozparła się barwista tęcza; pod górą jamy tunelów otwierają czarne swe paszcze, a niżej wesola szachownica pól uprawnych i łąk zielonych, świeci odbłaskiem zniżającego się już słońca.

I znów wszystko znika w ciemnościach tunelu, po za którym wjeżdżamy najspokojniej między grzędy ziemniaków, potem między nagie skały żółte, między szare łupki gliniaste, między czarne, okopcone ściany nowego tunelu i nareszcie otaczają nas

zabudowania stacyi Semmering, przybrane w wieńce, girlandy i chorągwie.

Ażeby uniknąć wdzierania się jeszcze wyżej na górę, przebito ją tunelem długim na 1,480 metrów, na którego przejście pociąg potrzebuje całe 3 minuty.

W tem miejscu droga żelazna osiąga swój punkt kulminacyjny: 881 metrów nad powierzchnią morza.

Jesteśmy u bram Styryi.

Za stacyą, na rozległych łąkach pasą się białe woły z wielkimi rogami.

Stogi siana okalają brzegi bystrej rzeczki Mürz, a w głębi doliny ukazują się rozrzucone domki miasteczka kryte gontami.

Na stacyi spostrzegam kilka dam w białych jak śnieg kapeluszech i znów ruczamy dalej między zagony zielonego jeszcze owsa.

Tu droga zaczyna się obniżać, ale nie przestaje być ciekawą. Piękne doliny *Mürz*, rozległe fabryki broni w *Mitterdorf*, pałace innych *dorfów*, *bergów* i *eggów*, wszystko to urozmaica widok, nie dając oczom wytchnienia.

Wreszcie, od nudnych parowozu trzęsień,
Stępiało ucho i oko—myśl zbladła,
Rozluźnił ściągną swe karkowy mięsień
I głowa, słabo się broniąc, opadła...

Spałem.

Gdym się obudził była piąta rano; zbliżyliśmy się do Tryestu.

IV.

Krajobraz tryesteński ma już wszelkie cechy południa. Mimo, że cała okolica jest skalistą, roślinność tak bujna, że zaciera wrażenie dzikości.

Drzewa niskie, gęste, przysadziste, odbijały czarno od skał zarumienionych odbłaskiem wschodu.

Nagle, w chwili gdy pociąg nasz pędził między dwiema kamiennymi ścianami, skały rozstały się i wzrok utonął we wspaniałym, bezbrzeżnym widoku morza.

Co za miła niespodzianka!...

Adryatyk w tem miejscu przedstawia niezwykle urok. Pociąg biegnie tuż nad brzegiem, który obficie pokrywają drzewa figowe, oliwne i wiśna latorośl, a z oddali, w półkulistych załomach gruntu, wciskającego się w morze, ukazują się najprzód białe pałacyki i ogrody, a potem wspaniała zatoka Tryesteńska, z częściowym widokiem na miasto.

Morze tu ciche i błękitne jak jezioro, a na niem błyszczą w promieniach słońca żółto-pomarańczowe żagle łódek, malowane w gwiazdy i pasy.

Nie dano nam długo napawać się tym widokiem,

Po małym przystanku w Grignano, gdzie na skale wystającej wśród morza wznosi się śliczny biały pałacyk Miramar, w kilka minut byliśmy już pod dachem tryesteńskiego dworca.

Na kolei dorożek nie było, wsiadłem więc w pierwszy lepszy omnibus hotelowy z godłem *Aquila nera* (czarny orzeł).

Dano mi pokój frontowy, wychodzący na główną ulicę Corso, dzielącą stary Tryest od nowego. Ten ostatni rozpościera się nad morzem, ma szerokie ulice, prostopadłe i równoległe ułożone, miasto zaś stare, z wązkami i spadzistymi uliczkami, sięga pod górę, na której spadkach tulą się liczne i piękne wille, z widokiem na oba wgłębienia zatoki.

Tryest jest tem samem dla Austrii, czem Hamburg dla Niemiec: ogniskiem portowego handlu. Nie ma jednak bynajmniej tej barwy międzynarodowej, jak np. Odessa, jest owszem miastem jednolitem, czysto włoskiem.

Ludność słowiańska z okolic przybywająca, dostarcza tylko robotników i drobnych handlarzy, włączających się z osłami przez ulice miasta, ale języka słowiańskiego nie słychać, tak zresztą jak i niemieckiego.

Jesteśmy jeszcze w Austrii, jesteśmy na ziemi słowiańskiej, ale w mieście czysto włoskiem.

Tryest liczy z górą 100,000 mieszkańców a przez port jego przepływa rocznie 15,000 okrętów. Mają one ułatwiony przystęp do samego miasta, bo w ostatnich czasach urządzono wielki kanał o kamiennych brzegach, sięgający w głąb ulic.

Bruk wszędzie wyborowy, kostkowy, chodniki także wygodne, z wielkich kostek, a ruch po nich bardzo znaczny, już z przyczyny handlu, już dlatego, że jak każde miasto portowe, a w szczególności włoskie, Tryest ma całe tłumy próżniaków, którzy włóczą się z kąta w kąt, lub zalegają ulice, jedząc kawony i śliwki.

Owoce tu bardzo tanie, a i wyroby przemysłu, głównie z Włoch sprowadzane, odznaczają się niezwykłą taniością.

Ktoby jednak przybywał z Włoch, nie znając tutejszych stosunków, mógłby sądzić przeciwnie, a to z następującej przyczyny:

W wystawach sklepowych, bardzo licznych i gustownych, wszędzie poumieszczane są ceny z napisami: 10, 20, 30 soldów i t. p. Sold we Włoszech znaczy 5 centimów, czyli przeszło 2 krajcary austriackie. Włosi zaś z Tryestu, chcąc liczyć po narodowemu, a mając w obiegu tylko guldeny i krajcary, nazwali jeden krajcar soldem, i ztąd ceny wydają się w stosunku do włoskich podwójne, choć są rzeczywiście nieraz nawet niższe.

Oryginalny wygląd mają omnibusy, krążące bezustannie wzdłuż Corso, ku ogrodowi miejskiemu Giardino publico i innym miejscom odleglejszym. Są one po większej części bez ścian, tylko z daszkiem i kolorowemi firankami, które chronią od słońca.

W całym mieście znać już ten ucisk słoneczny, tak dokuczliwy w miastach włoskich.

Wszystkie okna mają zielone story, cały dzień zamknięte. Otwierają je dopiero wieczorem i zale-

dwie wtedy domy ożywiają się, odkrywając swe wnętrza.

Ażeby lepiej przypatrzeć się mieszkańcom, zasiadłem przed kawiarnią na Piazza Grande, gdzie mi podano wyborne i tanie lody.

Przewinęło się osób niemało, mężczyzn i kobiet, starych i młodych, wykwintnych i obdartych, a rezultat obserwacyj był ten sam, co i we wszystkich miastach włoskich, t. j. że typ przeciętny mężski jest piękny, kobiecy zaś brzydki i że nigdzie nie spotkasz tak wielu starych kobiet, jak we Włoszech.

Wcześniej one dojrzewają, ale też bardzo wcześnie więdną i wtedy cała postać staje się czarną, kościstą, odrażającą.

Czystością wogóle Włoszki nie grzeszą, a skwarne słońce dopełnia reszty.

Czarny kolor włosów jest panujący, ale pleć ciemna przeważa tylko w klasach pracujących; kobiety klas próżnujących, które ukazują się tylko na wieczornych przechadzkach lub w teatrach, mają pleć białą, ale zapewne niezbyt piękną, bo malują się tak okropnie, że aż litość bierze patrzeć. Celują w tem szczególnie wenecyanki, chociaż, Bogiem a prawdą, te by jeszcze najmniej tych dodatków potrzebowały, bo trafiają się między niemi typy prawdziwie piękne, pozwalające wierzyć, że te, które podziwiamy w galeriach, nie były wyłącznie wytworem fantazyi artystów.

Ale i w tej gałęzi sztuki talent jest rzeczą niezbędną, a Włoszki wcale go nie posiadają. Jeżeli się już malować, to przynajmniej tak, jak paryżanki, z pewną elegancją, z pewną dyskrecją; Włoszki zaś

w sztuce malowania twarzy są zbyt krańcowymi realistkami i jeśli malują rumieniec, to już taki, że go poznasz o dwadzieścia kroków, a jeśli się która ubieli, to już tak dokładnie, że nie dalbyś jej więcej, jak trzy ćwierci do śmierci.

Deszczyk zaczął padać obficie, odświeżając zieloność drzew nadbrzeżnego ogródka, po za którymi sterczały maszty portowych okrętów; plac przerzedzał się stopniowo i tylko chude, czarne owocarki z wysokimi koszami na głowie przemykały się przez ulice, podkasując i tak już krótkie suknie.

Deszcz lał coraz większy i wracając do hotelu, musiałem szukać schronienia w bramie pierwszego lepszego domu, gdzie zwyczajem włoskim szewc uliczny rozłożył swój warsztat.

— *Che brutto tempo! che brutto tempo!* — narzekała czarnooka dziewczyna, przynosząc swój dziurawy trzewik na kurację do pana majstra — „ależ to czas szkaradny, zupełnie jak w zimie!“

Szczęśliwy kraj, w którym deszcz tylko jest znakiem zimy!

Pod wieczór jednak wypogodziło się i mogłem odbyć wycieczkę wzdłuż portu.

Na kamiennym bulwarze roili się majtkowie i lazarony, w ubraniu o ile możności uproszczonem, statki przyływały i odpływały, świszcząc przeraźliwie i szumiąc kołami, maszty zmoczone przez deszcz białły stopniowo na słońcu, a z oddali dolatywał śpiew marynarzy i echo jakiejś orkiestry.

Rybacy zaciągali sieci w nadbrzeżnej głębi, zmęczonej ulewnym deszczem, a gromady chłopców i dziewcząt wylegiwały się na mokrym piasku, grając

w kości, pogryzując arbuzy, albo kłócąc się i gięsty-
kulując zawzięcie.

Na prawo, na górach wychylających się w głąb morza, jaśniały małe wille i pałacyki, w oknach swych odbijając czerwone blaski zachodu, a wokół nich drzewa oliwne i figowe, bukszpany i oleandry, odświeżone niezwykle hojnym deszczem, rozsiewały woń delikatną, od strony morza tłumioną zapachem ryb i schnących masztów.

Stałem na mostku kamiennym, który przegradza kanał wielki, idący ku środkowi miasta i rozejrzałem się po niebie.

Cale sklepienie od góry było ciemne, paląco-brunatne.

Na wschodzie tylko pozostało kilka popielatych i srebrno-białych chmur, podmałowanych z boku czerwono, a od zachodu cały widnokrąg skrzył się i palił, jakby kto na nim setki pasowych płomieni porozpinał i złączył, a wyżej poszarpał w milionowe strzępki złota i purpury, przymocowane zakłętymi piorunami do stalowego tła nieba.

Pod tem wspaniałem okryciem, niebiesko-zielone morze marszczyło się i kołysało spokojnie, odbijając lunę zachodu.

Za chwilę stalowe tło nieba zaczęło brać górę nad brunatnem, srebrzyste chmurki rozpląły się w zachodnim ogniu, jeszcze tylko przez szpary wyglądały ostre smugi blasków, nareszcie i te znikły, pozostawiając brudną lunę, jakby zmaconą kłębam mgły i dymu.

Promienie gwiazd zaczęły przebijać stalowy pulkerz nieba, a na cyplu *del malo Giuseppine*, zajaśnia-

ła latarnia morska, rzucając słabe swe blaski w nie-
skończoność.

Skierowałem się ku Giardino publico.

Tuż obok wspaniałego ogródka, w którym wszystkie cieplarniane krzewy naszej warszawskiej „Pomarańczarni” wyrastają we wspaniałe drzewa i klomby, a który teraz czerniał tylko gałęzmi swoich rododendronów, fikusów i pistacyj, wiedzie krótka uliczka do wdzięcznego budynku: Politeama Rosetti, gdzie dawano tego wieczoru 5-cioaktową komedię del signor Domenico: „Un passo falso” (Krok fałszywy).

Wnętrze teatru, znacznie większe od naszego Wielkiego, przedstawia się nadzwyczaj gustownie.

Sufit o ruchomem sklepieniu (którego wycinki kryją się w głębi, odsłaniając ciemny szafir nieba, albo też bywają zsuwane ku środkowi, gdy jest obawa deszczu), ozdabiają poniżej, pięknie malowane i umieszczone w okrąg portrety kompozytorów i autorów, głównie włoskich.

Miejsca nie żalowano nigdzie, tak, że oprócz siedzących, jeszcze prawie drugie tyle stojących widzów teatr pomieścić może. Ale tym razem nie było kłopotu o miejsca, bo osób zebralo się zaledwie parę setek, to znaczy, iż teatr był prawie pusty.

Bawiono się jednak dobrze.

Publiczność widocznie kocha swoich aktorów, bo wejście każdego z nich bez wyjątku przyjmowała oklaskami, a i sztukę oklaskiwano zapamiętale.

Treść jej, nie nową, stanowią skutki megalomanii młodego hrabiego z ubogą dziewczyną. Tajemne

małżeństwo sprowadza szereg upokorzeń ze strony rodziny, a podejrzenie niewiary dawniejszej rozdziera nawet stosunek miłosny małżonków i sprowadza katastrofę, w której, jako czynnik ostatecznie pojednawczy, występuje dziecko.

Obok przewlekłych dyalogów, ma ta komedia sceny szczęśliwe, z których jedna szczególnie rzuca się w oczy, robi wrażenie na widzu. W ogrodzie dwie matki pieczą swoje dzieci, jedna jawnie na tarasie pałacowym, druga skrycie w ocienionej altanie. Dla jednej macierzystwo jest chlubą, dla drugiej hańbą, a ten gorący wylew jednakich uczuć tak odmiennie przez świat uważanych, wyradza w pieśniedach obu matek, w ich apostrofach do dzieci, przeciwieństwo niepozbawione grozy i poezji.

Przy dobrej grze aktorów, nie dziw, że publiczność z gorącym współczuciem śledziła za rozwojem akcji, i że ostateczny ucisk przebaczących sobie wzajem małżonków, przyjęty był entuzjastycznymi oklaskami.

Krytyk jednakże, rozmyślający nad wrażeniem sztuki, musiał dojść do przekonania, że autor niezbyt szczęśliwie wywiązał się z zadania.

Sztuka jest mocno tendencyjną, to widoczne; ale nie łatwo powiedzieć, jaką mianowicie jest ta tendencya. I wysłuchawszy całej komedii uważnie, pozostajesz jeszcze w wątpliwości co do tego, który to był ów „Krok fałszywy.“ Czy ten, że młody hrabia zakochał się w kobiecie, która już miała kochankę, czy ten, że się z nią ożenił, czy ten, że ona zgodziła się na małżeństwo, znając dzielącą ich przepaść?

W każdym z tych kierunków tendencya napotyka szkopał, o który się rozbija.

Ale mniejsza z tem, pogodzili się, żyją dalej szczęśliwie, niechże im będzie na zdrowie.

A *propos* zdrowia. Zanim opuszczę Tryest (w którym musiałem jeszcze dwa dni pozostać, czekając na statek, idący do Wenecyi), chcę cię ostrzedz czytelniku przed jednym produktem, który tu jest w ciągłym użyciu, a którego twoje północne podniebienie nie zniesie bezkarnie.

Kazawszy sobie podać kawę w pierwszorzędnej kawiarni, otrzymałem, jako dodatek do niej kieliszek jakiejś mieszaniny, podobnej do stosu kożuszków z gotowanego mleka, tylko w formie żółtawych tłustych gruzelków.

Nie miałem odwagi domieszać tego specyału do kawy, ale gdy mnie zapewniono, że to jest *molto buono*, spróbowałem.

Dodatek ów, zwany „pana,” uczynił mi kawę niemożliwą do użycia i od tego czasu, żądając jej w Tryeście, musiałem dodawać z naciskiem: *ma senza pana!* to znaczy bez owego pseudo-śmietankowego dodatku.

Nareszcie nadeszła upragniona sobota i jedenaśta godzina w nocy.

Zniosłem swe manatki na pokład i przyglądałem się miastu.

Dzień był pochmurny, mgła nakrywała domy i wieże, tu i owdzie migotały tylko światła.

Podróżni ciągle jeszcze przybywali.

Nareszcie zdjęto kładkę portową, maszyna zahuczała, rozległ się przeraźliwy świst jeden, drugi

i trzeci, i skrzydła olbrzymich kół uderzyły w powierzchnię morza, bryzgając kłębamii piany.

Wyłynęliśmy z portu, szybko tracąc z oczu latarnie nadbrzeżne i za chwilę owinęła nas ponura, ale spokojna i cicha ciemność morza i nieba, zlaných w jedną całość.

Miałem z sobą flakonik morfiny z kwasem pruskim, zalecany mi specyfik na morską chorobę, ale mimo chmur i niepogody morze było tak ciche i gładkie, a statek nasz sunął się tak równo i sztywno, przeżynając drobne fale, że o morskiej chorobie nawet mowy nie było.

Patrzac na te łagodne smugi zmarszczek, pokrywających cichą głębię, anibyś pomyślał, że tego samego dnia rano, w tem samem miejscu, które przepływamy, szalona trąba morska pochłonięła łódkę, a w niej 12 ludzi, z których tylko jednego wyratowano!

W tej chwili nie było na co patrzeć. Mgła zakrywała wszystko, a zimny wiatr rozsiewał po pokładzie drobne krople wody.

Udałem się więc na spoczynek przy akompaniamencie miarowego łoskotu kół i szumu pary.

O piątej rano miałem zobaczyć gród syrenę, królowę mórz...

Zaledwie świtało, gdym się zbudził.

Chmury pokrywały jeszcze widnokrąg i tylko na jego krańcu, przed nami, jaśniał kawalek włoskiego szafirowego nieba, a pod niem ukazywały się zdała białe i żółte punkciki masztów, zdradzające bliskość... nie lądu, bo lądu stalego tam niema, ale miasta, pływającego wśród morza.

Wszystko co żyło wybiegło na pokład.

Większą część podróżnych stanowiły młode i od-
młodzone pary małżeńskie, które zamiast „chatki pu-
stelniczej,” jak to bywało podobno dawniej, za „le-
pszych” czasów, potrzebowały aż hotelów weneckich,
ażeby spędzić odpowiednio najmiłsze i, niestety! naj-
krótsze chwile wspólnego życia.

Do tych uśmiechniętych par przyłączyła się gar-
stka podróżników zwykłych, o kwaśnych minach,
pilnujących starannie swych bagaży, kilka krzykli-
wych Angielek, które chciały wszystko widzieć i wie-
dzieć, co chwila radząc się ogromnego Baedekera
w czerwonej okładce i nareszcie stary Grek w ture-
ckim fezie, który zasiadłszy na składanym stolku, na
drugim zaparzał sobie kawę w maszynce spirytuso-
wej, nie zważając ani na morze, ani na ludzi, i nie
zdradzając ani zadowolenia, ani niechęci.

Kapitan statku, wysoki z rudawą brodą mężczy-
zna, stał pod masztem z założonemi rękoma, spoglą-
dając martwo przed siebie, a riepodał od niego chło-
piec okrętowy, widocznie japońskiego pochodzenia,
głupowate spojrzenie przerzucał to na krzykliwe An-
gielki, to na kawę, przyrządzaną w sposób turecki
przez Greka.

Od strony zachodu tymczasem zaczęły się wy-
nurzać z wody zarysy kilku wież wązkich i jednej
kopuły, potem drugiej, potem wychyliły się jakieś
długie, żółtawe zabudowania, potem namioty kapielo-
we i szeregi słupów i murów sterczących z morza,
wreszcie wjechaliśmy w stado łódek z pomarańczo-
wymi żaglami, statek na chwilę zatrzymał się i przy-
płynęła do nas czarna gondola, z której wysiadł urzę-

dnik policyjny w czarnym fraku i czarnym kapeluszu stosowanym, osadzonym po napoleońsku, przejrzał księgi okrętowe, pomacał kuferki i popłynął na powrót swoim kosztem.

Do statku tymczasem zbiegły się gondole, jak igły do magnesu i rozpoczął się wrzask, trudny do opisanja.

— *Alla barca signore!*

— *Alla gondola signorina!*

— *Alberga (hotel) Italia!*

— *Hotel Beau Rivage!*

— *Vittoria! Luna! Città di Monaco!*

— *Avancez messieurs!*

— *Già è! Già è!*

Dodajcie do tego przyjacielskie kłótnie gondolierów, którzy wymyślają sobie już nietylko z potrzeby, ale poprostu dla wprawy w języku, a raczej w żargonie miejscowym, wydzierania i podawania kuferków przez szeregi łódek, cisnących się jedna za drugą, upomnienia władzy okrętowej i nareszcie okrzyki zakłopotanych dam, którym każdą paczkę wpakowano na inną gondolę, a będziecie mieli pojęcie o rozgardyaszu, jaki panował przy wylądowaniu.

Mając polecenie do hotelu Monaco, kazałem się tam powieźć gondolierowi (płaci się franka od osoby) i w trzy minuty byłem już u stopni kamiennych hotelu, którego właściciel ze słodziutką miną witał swych gości na progu.

Kto pierwszy raz zobaczy Wenecję, ten z pewnością nie będzie myślał o spoczynku; to też i ja nie przebierając się nawet, pomimo całonocnej podró-

ży, pobiegłem przedewszystkiem na miasto, rozejrzeć się choć powierzchownie.

— Więc jednakże można „chodzić” po Wene-
cyi? — zapytasz czytelniku, nasłuchawszy się opowia-
dań o wodnych ulicach.

— Tak jest, chodzić można, ale proszę poslu-
chać z jakim skutkiem.

V.

Nie dziwota, że wyszedłszy z hotelu chciałem zejść najprzód na plac św. Marka.

Mój plan bedekerowski wskazywał mi, że plac znajduje się tuż w sąsiedztwie hotelu i że należało mi tylko obejść dwie czy trzy uliczki.

Ale wszedłszy w te uliczki, szerokie na trzy łokcie, a jednak zastawione tysiącami straganów z owocami, biżuteryami i wachlarzami, widząc nad sobą zaledwie kawałek nieba, a przed sobą nie prócz ścian i ścian, zacząłem się kręcić wokół placu, nie dochodząc do niego i nie widząc go, choć był o trzy kroki.

Tym razem wprawdzie nie zależało mi na szybkim dojściu, ale komu czas drogi, ten nigdy po Wenecyi pieszo chodzić nie powinien. Te bowiem wąskie uliczki, nieraz literalnie tylko na jeden metr szerokie, nie mają ani nazw, ani żadnych znaków szczególnych, a powzięcie z góry informacyi o kierunku, do niczego nie prowadzi, ponieważ co pięć kroków musisz skręcać i to z konieczności nieraz na prawo, wtedy, gdy chcesz iść na lewo; a często jeszcze trafi się, że przeszedłszy w bok, dochodzisz do schodków,

przy których możesz się wykąpać, ale nie przejść dalej.

Na dobitek, te suche dróżki między wysokimi domami bezustannie przerywane są przez wzniesione mostki kamienne i przez ulice wodne, nieco szersze, tak że wszędzie widząc naprzemian kamienie i wodę, wodę i kamienie, tracisz głowę i gdybyś nie znał języka, mógłbyś chodzić cały dzień wokółko na przestrzeni paruset metrów kwadratowych.

Szczęściem, przynajmniej dwa miejsca mają ułatwione dostanie się do nich suchą nogą, są nimi: poczta i stacya kolei żelaznej.

W głębi miasta, wszędzie na domach namalowane są strzałki z napisami: *via alla Posta! via alla strada ferrata!*

Lecz ażeby dojść według tych napisów, nie powinieś oka z nich spuszczać, bo przynajmniej ze sto razy będziesz musiał zmienić kierunek.

Na 15,000 domów (po większej części pałaców), Wenecya posiada 147 kanałów czyli ulic wodnych, pozbawionych zupełnie chodników, gdyż woda omywa ściany bezpośrednio.

Te kanały dzielą miasto na ni mniej ni więcej tylko 117 wysepek, a liczby ulic suchych na które dzielą się te wysepki, to i zliczyćby trudno, bo nie wiadomo, co właściwie uważać tu za ulicę?

Ludność wynosi obecnie tylko 128,000, podczas gdy pod koniec XV-go wieku Wenecya miała z górą 200,000 mieszkańców.

Była wówczas wielką republiką, potężną w pokoju i wojnie, była ogniskiem handlu dla całej kuli ziemskiej, posiadała 300 wielkich okrętów, 3,000

mniejszych i 20 kilka tysięcy marynarzy, nie licząc 11,000 wojowników morskich na 45-ciu galerach!

Lecz od chwili założenia państwa Osmańskiego i odrycia drogi morskiej do Indyj Wschodnich w XVI wieku, Wenecya zaczęła upadać, nie przestając być jednak tem, czem była zawsze: najcudowniejszem miastem na świecie.

Stoimy na placu ś. Marka, *Piazza di San Marco*. Przylega on tuż do morza przez swe przedłużenie, zwane placikiem: *Piazzetta*.

Trudno sobie wyobrazić piękniejszą dekorację gmachów nad widok ze środka placu.

Jest to niby szopka, lśniąca od złota i marmurów kolorowych, a przecież nie możesz jej odmówić powagi i wdzięku.

Trzy boki olbrzymiego prostokąta a raczej trapezu, (bo plac nie jest foremny), a mianowicie dwa najdłuższe i jeden najkrótszy, zajmuje jednym ciągiem wspaniałe gmach o dwóch wielkich piętrach z kolumnadą i pasażem u dołu.

Ten pasarz, pod cieniem kolumn, kryje całą publiczność (bo po samym placu dla skwaru słonecznego nikt nie chodzi) i setki sklepów małych, ale z tak pięknymi i bogatymi wystawami, że co chwila musisz przystawać i podziwiać.

Najwięcej miejsca zajmują składy jubilerskie.

Sławne weneckie łańcuszki, broszki, kamee, kolczyki, pierścienie i kolie mozaikowe, flakoniki ze szkła inkrustowane pstrokato i złocisto, lustra weneckie w zwierciadlanych ramach, wachlarze najpiękniejszych barw i najdziwniejszych kształtów, całe stosy srebra, złota i drogich kamieni, a wszystko to

w stosunku do naszych cen bardzo tanie i pełne gustu.

Sklepy jubilerskie przeplatają wystawne kawiarnie, księgarnie, fotografie, składy perskich dywanów, wschodnich i lionńskich jedwabi, a w każdym znaleźć możesz w portretach, rzeźbach i odlewach wasatą twarz króla Humberta i śliczne rysy Małgorzaty. Włosi kochają się w swej pięknej parze królewskiej, przeniósłszy na nią znaczną część tego serdecznego poszanowania, jakim się cieszył zmarły *re galantuomo*.

Cały ten wielki gmach, otaczający plac w trzech czwartych, jest z marmuru, zczerniałego pod wpływem czasu, a cała posadzka placu z płyt trachitowych.

Pałace zajęte były dawniej przez wyższe władze rządowe republiki, stąd nazwa Prokuracyj.

Jedna ich strona (Procurazie vecchie) powstała w wieku XV, druga (Procurazie nuove) w XVI i mieści dziś pokoje królewskie.

Pod arkadami pałaców zbiera się wszystko, co żyje w Wenecyi w różnobarwnej, prawdziwie demokratycznej mieszaninie.

Spotkasz tu i wielkie damy i gondolierów w białych koszulach i wszystkie możliwe narodowości.

Nad wieczorem, zwłaszcza w dzień świąteczny, gdy brzmi muzyka wojskowa, nieustająca procesya spacerujących przesuwają się pod arkadami, i wtedy, jeśliś wrażliwy, czytelniku, możesz zginać pod zabójczymi strzałami pięknych oczu weneccyanek, bo oczy mają istotnie piękne, jak większa część Włoszek, które też gdyby przyswoiły sobie zwyczaj turecki zasła-

niania reszty twarzy, mogłyby uchodzić za najpiękniejsze kobiety pod słońcem.

Mają one nadto bardzo wdzięczny sposób noszenia chustek koronkowych; okrywają nimi głowę, przewiązują i spinają z tyłu włosów, a resztę zarzucają na ramiona, jak mantylkę.

W dzień plac ożywia się tylko chwilowo, z uderzeniem godziny drugiej.

Wtedy z całego miasta zbiega się chmara gołębi na pożywienie, rozsypywane kosztem rządu.

Mają to być potomkowie historycznej pary gołębi, przez którą wielki doża Dandolo, na początku XIII wieku, przesłał miastu radosną wieść o zdobyciu Kandyi.

VI.

Czwarty, szerszy bok placu zajmuje kościół ś. Marka i część pałacu Dożów, ciągnącego się dalej wzdłuż Piazzetty aż do morza.

Trudno o kościół bardziej oryginalny w swych kształtach, tak zewnątrz, jak wewnątrz. Ani takiego stylu, ani takiej formy nie znajdziesz nigdzie więcej.

Zarys ogólny przypomina krzyż grecki, jest więc prawie równie szeroki, jak długi i o nierównych bokach. Nadto cała budowa bardzo niska w stosunku do wielkości, ma tylko jedno piętro, a styl bizantyjski; oprócz jednej kopuły wielkiej, cztery mniejsze po rogach, nie licząc mnóstwa drobnych wieżyczek gotyckich późniejszego pochodzenia.

Tamte sięgają wieku X, te XIV.

Fronton ozdabia wspinały przedsionek, z ponad którego wybiegają na widza cztery dzielne rumaki z brązu złoconego, będące arcydziełem sztuki rzymskiej z epoki Nerona.

Ich uprząż jest w swoim rodzaju jedynym zabytkiem owych czasów.

Okazała ta czwórka ma swoje dzieje.

Zdobila ona niegdyś łuk tryumfalny Trajana, cesarz Konstantyn przeniósł ją do Stambułu, doża Dandolo do Wenecyi w 1204 roku, Napoleon do Paryża w roku 1797, wreszcie Franciszek zwrócił napowrót Wenecyi w 1815.

Tym sposobem rumaki te zwiedziły kawał świata i przetrwały czasu niemało.

Po nad nimi wznosi się złoty lew skrzydlaty—herb miasta.

Ażeby dać pojęcie o bogactwie tej świątyni, dość wspomnieć, że wewnątrz i zewnątrz posiada ona z górą 500 kolumn marmurowych, a wszystkie arkady pokryte są mozaikami, które, razem wzięte, obejmują przestrzeń 4,250 metrów kwadratowych!

Marmury, brzozy, mozaiki, jedwabie i złoto—nic więcej.

Całość zaś przedstawia oryginalną i pełną wdzięku mieszaninę stylów: bizantyjskiego, gotyckiego i romańskiego.

Też same cechy, tylko już z silnem piętnem weneckiego gotyku nosi na sobie Pałac Dożów. Parter jego stanowi gruba kolumnada 36 słupów z arkadami gotyckimi, unosząca na sobie drugą, lżejszą o 71 kolumnach, obie ubrane z góry w delikatnie rzeźbione i pełne fantazyi ornamenta żołądzi, liści, twarzy ludzkich i zwierzęcych, obie białe, a ponad tem wszysikiem właściwy korpus gmachu z kostek marmurowych czerwonych i białych, ułożony w ukośną wzorzystą mozajkę.

Szczyt u brzegów dachu ozdabia niezliczony szereg piramidek i igieł, znów białych.

Dodajcie do tego wspaniałe łóże z balkonami,

okna obszerne weneckie, mnóstwo rzeźb i mozaiek, a będziecie mieli przynajmniej przybliżone pojęcie o wspaniałości tego gmachu z zewnątrz.

A cóż dopiero mówić o wnętrzu!

Wstępujemy po *schodach olbrzymów*. Strzegą ich kolosalne postacie Neptuna i Marsa, a z przeciwnej strony pałacu dwa inne posągi Adama i Ewy.

Tu świat pogański, tam chrześcijański.

Korytarz, w którym odbywały się koronacje dożów, zdobią piękne popiersia artystów i uczonych, oraz władców dawnej Rzeczypospolitej o surowych i dumnych spojrzeniach.

Wspaniałe sale Wielkiej Rady i del Scrutinio zdobią olbrzymie freski i obrazy, przedstawiające najwybitniejsze sceny z dziejów Wenecyi, między którymi jaśnieją płótna Tintoreta i Pawła Werończyka.

W tej sali w r. 1848 i 1849 zbierała się rada posłów pod rewolucyjną dyktaturą Manin'a.

Sławna biblioteka ś. Marka zawiera mnóstwo manuskryptów uczonych i poetów.

Muzeum starożytności, oprócz pięknych rzeźb posiada nadto nadzwyczaj ciekawy zbiór map, wskazujących powolny rozwój geografii i sławny obraz świata, rzeźnięty na drzewie w więzieniu przez Hadzi Mehameda tunetańskiego w r. 1559.

Na drugiem piętrze między innemi mieści się sala trzech inkwizytorów państwa, w której rogi znajdowała się dawniej marmurowa głowa lwa z otworem w paszczy. Przez ten otwór, każdy kto chciał, mógł, nie będąc widzianym, wnosić zaskarżenia o bezbożność na swego wroga, a głos ten dochodził do uszu wielkich inkwizytorów, i nieraz rozlegał się

echem topora katowskiego w tajemnych celach więzienia.

Zwiedziłem i te smutne pamiątki.

Doprowadza do nich przewodnik ze światłem, bo ciemność tam panuje grobowa.

Wilgotne, wąskie i niskie korytarzyki i schodki prowadzą do strasznych cel więziennych, gdzie setki ofiar fanatyzmu poniosły śmierć męczeńską.

Pokazują tam i miejsca gdzie głodzono i gdzie ścinano, a jest do nich wejście przez wyniosły *most westchnień*, *Ponte dei sospiri*, łączący nad kanałem pałac z więzieniami. Jest on ze wszech stron zamknięty i kraty ma kamienne.

Oprócz wspomnianych wyżej gmachów, na placu mieści się jeszcze odrębna swym charakterem wieża a raczej brama z zegarem, i zupełnie w odosobnieniu stojąca wśród placu, ale nieco z boku: dzwonnica ś. Marka.

Pierwsza, *la Torre dell Orologio* ma na swym płaskim szczycie dwie figury wulkanów spiżowych z młotami w ręku, którymi za pomocą stosownego mechanizmu wydzwaniają godziny, bijąc w dzwon.

Druga, *il Campanile di S. Marco*, odznacza się oryginalną prostotą, pełną wdzięku.

Cała z różowego marmuru, ostrosłupowej formy, z wyżłobionymi podłużnymi pręgami, kończy się dwiema galeryami i równie prostą piramidą.

Wchodzi się na nią nie po schodach, lecz po pochyłej krętej podłodze, po której Napoleon I wjeżdżał na sam szczyt konno, mimo że wysokość jej wynosi prawie 100 metrów.

Takie wejścia (podobne prowadzi także na Kapitol w Rzymie), są bardzo wygodne dla idących pod górę, ale kto niemi schodzi, ten zamienia błogosławieństwo na złorzeczenie: lecisz jak waryat z pieca na łeb, nie mając wytchnienia, bo ani na chwilę nie możesz i. o i prosto postawić.

Wejście na górę wynagradza stokrotnie widok z galeryi. Jest to jedyne miejsce w Wenecyi, z którego można całość miasta okiem objąć, a cóż to za całość! cóż to za widok!

Nic podobnego nigdzie więcej nie znajdziesz.'

To nie zwykły widok miasta *à vol d'oiseau*, to najpiękniejszy sen, najbujniejszej fantazyi, urzeczywistniony u stóp twoich, sen, którego szczegóły chciałbyś dotknąć wzrokiem, objąć i przyciągnąć, bo zdaje ci się, że lada chwila rozpięzchną się we mgle porannej, jak senne złudzenie.

Jeżeli więc pozwolisz czytelniku, to postaram się uplastyczyć ci ten widok, tak, ażebyś go mógł z jak najmniejszą stratą uroku, odtworzyć przed oczyma duszy.

Wyobraź sobie tedy wielką dłoń, uciętą przy rękawie i leżącą na morzu—to Wenecya.

Równolegle z nią i tuż przy niej, osobno, jeden palec odcięty i zgięty, to Giudeccia.

Nareszcie pod tym palcem, jakby kropkę pod wykrzyknikiem znów osobno pływający paznokieć, to wysepka *di S. Giorgio Maggiore*.

A teraz zajmijmy się samą dłonią.

Od jej wskazującego palca, oparte na nim, idą w przedłużeniu przez morze dwa druty ku lądowi

stałemu, to kolej żelazna, *la strada ferrata*; a na samym placu szereg budynków, to stacya.

Od tej stacyi zaczynając, nakreślmy na dłoni wielki znak zapytania, dla którego wysepka *di S. Giorgio Maggiore* będzie kropką.

Ten znak zapytania to *Canal Grande*, najwspanialsza ulica wodna, której brzegi stanowią same pałace.

Inne mniejsze kanały idą między palcami ręki, a setki jeszcze mniejszych przerzynają całą rękę we wszystkich możliwych kierunkach; do tych kanalików przylacza się jeszcze drobniejsza siatka uliczek suchych, i w końcu całe miasto przedstawi ci się jako zbiór różnokolorowych cząsteczek, spojonych wodą i kamieniem.

Stoimy na wieży, na placu ś. Marka, to znaczy w tem miejsau, gdzie dolny koniec znaku zapytania wchodzi w morze.

Pod nami wspaniały plac i kościół lśniący od złota, białych, zielonych i różowych marmurów i mozaik na tle złotem. Przed nim trzy postumenty, a na nich trzy wielkie maszty cedrowe, które dźwigały niegdyś olbrzymie sztandary trzech podbitych królestw: Cypru, Kandyi i Morei, a dziś trzy jednolite flagi, złączonej Italii.

Po za placem las domów, pomiędzy którymi przebija woda i skrawek śmiałego łuku, zarzuconego na wielki kanał, a zwanego Ponte Rialto.

Dalej znów labirynt pałaców i kanałów, a jeszcze dalej—morze.

Za nami, tuż przy placu, mały placzyk Piazzetta, ze stopniami nad wodą.

U tych stopni, na ładzie, dwie kolumny granitowe niesymetryczne, jedna większa, wzniesiona w roku 1329, ma na sobie poprzedniego patrona Wene cyi św. Teodora, stojącego na krokodylu, — druga mniejsza, starsza wiekiem, bo przywieziona z Syrii w r. 1120 dźwiga lwa skrzydlatego, symbol ś. Marka, obecnego patrona miasta.

W tem to miejscu odbywały się egzekucye, a dziś tu tylko przewodnicy napadają i obdzierają legalnie, pożądaných gości z kontynentu.

Za temi dwiema kolumnami, na wodzie, flotylla czarnych gondol oczekuje podróżnych:

Nieco dalej, za kanałami, sterczy wśród wody wspaniała kopuła i białe filary *di Santa Maria della Salute*, kryjąca między innemi malowidła Tycyana, Tintoreta i Palmy starszego, oraz niezliczone bogactwa złotych oltarzy, wysadzanych drogimi kamieniami.

Jeszcze na lewo, za drugim kanałem, Giudecca z łańcuchem domków, a na prawo bulwar, ciągnący się aż do rękawa dłoni: pełna ruchu i życia *Riva dei Schiavoni*.

Tym bulwarem dochodzisz na lewo do arsenału, najzabawniejszej na świecie szopki, maleńkiej, z niskimi zębatymi wieżyczkami, z zębatym daszkiem, z ogromnym lwem skrzydlatym na frontonie i jeszcze większym bezskrzydłym na ziemi, przy sztachetach żelaznych, w towarzystwie trzech mniejszych.

O tym wielkim twierdzą, że pochodzi z pola bitwy pod Maratonem, a jest on pokryty napisami, dziś już zupełnie nieczytelnymi.

W samym gmachu kryją się niektóre ciekawe zabytki np. żelazny hełm Atylli (jak zaraz zobaczymy chrzestnego ojca Wenecyi), zbroice wielu dożów, narzędzia tortury i resztki sławnego okrętu Bucentaura, z którego corocznie w dzień Wniebowzięcia rzucono w morze pierścień zaręczynowy doży weneckiego z morzem Adryatykiem.

Trzeba bowiem wiedzieć że dożowie z urzędu byli małżonkami Adryatyku.

Na prawo zaś bulwar prowadzi do jedyne go weneckiego ogrodu: Giardino publico, który zajmując sam kraniec miasta przedstawia wspaniały widok na morze.

A wszystko to otoczone sklepieniem szafirowego włoskiego nieba, mieni się tysiącami kolorów, blasków i cieniów.

Obejmując cały ten obraz wzrokiem, mimowoli zapytujesz sam siebie, jakim sposobem mogło powstać miasto tak dziwacznej konstrukcyi?

Jak budowano te wodne ulice i z kąd ludziom przyszedł do głowy concept osiedlenia się na morzu?

VII.

Było to pod koniec wieku VII.

Atylla, wielki wódz Hunnów, zwany biczem bożym, zgromadził nową armię, która miała zadać cios śmiertelny rzymskiemu państwu, przekroczył Alpy juliańskie i obległ Akwileję, silną naówczas twierdzę, położoną nieco na północ od dzisiejszej Wenecyi.

Mieszkańcy trzymali się dzielnie, ale w końcu ulegając przemocy, rozpierzchli się ku południowi.

Garstka niedobitków schroniła się aż na drobne wysepki zatoki daleko od lądu położone, a zwane „lagunami“ i tu sądząc się być bezpieczną, założyła kolonię, która już w r. 697 występuje w dziejach, z dożą na czele.

Na wysepkach murowane domy rozszerzyły się aż do brzegów morskich, te brzegi wzmocniono murami i słupami, place przerznięto kanałami, i Wenecya stała się taką, jaką jest dzisiaj. Żle mówię, stała się czemś więcej, bo silną republiką, która zawładnęła częścią półwyspu aż po Trydent i Mediolan na zachód, a na wschód i na południe posuwając swe

flotyllę zagarnęła Dalmacyę, opanowała brzegi Grecyi, wyspy Korfu i Zante, ba! nawet Kandyę i Cypr.

Byli też Wenecyanie handlarzami z krwi i kości. Umieli zarabiać nawet na wojnach krzyżowych, bo przy pomocy francuzkich krzyżowców doża ich zdobył w r. 1204 Konstantynopol i dostał nadto wysp kilka.

Ale niedługo było tej chwały. Karta posiadłości weneckich co chwila zmieniała barwę, a niewiele później, jak w sto lat potem, Wenecya straciła wszystko, co zdobyła lub wyszachrowała.

Mimo to podniosła się z upadku, mężniała i rosła w bogactwa i w XV w. doszła do szczytu swej chwały. Jej handel wywozowy wynosił wówczas 10 milionów dukatów rocznie!

W wieku XVIII rozbita przez Turków, a następnie zajęta przez Napoleona, przestała być rzecząpospolitą. Od tego czasu przerzucano ją sobie z ręki do ręki.

Przez traktat w Campo-Formio oddana Austrii, w r. 1805 przeszła do Włoch, w r. 1814 znów do Austrii—i nareszcie w r. 1866 już chyba na zawsze zwrócono ją zjednoczonej Italii.

Widząc z jednej strony te najrozmaitsze wpływy, jakim ulegała Wenecya, jej stosunki z Francją, Węgrami, Turkami i całym Wschodem, a z drugiej strony, biorąc pod uwagę jej wyjątkowo odosobnione położenie wśród morza, możemy sobie objaśnić i pstrokatą różnorodność jej sztuki, ulegającą wszelkim możliwym wpływom i zarazem oryginalność szkoły weneckiej, przebijającą zarówno w malarstwie jak i w architekturze.

Żywy koloryt pierwszego, znajduje dopełnienie w swobodnej fantazyi drugiej, w tej rewolucyjnej przemianie surowego gotyku, wybiegającej po za wszelkie z góry oznaczone szranki, w tej nieporównanej dekoracyi murów, jaką przedstawia Kanał Wielki.

Akademia sztuk pięknych, do której się przechodzi po jednym z trzech mostów Wielkiego Kanału, zawiera oprócz śmiesznych kompozycji, w których Chrystus i Matka Boska występują obok dożów i senatorów weneckich, oprócz niesmacznych produkcji takiego Lazzariniego np., który twarz i ręce maluje poodmrażane, wiele prawdziwych arcydzieł weneckiej szkoły, mianowicie między płótnami Tintoretta, Tycyana, Bonifacia i Werończyka.

Tego ostatniego „Wieczera;“ Bonifacia „Trzej królowie,“ „Św. Benedykt“ i „Św. Sebastyan;“ Tycyana „Wniebowstąpienie“ i „Przedstawienie Dziewicy;“ Tintoretta „Zdjęcie z krzyża“ najwięcej zasługują na uwagę.

Mnie jednak najdłużej zatrzymała „Jawnogrzesznica“ Tintoretta, ze względu na tożsamość przedmiotu ze znanym obrazem Siemiradzkiego.

Przedmiot ten sam, oba dzieła, uwzględniając dzielący je czas, pierwszorzędne—a jednak jakaż olbrzymia różnica i w pojęciu i w wykonaniu!

Niech sobie mówią, co chcą o dawniejszym idealnym nastroju sztuki i o dzisiejszym poziomym realizmie, co do mnie sędzę, że malarstwo zrobiło ogromny krok naprzód i to właśnie w kierunku duchowości.

Te dwa obrazy Tintoretta i Siemiradzkiego są

dla mnie nie przypadkowym zestawieniem, ale typowym, doskonałym przykładem.

Patrzcie tylko na twarze.

Tam i uroda, i zdrowie, i muszkuly—wszystko, z wyjątkiem duchowości. Jawnochrześnica stoi na pół uśmiechnięta, na pół zdziwiona i pytająca: czego wy chcecie odemnie?

Tu przybija ją do ziemi siła duchowej potęgi.

Tam Chrystus zdaje się z upodobaniem przyglądać jej wdziękom—nic więcej.

Tu oblicze Jego samo objaśnia wrażenie, będące symbolem duchowej siły.

Tam plastyka ciała, tu plastyka duszy.

* * *

Żal opuszczać Wenecję...

Kiedy za sobą słyszysz jeszcze plusk wiosel i dźwięki serenady pod oknami twego hotelu, kiedy obejrzysz się na tę cudowną dekorację wielkiego kanału i jego różnobarwnych i różnowzorych pałaców, chciałbyś wrócić; bo jak pierwaj, na wieży, lękaś się, ażeby to, co było rzeczywistością, nie rozwiało się i nie znikło.

Wróćę, pomyślałem sobie, wróćę i jeszcze raz przełynę gondolą cały znak zapytania aż do kropki.

Ale tymczasem ruszamy dalej na południe, ku Bolonii.

Ciekawys może czytelniku, jak się wyjeżdża z Wenecyi koleją?

Ba! w tem właśnie sztuka.

Jedzie się przez morze i basta.

Jeżeli się nie opatrzysz na wyjeździe i potem naraz rzucisz okiem na lewo, zobaczysz morze; rzucisz okiem na prawo i znów zobaczysz morze; to niewątpliwie musi cię zdjąć uczucie, bardzo podobne do strachu, ażali czasem rozbrykana lokomotywa nie zbiegła z szyn i nie ciągnie cię gdzieś do nymf morskich?...

W rzeczywistości jest tam rodzaj mostu, czy podmurowanego nasypu, który jednak niewiele co wystaje ponad wodę; a że jest ona tu i owdzie bardzo płytka, więc można nawet widzieć krzaki wodrośców, popłatane na dnie morskiem.

Cała ta droga wynosi z górą 3,600 metrów i pociąg na jej przebycie potrzebuje 8 minut.

VIII.

Spędziwszy noc w wagonie, nad ranem byłem już w Bolonii.

Bolonia jest miastem kolumnad.

Z obu stron ulic szeregi filarów, tu i owdzie jeszcze zakrytych płótnem, tworzą chodniki wygodne, bo ocienione, i pozwalają przejść większą część miasta, bez narażenia się na ucisk słonecznego żaru.

Po ciszy weneckiej, przerywanej tylko gwarem ludzi i pluskiem wiosel, lub beczaniem obładowanego jukami osła, czujesz, żeś wrócił na ląd stały, słysząc turkot dorożek i omnibusów, a wspomnienia weneckie odbijają w pamięci tem milej, jakimś urokiem cichego, czarownego ustronia, zostawionego za sobą.

Nic podobnego już w dalszej podróży nie znajdziesz, ale natomiast czekają cię wrażenia inne, echa z nierównie dalszej przeszłości, wielkiego ludu, który padł pod ciosami barbarzyńców, ale który zmusza cię dziś jeszcze do pochylenia czoła przed garstką pozostałych po nim gruzów.

Bolonia ma kształt latawca, a otoczona jest dookoła murem i koleją obwodową.

Położona w urodzajnej dolinie u stóp Apeninów,

ma okolice piękne, górzyste, tu i owdzie bogate w starodawne pamiątki.

Samo miasto należy do najstarszych na półwyspie, sięga bowiem czasów Etruskich. Wówczas nosiło nazwę: Felsina, później Bononia.

Od r. 1119, a więc na 119 lat przed Padwą, miała już uniwersytet, jeden z najpierwszych w świecie i który jej zjednał opinię miasta uczonych.

W wiekach średnich i później wszechnica bolońska miewała więcej studentów niż Lipsk dzisiaj, bo liczba ich wynosiła do pięciu, a nawet w r. 1263 do 10,000.

W wieku zeszłym Bolonia odświeżyła swą sławę, wielkimi odkryciami Galvaniego w dziedzinie elektryczności zwierzęcej.

Podają także imiona kilku kobiet-profesorek z Bolonii. Jedna z nich: Novella d'Andrea podczas wykładów zastaniała się firanką, ażeby pięknocią swą nie czynić dystrykcyi słuchaczom.

Sądzę, iż nie minę się z prawdą, wyprowadzając ztąd wniosek, że wierzyła więcej w swą pięknoci, niż w siłę swej nauki. Ale toby dowodziło tylko skromności...

Co zwiedzać w Bolonii?

Karta rekomendacyjna mojego hotelu podawała trzynaście miejsc osobliwych, licząc w to już 6 kościółów i... kasę oszczędności.

Mogłem więc załatwić się szybko.

Nie tracąc czasu, przesuńmy się pod arkadami i zajrzyjmy w środek miasta.

Na ulicach pusto, pod kolumnadami tłumno.

Sklepy piękne, bogate i już nie tak ściśnione

jak w Wenecyi, owszem drzwi i okna wielkie, wszystko, na co spojrzysz, zaczawszy od filarów, a skończywszy na *signorinach*, robi wrażenie szerokości.

Czyżby dlatego dano Bolonii przydomek: tłusta, *la grassa*?

Ale mniejsza z tem, dość, że wszystko tu szerokie i przysadziste.

Nawet łóżko w hotelu dano mi takie, że czterech podróżnych z żonami i dziećmi mogłoby wygodnie się pomieścić.

Mijamy ulice, jedne podobne do drugich, a na każdym zakręcie, przy każdym wychyleniu się, z pod kolumn atakują nas—kto? dorożkarze.

Nie ma natrętniejszej rasy pod słońcem, z wyjątkiem chyba ciceronów, niż dorożkarze włoscy.

Upzejmość ich przechodzi wszelkie granice przyzwoitości. Każdy, który cię spotka, staje, podnosi dwa palce do góry i zaprasza do swego ekwipażu; dajesz znak ręką, że nie trzeba, nie zraża go to; zwietrzywszy cudzoziemca, a w tym względzie mają oko wytrawne, zaprasza cię włoską trancuszczyzną, dowodząc, że *Musie* nie może iść piechotą tam gdzie idzie. Odpowiadasz mu: *non bisigna!* nie potrzeba!

Nareszcie daje ci spokój, ale nie spuszcza z oka i jedzie za tobą, przypuszczając, że się zmęczysz. Jeżeli zaś ten odstąpi cię w drodze, to możesz być pewien, że o kilka kroków dalej, tę samą upzejmość okaże ci drugi, trzeci i dziesiąty.

Przystawszy w końcu zważać na ich oferty, dochodzę do placu dawniej zwanego Wielkim, a dziś Wiktora Emanuela, stanowiącego centrum miasta i rozglądam się po gmachach; ale zaledwie miałem czas

objąć wzrokiem olbrzymi kościół Petroniusza, pałac rządowy, niegdyś „apostolski” i pałac archiwów miasta, gdy trzech dorożkarzy z trzech stron placu podjeżdża do mnie, zastępując drogę i podnosząc dwa palce.

Tym razem jednak udałem, że nie wiem o co chodzi i nie wdając się w żadne dysputy, wszedłem po stopniach kościoła, odchyliłem olbrzymią kotarę i znalazłem się wewnątrz świątyni.

Należy ona do najdawniejszych kościołów włoskich, a byłaby największą w świecie, gdyby w XVII jeszcze wieku nie przerwano robót na przedniej nawie, którą tylko zwykłym murem zakończono.

Według pierwotnego planu, długość kościoła miała wynosić z górą 200 metrów, to znaczy o kilka metrów więcej niż św. Piotra w Rzymie.

Ale nie było komułożyć na tak olbrzymie przedsięwzięcie i wykończono tylko część przednią.

Dziś ma ona 117 metrów długości i 48 szerokości, co i tak daje obszar imponujący.

Dwanaście ogromnych kolumn podtrzymuje sklepienie, a wewnątrz, jak wszystkich zresztą pierwszorzędnych kościołów włoskich, odznacza się niezwykłym bogactwem. Styl gotycki, ale nieczysty.

Niegdyś, przed 300 laty stał u wrót świątyni posąg spiżowy, wyobrażający papieża Juliusza II-go z mieczem w dłoni. Lecz w r. 1511 lud zwałił posąg, a ksiązę Ferrary przetopił go na... armatę.

Był to jeden z częstych wówczas zamachów Bolonii na świecką władzę Rzymu.

IX.

Uboczne i głębienie placu Wielkiego nazywa się inaczej placem Neptuna, a to od ogromnej statuy tego bożka, wykonanej w XVI w. przez słynnego Jana z Bolonii.

O tym to posagu powiedział Odynieć, że:

Sam żywy Neptun, z trójzębem w prawicy,
Gdy pędząc rydwan po huczającej fali,
Uśmierzał wściekłość wód i nawałnicy,
Nie mógł wyglądać groźniej i wspanialej!

Ta groza i ta wspaniałość miała kosztować Bolonię wcale przyzwoitą sumę 70,000 dukatów, ale w to już wchodzi oprócz Neptuna cztery podwładne mu Syreny fontanny, którym zabawny koncept artysty kazał z piersi wodą wytryskać.

Po drodze do akademii sztuk pięknych, obejrzałem jeszcze sławne dwie wieże: Asinello i Garisendy, starsze siostry pizańskiej dzwonnicy.

Stoją one w środku miasta, w miejscu zaciśnionem, tak, że zdają się co chwila grozić całkowitem zasypaniem wązkiej pod niemi uliczki.

Bolończycy jednak przechodzą i przejeżdżają tę drogę, nie lękając się bynajmniej upadku wieży.

I w samej rzeczy, jeżeli nie upadła w wieku XII, XIII, XIV... i XVIII-ym, dlaczegożby miała upaść w XIX?

Większa, na 83 metry wysoka, ma odchylenie niewielkie, bo tylko 1 metr wynoszące, lecz druga, jakkolwiek o połowę niższa, zbacza na 2 metry od pionu i pierwszy rzut oka na nią robi wrażenie takie, jakby za chwilę miała się rozciągnąć na ziemi.

Ale dla tych starych gratów chwile liczą się inaczej, niż dla nas dzieci pary i elektryczności.

Ona się przewraca, to nie ulega kwestyi, ale przewraca się tak wolno, że od r. 1792 zaledwie na parę cali powiększyło się zboczenie od pionu.

Taką zabawkę urządzali sobie architekci XII w. bracia Garisendi. Dziś stawiają inaczej. Dziś to, co miało stać prosto, stawiają krzywo, a co się miało zwalić za lat sto, wali się odrazu.

Inne czasy, inne obyczaje.

Akademia sztuk pięknych mieści się nieopodal od uniwersitetu w b. kolegium jezuickiem i zawiera prawie wyłącznie prace bolońskiej szkoły artystów z XVI i XVII wieku.

Jak w swem położeniu geograficznem, tak i w charakterze sztuki, Bolonia zajmuje miejsce pośrednie między Wenecją a Florencją, łącząc koloryt jednej z plastycznością form drugiej.

Oprócz pierwszorzędných prac Guido Reniego, jaskrawo efektownej „Rzezi niewiniątek,” wdzięcznej „Madonny della Pietà” i kilku innych, galerya za-

wiera głośną i osławioną „Św. Cecylię w ekstazie,” Rafaela.

Lecz tu znów muszę wypowiedzieć herezyę artystyczną.

Święta stoi na środku obrazu, upuszczając z ręki popsute organki, z oczyma wzniesionemi ku górze, i słucha muzyki sześciu aniołków, zawieszonych w obłokach.

U jej stóp i obok niej, cztery inne postacie mają każda właściwy sobie wdzięk i charakter.

Są niemi święci: Paweł, Jan, Augustyn i Magdalena.

Obraz jest istotnie wybitnym, ale na mnie przynajmniej nie zrobił ani setnej części tego wrażenia, jakie mu przypisują inni, a przedewszystkiem Odyniec, natchniony przezeń do hymnu na cześć świętej. W twarzy św. Cecylii niema ani śladu ekstazy, jest to osoba zdrowa i przystojna, ale ani święta, ani tem mniej natchniona, co najwyżej znać na niej obojętne zasluchanie, ale i to tylko przy dobrej woli widza; do ekstazy zaś równie jej daleko, jak Madonnie Holbeina do Wniebowzięcia.

Nie piszę studyum, podaję tylko wrażenia, niechże mi więc czytelnik wybaczy łaskawie tę szczerość, chociaż jej bliżej nie motywuję.

Na pierwszym piętrze galeryi znajduje się nadto nieliczny ale bardzo godny uwagi zbiór broni, głównie tureckiej i weneckiej, a także ciekawy okaz rewolweru z XVI wieku, niemieckiej roboty.

Nic nowego pod słońcem!

Posiliwszy się rosołem z serem miałko utfluczonym, porcją *braccioletta con patate*, to znaczy popro-

stu kotletem cielęcym z ziemniakami i olbrzymią porcyą *Maccaroni al pomodoro* i popiwszy to wszystko wybornem winem *Chianti*, udałem się na spoczynek pod skrzydła muślinowej kotary, osłaniającej do połowy moje królewskie łóżko, stojące, jak zwykle we Włoszech nie pod ścianą, lecz na środku pokoju.

X.

Nazajutrz byłem już na drodze do Florencyi.

Należy ona do najpiękniejszych dróg we Włoszech. Przecinając w poprzek Apeniny, daje mnóstwo wspaniałych widoków na doliny i płaskowzgórza, umajone prawdziwie zdumiewającą roślinnością.

Drzewa oliwne, brzoskwinie, bukszpany, przeplata nadto cały tłum roślin wijących się, które z alei tworzą wieńce, a z ogrodów bukiety.

Przebiegamy bogatą i starodawną ziemię Etrusków, która już na 2,000 lat przed naszą erą odgrywała swą rolę w historyi, a której dziś jako Toskanii słusznie się miano „Ogrodu Italii“ należy.

Ztąd to wyszła dzisiejsza mowa włoska, ta którą pisał i doskonalił Dante, tokańczyk.

Droga wznosi się najprzód między góry, potem zniża po stokach Apenińskich. Tunele, wiadukty i mosty najkunsztowniejszej roboty następują jedno po drugim, a doliny rzeki Reno, sławne z wybornych win tokańskich, jaśnieją białymi domkami, wodospadami i pałacami, między którymi tu i owdzie znajdowano najdawniejsze zabytki etruskiego przemysłu.

Wille zgęszczają się coraz bardziej i stajemy w Pistoji; ztąd droga zbacza na lewo u podnóża Apeninów i w półtorej godziny doprowadza nas do Florencyi.

Stolica Włoch przez lat sześć, od 1864 do 1870, a niegdyś przez całe wieki średnie i w epoce odrodzenia, ognisko umysłowego i artystycznego życia Italii, Florencya, należy niewątpliwie do najpiękniejszych, po Wenecyi, i najciekawszych, po Rzymie, miast włoskich. O połowę mniej ludna od Warszawy, dwa razy młodsza od Bolonii, ma jednak tyle różnaitości w swej konstrukcyi, tyle bogactwa i uroku, że mimowoli zaliczamy ją do pierwszorzędných, nowożytných stolic.

Florencya niedarmo wywodzi swe imię od kwiatów (*fior—Fiorenza*, dziś *Firenza*). Na każdym kroku spotykasz nietylko młode i stare kwiaciarki, które ci za dobrowolną i bylejaką zapłatą ofiarują małe jasne bukiety, ale nawet całe sklepy poświęcone wyłącznie sprzedaży kwiatów, które florentczycy umieją nadzwyczaj gustownie układać i wiązać w kształt koszyków z pałkami i najrozmaitszych form bukiety.

Florencya jest miastem nawskroś artystycznym; nigdzie nie znajdziesz tak wielu sklepów poświęconych drobnym, gustownym wyrobom sztuki, a nadto i w samem urządzeniu zakładów publicznych, kawiarni, restauracji, widnieje większy niż gdzieindziej gust i przepych.

W mieście też ruch panuje niezwykły, szczególnie główne ulice: Tornabouni i Calzajuoli prze-

pełnione są zawsze tłumami ludzi, dorożek i omnibusów.

Gdzie tylko więcej miejsca pozostawia ulica, tam wszędzie znajdziesz całe szeregi ulicznych bazarów i straganów z wszelkiego rodzaju drobnymi wyrobami, po bardzo niskich cenach.

Wieczorem stragany te oświetlają lampami naftowymi i olejnymi, a wtedy ruch i krzyk handlarzy staje się jeszcze większy. Tłumy gapiów i kupujących zaledwie pozwalają przejść przez ulicę.

Kolumnad takich jak w Bolonii już tu nie ma, ale ulice piękne, szerokie, płytami kamiennymi wykładane, z tak wyborną kanalizacją, że najulewniejszy deszcz ginie bez śladu w pół godziny.

Co krok pałace z żelaznymi przejrzystymi bramami, przez które widać kląby podwórzowe, jak w cieplarniach naszych bogate w najbujniejsze krzewy.

Kościóły czarno-białe, od podstaw do szczytu marmurowe.

Florencya ma kształt dwu trójkątów, których wspólną podstawę stanowi rzeka Arno, rozdzielająca tym sposobem miasto na dwie prawie równe części.

Trójkąt większy, obwiedziony alejami, ma u trzech wierzchołków trzy place: Wiktora Emanuela z jednego boku, Karola Alberta z drugiego a Cavoura u szczytu.

Ażeby się rozejrzeć po mieście, zrobiłem najprzód wycieczkę wzdłuż Arno, bulwarem nadbrze-

żnym, idącym w górę rzeki od placu Wiktora Emanuela aż do drogi Karola Alberta.

Wychodzimy z pięknego placu Wiktora Emanuela, który właśnie ogrodnicy gracują i oczyszczają, i zbliżamy się do pierwszego mostu wiszącego, przez który ciągną wozy z worami pszenicy.

U stóp mostu gromadka ciekawych na wyniosłym brzegu przypatruje się polowowi ryb.

Odbywa się on w ten sposób, że rybacy bez żadnych sieci, na pół w ubraniu, skaczą pod wodę i nurkując przez parę minut, chwytają ryby rękami.

Można podziwiać zręczność i wytrzymałość tych ludzi, którzy prawie większą część dnia spędzają pod wodą, od czasu do czasu wyrzucając na brzeg po kilka ryb większych i mniejszych.

Ale idźmy dalej w górę rzeki.

Na lewo przy bulwarze piękne domy a raczej pałace, z płaskimi dachami, z białymi, zielonemi lub cielistemi żaluzjami, pozamykane, milczące; na prawo kupki niskich drzew i szereg niskich a długich domków z fabrycznymi kominami.

Nieco dalej na rzece, ukośnie murowana, olbrzymia tama kamienna, po której górnym brzegu, omywanym przez bystre wody żółto-zielonej Arno, przebiegają zuchwale na pół nadzy chłopcy.

Tama ta służy do powstrzymania prądu i zapewnienia rzece dostatecznej szerokości; wysychając bowiem, psułaby warunki higieniczne miasta.

Lódek nie widać nigdzie, a tem mniej statków.

Począwszy od drugiego mostu, *ponte alla Carraja*, o pięciu arkadach, który już czwarty wiek

stoi w tem miejscu, charakter brzegów zmienia się.

Na lewo wspaniałe hotele, między którymi króluje „królewski“, sklepy z wystawami rzeźb w drzewie i w marmurze; na prawo szare i brunatne dwupiętrowe domy, skromne, ponure—i jasne namioty kąpielowe z chorągwiami.

Zbliżamy się do trzeciego mostu, również kamiennego, o trzech tylko, ale wielkich arkadach, który nosi nazwę św. Trójcy i był zbudowany w XVI wieku.

Tu znów inny charakter brzegów; po lewej sklepy z rzeźbami stają się coraz liczniejsze—a między nimi wabią przechodnia przedziwne wystawy florenckich kamei i mozaiek; na prawo zaś widzisz szereg wysokich średniowiecznych domków, których ściany przednie wydatnie wystają nad rzeką, podtrzymywane przez półarkady bez słupów.

Ale najciekawszym jest most czwarty, *Ponte Vecchio*, łączący najbardziej ruchliwe części miasta.

Stał on już za czasów rzymskich, a był przebudowany w XVI w.

Jest to chyba najoryginalniejszy ze starych kamiennych mostów, jakie gdziekolwiek istnieją. Ma bowiem tylko trzy arkady, ale te dźwigają na sobie dwa szeregi domów, zamieszkałych, piętrowych, w których mieści się ze sto sklepów jubilerskich, po większej części mających skrzynki i wystawki na samej ulicy mostowej, tak, że formalnie przechodzisz między złotem, srebrem i drogiemi kamieniami.

Nadto ponad tą mostową ulicą idzie galerya, w środku mostu, gdzie ją domy odstawiają opatrzone oknami, i która łączy wystawę obrazów w pałacu

Pittich z galeryą w pałacu *Uffizich*, tak, że oglądając jedną, możesz przejść do drugiej części miasta, po za rzeką, do drugiej galeryi, nie schodząc wcale na ulicę.

A korytarz ten nie jest bynajmniej pustym, zdobia go owszem rysunki i sztychy starych mistrzów, oraz przepyszne gobeliny.

Są tam dzieła Giotta, Fra Angelica, Perugina, Leonarda da Vinci, Rafaela i Michała Anioła, Murilla, Van Dycka i Tycjana.

Za tym mostem szare i zielone domki, przeplatane ogrodami, ciągną się aż do piątego *ponte alle Grazie*, który najdłużej utrzymał swą dawną powierzchność, bo już od r. 1235 stoi bez zmiany. Na nim to w r. 1283 Gwelfowie i Gibelinowie podali sobie dłonie.

Dalej idą piękne wille, coraz rzadsze, tu i owdzie białe pałacyk na górze otaczają czarno-zielone cyprysy, a po za szóstym mostem, podobnie jak pierwszy wiszącym, widzisz już tylko sine góry na tle szafirowego nieba.

A teraz wejdziemy w środek miasta. Jest nim plac katedralny, cały zajęty przez kościół, tak, że zaledwie wązka uliczka dokoła go otacza.

Cóż to za gmach wspaniały! Jak wszystkie kościoły florenckie, ma w sobie coś żalobnego i majestatycznego zarazem. Żalobny czarnemi marmurami, które przeplatają białe płyty, majestatyczny ogro mem i powagą gotycko-florenckiego stylu. Ma on 170 metrów długości na 140 szerokości, a kunsztowna jego kopuła służyła Michałowi Aniołowi za wzór do katedry rzymskiej św. Piotra. Począwszy od

XIII wieku dziewięciu architektów przerabiało nietylko części świątyni, ale nawet całości nadając inny charakter, a mimo to ogół robi wrażenie jednolite, choć oryginalne.

Fasady brak zupełnie, a wewnątrz chór znajduje się nie nad wejściem, lecz pod kopułą kościoła.

Szczególnie piękną jest dzwonnica, stojąca obok na placu. Jest to wieża kwadratowa na 80 metrów wysoka. Jak tam, tak tu cała budowa z płyt marmurowych czarnych i białych, odznacza się niezwykle powagą i wdziękiem.

Też same zalety i tenże sam koloryt czarno-biały mają dwie inne, bardzo sympatyczne budowle: kościół *Santa Maria Novella* i Świątokrzyżki (*Santa Croce*).

Przed tym ostatnim, na placu, gdzie tysiącami sprzedają arbuzy, wznosi się majestatyczny i głębokie czyniący wrażenie, posąg Dantego, dłuta Pazzi'ego.

Poeta stoi w płaszczu zarzuconym na ramię, z głową nieco pochyloną, ale w oku jego tyle życia, w czole tyle inteligencji, w ustach tak dziwnie przejmująca gorycz i dobroć zarazem, że nie można wzroku oderwać i dość się nim nasycić.

Tego posągu nie ogląda się, ale się go czyta i odczytuje, znajdując w nim coraz to nowe piękności.

Wnętrze kościołów posępne, bo okna we wszystkich nieliczne a drzwi zakryte olbrzymią kotarą, nie dopuszczają promieni słońca. Inaczej trudnoby było wysiedzieć podczas tłumy.

Jako cechę charakterystyczną, wspomnę nadto, iż w wielu kościołach znajdują się zegary na ścianie tak wielkie, że dochodzą sążnia średnicy.

Zawróciwszy od kościoła świętokrzyskiego ku środkowi miasta, wchodzimy na plac *della Signoria*.

Jest to stacya omnibusów i... próżniaków, którzy wysiadują stopnie *Loggia Lancich*, jedząc arbuzy i paląc krótkie fajki.

Loggia ta pod otwartemi arkadami mieści prześliczne rzeźby, a mianowicie Jana z Bolonii „Porwanie Sabinek“ z białego marmuru i „Perseusza“ wznoszącego głowę Meduzy, Benvenuto Celliniego z brązu nie mówiąc już o kilkunastu innych mniej wybitnych.

Na tym to placu zginął w płomieniach Savonarrolla, mnich-filozof w XV w.

A teraz co wam powiedzieć o bliżnięcej parze galeryj: Pitti i Uffizi, zrośniętych nadwodnym korytarzem?

Co powiedzieć o tym ogromie bogactw artystycznych, nagromadzonych rękami Medecyuszków, wspaniałych tyranów Florencyi?

Gdybym powiedział, że „Madonna della sedia“ Rafaela jest prześliczną, podczas gdy przypisywana mu „Madonna przy studni“ nie ma żadnego wyrazu, chociaż aniołki przy niej są cudowne i ręce mają idealne; że przeciwnie Venus z amorkami Nr. 112 jest bardzo piękną, ale amorki jej mają za grube łydki a za male głowy, gdybym chciał opisywać Sokratesa z wydatnem czołem i Wespazyana z głową o nadmiernie szerokich bokach, gdybym dalej pofo-

gował zapędowi krytycznemu i powiedział, że „Madonna pod baldachimem“ Raphaela wstydzi się patrzeć na widzów; że w „Piekło“ Bronzina wszystkie twarze są do siebie podobne, że mistrzowska „Flora“ Tycyana jest nieco za żółta i za płaska, że „Apollo“ Nr. 121 nie przedstawia nic osobliwego, a „Apollo“ Nr. 119 jakkolwiek bardzo piękny, ma rękę źle odrestaurowaną, że „Melpomena“ jest szkaradną, że „Venus Medycyjska“ choć drobna, wabi nieśmiertelnymi wdziękami, że „Madonna“ Murilla jest inteligentniejsza od Rafaelowskich, a dzieciątko przy niej ma cudowne oczy, że Ruisdael wybornie maluje krajobrazy a Schalken twarze przy oświeceniu jednej świecy — gdybym to wszystko powiedział, a nawet wymotywował, miałbyś czytelniku chaos wrażeń przelotnych, któreby nieraz oburzyły znawcę, znudziły profana a przeciętnemu amatorowi sztuk pięknych nie dały nawet w setnej części pojęcia o tysiącu dzieł pierwszorzędnych, między którymi przynajmniej kilkadziesiąt słusznie się do arcydzieł zalicza. Wolę więc dać pokój obrazom i rzeźbom; a natomiast wspomnę tylko o jednym... stole.

Tak jest, o stole, który także należy do arcydzieł.

Jest on z marmuru czarnego. Na tym marmurze leżą w artystycznym nieładzie dwa portrety, wiązka kwiatów, skrzypce i nuty, wreszcie kawałek planu z jakiegoś miasta, który zdaje się zlatywać ze stołu, i ptak, już nie pamiętam jaki.

Wszystko to jak żywe, jak prawdziwe; a nie są to ani malowidła, ani imitacje papierowe, ale po-

prostu mozaiki z kawałków różnokolorowego marmuru złożone, proszę tylko widzieć jak złożone!

Mimowoli chcesz dotknąć palcem, jak niewierny Tomasz, bo zdaje ci się, że to zasadzka na twój zmysł mięśniowy w gałkach ocznych, które najwyraźniej dowodzą ci, że to, na co patrzysz, jest wypukłe; ale przesuwasz palce i czujesz tylko dotknięcie zimnego, gładkiego marmuru.

Wypukłość znika pod palcem, chociaż trwa jeszcze w oku.

XI.

Wywinąwszy się tanim kosztem z opisu galerij, chcę się również sianem wykręcić i ze sprawozdania o teatrach.

Zajrzyjmy choć do letniego, gdy inne zamknięte.

Nosi on miano *Arena Nazionale* i jest też raczej podobny do cyrku niż do teatru.

W ogromnym amfiteatrze, niby w nowożytnem Colosseum *en miniature* wznoszą się łukiem siedzenia na kilka tysięcy widzów.

Dachu nie ma wcale.

Gdy widzowie patrzą na gwiazdy sceniczne, gwiazdy niebieskie spoglądają na nich.

Scena piękna i obszerna—a orkiestra mieści się nie pod nią, lecz nad nią, z boku, naprzeciw łoży królewskiej.

Ogromny środek teatru, wypełniają luźno, stosunkowo nieliczne krzeselka, nienumerowane.

Mimo to tłumno w nim i gwarno, jak w ulu.

Włoch nie może długo usiedzieć spokojnie, kręci się, rozprawia i gestykuluje — a żaden naród nie

poprzestaje na tak małych bodźcach do odruchów, jak Włosi.

Ktoś się z kimś przemówił w jednym końcu sali, komuś tam upadł kapelusz w drugim, albo złamała się laska—wnet cały teatr musi o tem wiedzieć, musi to widzieć, i doznane pobudzenia nerwowe zużyć w formie słów i gestów.

Wykwintnie ubrane damy stają najpoważniej w świecie na krzesłach i patrzą przez głowy sąsiadów, dopóki się czegoś o przyczynie gwaru nie dowiedzą.

A wcale nie lepiej dzieje się i podczas samego przedstawienia.

Zadowolenie i niezadowolenie Włochów objawia głośno, a objawia bezustannie, tak, iż gwar w teatrze jest ciągły.

Aktorowie jednak, widocznie przywykli do niego, nie zrażali się nim wcale.

Grano dramat „Giuseppe Balsamo“ przerobiony przez Dumasa syna ze znanej powieści ojca: „Pamiętniki lekarza.“

Przeróbka długa i słaba; ale obaj Dumasowie mają ogromne, zasłużone zresztą, powodzenie za Alpami; w księgarniach i na stacyach sprzedają całe stosy ich utworów w tanich przekładach i bodaj czy nie oni dwaj dopiero uczynili literaturę francuską popularną we Włoszech. Przedtem utwory nadsekwankie traktowano tu z pewną niechęcią rasową.

Przedstawienie trwało od 8^{1/2} do 1-ej w nocy! Mimo więc, że *wszystkie* role były grane do-

brze (co łatwo można spotkać we wszystkich większych miastach, tylko nie u nas), miałem tego dobrego po uszy i podziwiałem wytrwałość Florentczyków, którzy doskonale bawili się do końca.

Porównywając z jednej strony aktorów naszych, z drugiej francuskich i włoskich—widzimy olbrzymią różnicę temperamentu. Wszystko tam o kilka stopni wyżej się bierze: i płacz i śmiech i deklamacja i gest każdy—przedewszystkiem gest.

Jeżeli Francuz rodzi się deklamatozem — to Włoch aktorem mimicznym.

To też na scenach włoskich uderza cię ta żywość i gętkość ruchów, której brak tak często naszym aktorom zarzucamy, mówiąc, że się ruszać nie umieją, że stoją lub siedzą, jakby byli z drewna—a to niezależnie od przesady i afektacyi, do której wszyscy mierni aktorowie na całym świecie są skłonni.

I nasz teatr nie doszedł jeszcze do przekonania, że prawdziwa sztuka tylko w naturalności może czerpać siłę—i u nas szarża zbyt często zastępuje efekty naturalne, a ogólny ton akcyi bywa jeszcze koturnowy, bez najmniejszej potrzeby; ale we Francyi i we Włoszech, taki umiarkowany w efektach aktor, nie miałby najmniejszego powodzenia.

W jednym i drugim kraju akcyja jest zawsze żywszą, wyrazistszą, krzykliwszą niż u nas i tylko bardzo wielkie talenty zdobywają się na pewną miarę w ekspresyi. Francuskie w gestach — włoskie w tonie mowy. Włosi żywych gestów zrzecby się nie mogli i przeciętnemu ich aktorowi raczej nadmiar ruchów niż sztywność zarzucić można.

W deklamacyi są wprowadzić wogóle mniej

przesadni od Francuzów (u których każdy aktor jest potrosze błaznem), ale gdy chodzi o momenta żywszych, silnie akcentowanych uczuć, urządzają takie przeskoki w głosie, basowe i falsetowe, że mimowoli pytasz, czy to nie zwierz jaki ryknął albo szczeknął za sceną.

Nawet kazania kościelne nie obchodzą się we Włoszech bez nadmiernie plastycznej pantominy; co tem więcej uderza cudzoziemca, ponieważ owa, tak wymowna reprezentacya, odbywa się najczęściej przed pustemi ławkami.

Nas tego rodzaju „realizm“ razi—ale Włochów entuzjazuje.

Pominąwszy wszakże tę często rażącą przesadę, sztuka dramatyczna włoska posiada ważną zaletę—jest w całym tego słowa znaczeniu *wyrazistą*—i dlatego to cudzoziemiec łatwiej zrozumie przedstawienie włoskie, niż każde inne. Być może, że cecha ta, po za śpiewnością języka i geniuszem twórczym Włochów, przyczyniła się do tak wielkiego rozpowszechnienia opery włoskiej po świecie.

Treść wyrazów staje się przejrzystą, przez dobre ich akcentowanie i przez żywą grę mimiczną.

W jednym tylko wypadku byłem zmuszony narzekać na ten wrodzony talent Włochów — a mianowicie przy zasięganiu wiadomości o kierunku drogi. Gdy w grę nie wchodzi odcienie uczuć i gdy zależy tylko na prostym a treściwym opisanu drogi, gadatliwość, wyrazistość deklamacyjna i bujna gestykulacya Włochów, zamiast ułatwiać, utrudniają zrozumienie mowy.

Mieszkaniec północy, zapytany, jak należy iść

przez miasto, ażeby dojść do pewnego punktu — odpowie ci poprostu: idź tak, a potem zbocz na prawo lub na lewo.

Włoch na tem nie poprzestanie. Zacznie wywijać ręką, jedną i drugą, przekręcać się całym ciałem, rysować palcem w powietrzu — i swą długą, mocno akcentowaną tyradę, podczas której, trzy razy wiesz i trzy razy przestajesz wiedzieć, jak masz iść, słysząc ciągle, to *sempre dritto*, to *destro*, to *sini-stro* — zakończy plastycznym, często nawet kwiecistym frazesem, za który czujesz się w obowiązku bardzo pięknie mu podziękować, chociaż dowiedziałeś się i za wiele i za mało zarazem.

Pod względem informacji w drodze, niema jak Anglicy. Nie przeczę, że Berlińczyk jest ścisły, choć często gburowaty, Wiedeńczyk nawet grzeczny, a Paryżanin i grzeczny i rozmowny, a także nierzadko dokładny — ale Anglik, choć sztywny i małomówny, najjaśniej wyłoży ci to, co chcesz wiedzieć w kilku słowach, czasem tylko w kilku najniezbędniejszych giestach.

Pokaże ci np. tak:

Ruch ręką prosto—to znaczy, że masz iść przed siebie.

Trzy palce i ruch ręką na lewo—to znaczy, że potem masz wejść w trzecią ulicę na lewo.

I basta. Przyłoży rękę do kapelusza na pożegnanie — reszty dowiesz się dalej.

Przypominam sobie z pobytu w Londynie następującą scenę:

Jedną z najbardziej ruchliwych a wązkich ulic jechał wóz z kapustą. Złęciało mu koło i główki

kapusty wysypały się w znacznej części na bruk. Zebrało się kilkunastu gapiów — do których w tej chwili podszedł sztywny, czarno ubrany policyant.

Nie mówiąc ani słowa, laską zagarnął owych gapiów i wskazał im, że mają pomódz właścicielowi w zbieraniu rozsypanych głów kapusty.

Skinienie to wystarczyło, ażeby wszyscy zabrali się do roboty. W mgnieniu oka woźnica założył koło — widzowie poskładali napowrót głowy kapusty, policyant machnął ręką — i wóz potoczył się w swoją drogę.

W podobnym wypadku w Warszawie gapiów byłoby nie kilkunastu, ale kilkudziesięciu; żadenby się nie ruszył do pomocy; nieład trwałby co najmniej pół godziny i ruch uliczny byłby na dłuższy czas zatamowany.

Niebyłoby wprowadzie takich krzyków jak w mieście włoskiem — krzyków, które zresztą mają swój humor — ale nie obeszłoby się bez obelg i wymyślań, ponieważ i ci, którzy ulegli wypadkowi i ci, którym drogę zagroził, wzajemnieby się oskarżali o złą wolę.

We Włoszech zbiegowisko byłoby jeszcze większe niż u nas, krzyki znacznie głośniejsze i śpiewniejsze, a pomoc nie wiele większa. Tylko, że nie branoby wypadku ze strony tragicznej.

Co się zaś tyczy informacji podróżnych, to u nas inna jeszcze wada charakteru narodowego w grę wchodzi.

Jest nią nieściskość i mówienie na wiatr. Ktoś słyszał zaledwie, że dzwonią, ale wnet na poczekaniu domyśli się w którym kościele — i trafi jak kula

w plot. Zapytasz: gdzie mieszka X? Wnet wskażą ci numer i ulicę, z tą małą omyłką, że interlokator wziął nazwisko X za Y, że zamiast Alei Jerozolimskiej wskaże ci Ujazdowską i zamiast N-ru 78 — 87. Uczynność jest—ale dokładności i przezorności w użyciu języka nie ma.

Włoch nieraz skłamię, dla farsy — czego znów Polak nie uczyni, ale przynajmniej nie będzie cię w błąd wprowadzał nie chcący, jeśli czego nie wie napewno.

XII.

Dziesięć godzin jazdy, pośpiesznym pociągiem, oddziela Florencję od Rzymu.

Stajemy u wrót wiecznego miasta.

Dwadzieścia siedm wieków i dwa różne światy patrzą na ciebie z wysokości tych wzgórz i z głębi tych dolin. Znasz je z dziejów i czekasz, rychło odsłonią ci swój majestat.

A! otóż i stacya!

Rozglądasz się po placu Dyoklecjana i widzisz kilka gmachów nowożytnych, takich jak wszędzie, kilka dorożek i omnibusów hotelowych, takich jak wszędzie, i gromadkę gapiów ulicznych — jakby u nas.

Ale nie zrażasz się tem. Powiadasz sobie, że ta gromadka — to lud rzymski. Ten elegancki młodzieniec z czarnymi wąsikami i pleciem na ramieniu — to młody patrycyusz, wracający z podróży do kraju barbarzyńców. Ten czarny strażnik bezpieczeństwa, we fraku i stosowanym kapeluszu — to liktor, który tylko gdzieś zgubił wiązkę prętów i zamienił toporek na szpadę. A w tej poważnej surowej niewieście, która podtrzymując ogon jedwabnej sukni, wsiada do karety, upatrujesz gwałtem podobieństwo do matki

Grachów — i gotów byłbyś nawet otyłego obywatela, z grubym łańcuszkiem od zegarka, mocno obwieszonemu brelokami i amuletami, uważać za senatora rzezypospolitej, gdyby ci nie przypominał jakiejś znajomej twarzy z giełdy warszawskiej.

Nie ma jednak czasu na refleksyę, trzeba wsiadać do omnibusu hotelowego, bo rusza za chwilę.

Ciągną go dwa łagodne rumaki, w których od razu poznajesz potomków tej dzielnej rasy, co Nero-na i Cezara wozila do Amfiteatru. Też same małe lby a duże kopyta, krótkie szyje, ten sam bujny a przycięty ogon — tylko wychudły nieco niebożęta w epoce przyśpieszonej cywilizacyi i straciły na temperamencie.

Ale nie śmiej się z tej metamorfozy starego Rzymu, bo oto zaledwie wjechaliśmy w ulicę, gród Romulusa wychyla się przed nami z po za szpalerów nowożytnych domków.

Tu ślady muru olbrzymiej grubości, z poszanowaniem ominięte przez ulicę, tam szczątki łuku i filary jakieś, co snadź w niebo sięgały niegdyś wysoko; owdzie fontanna dziwnej konstrukcyi, wieje na cię chłodem dawno minionych stuleci.

Już to fontann w Rzymie nie brak.

Jeżeli Wenecya jest miastem kanałów, Bolonia kolumnad, Florencya kwiatów, to Rzym jest miastem wodotrysków.

Wszędzie ich pełno, jedne piękniejsze od drugich, a nie oszczędzają ich, tak jak u nas, chowając tylko na dnie świąteczne.

Pod względem ludności Rzym nie jest większy

od Warszawy ¹⁾ liczy jej bowiem 250,000 (w której to liczbie nawiasem mówiąc, znajduje się przeszło o 34,000 więcej mężczyzn niż kobiet), ale rozrzucony na siedmiu pagórkach, zmieniający co krok charakter, robi wrażenie rozległe i zbladzić w nim nie trudno.

Największa z rzek włoskich, brunatny i brudny Tyber, rozdziela go na dwie nierówne części, z których znacznie mniejsza na prawym brzegu, nowożytna, kończy się kościołem Świętego Piotra, większa, przeciwległa, starożytna, łaźnią Caracalli z południa i łaźnią Dyoklecjana z północo-wschodu; pośrodku niżej stary Rzym ze swem ogniskiem na Kapitolu, wyżej nowoczesne *Corso*, jedną prostą linią przerzynające miasto nowe, aż do *Piazza del Popolo*, północnego krańca Rzymu.

Wchodzimy na *Corso*.

Jestto długa ulica, odgrywająca w Rzymie rolę osi ruchu, łączy bowiem dwie główne stacje autobusowe: Plac Ludu z północy i Plac Wenecki z południa. Nie odznacza się jednak niczem osobliwym, wązka, pałaców ma niewiele, sklepy miejscami tylko ozdobne, ale ruch na niej ogromny i gwar uliczny większy niż gdzieindziej.

Bezustannie przeciągają wózki naładowane owocami i innymi towarami, a handlarze uliczni zachwalają je, krzycząc, śpiewając i deklamując:

¹⁾ Było to w r. 1879 i wtedy różnica była małą; dziś jest Warszawa znacznie większą od Rzymu, który liczy 400 z górą tysięcy ludności, gdy Warszawa przeszło 600,000.

- Ah! co za piękne brzoskwinie!
- Jakie szklanki! Jakie szklanki!
- La Libertà del Po-po-po-po-lo! (tytuł gazety).
- Śliczne wachlarze! wspaniałe wachlarze! Każdy dobry mąż kupuje swojej pięknej żonie, jeżeli chce, żeby mu była wierna!
- Un colombello tre soldi! Jeden arbuza za 3 soldi!

— Wszystko za jednego lira! i t. d. i t. d.

Do najliczniej roznoszonych towarów należą także zapalki (woskowe), które kupują głównie podróżni, ponieważ ani w hotelu, ani w restauracji nigdzie zapalek nie dają.

Po drodze spotykamy parzysty szereg kleryków w czerwonych sutannach, a potem znowu takiż szereg w fioletowych, wreszcie oryginalną gromadkę dziesięcioletnich chłopców we frakach, cylindrach i białych krawatach, za którymi idzie poważnie młody jezuita w wielkim kapeluszu.

Dzieciaki w tem ubraniu wyglądają jak nakręcane marynetki.

Zejdźmy na lewo w kierunku Sw. Piotra i Zamku Anioła.

Uliczki coraz węższe, a brudne... Boże odpuść!

Wszelkiego rodzaju szczątki zalegają bruk a gromady próżniaków włóczą się z kąta w kąt. Jest ich szczególnie wiele w południowej, żydowskiej części miasta.

— Z czego ci ludzie żyją? — zapytałem jednego z miejscowych.

— E! alboż im to wiele potrzeba, żeby żyć? Niech tylko z dziesiątego straganu świeżnie po jednej

gruszcze albo bulce, to i ma dosyć. Mieszkania nie potrzebuje, bo pod murem zawsze miejsce znajdzie, a ubrania tem mniej, bo chodzi pół nago. Zresztą grają w kości po *Trattoriach* z porządnymi ludźmi i tem powiększają swoje dochody.

Takich włóczęgów tolerowanych jest podobno w Rzymie do 30,000, a jaka tam musi być ciemnota, to najlepiej wskazuje statystyka. Według spisu ludności z r. 1871 na 244,000 mieszkańców, 115,000 nie umiało ani pisać, ani czytać!...

Wchodzimy na *Via del Orso*.

Co kilka domów widać głębokie przedsionki, zupełnie otwarte od ulicy, w których olbrzymie brudne kadzie z wodą służą do prania bielizny.

Włoch nie trzyma się francuskiej zasady, że należy w domu prać swoje brudy; piorą je wszędzie po ulicach, a całe ściany, drzwi i okna, obwieszane są schnącą bielizną.

Mijamy jeszcze kilka uliczek, zamieszkałych przez rzemieślników, którzy w odkrytych sklepach, pracują, przybrani w białe papierowe czapki, i dochodzimy nareszcie do Tybru, którego lewy brzeg łączy z Zamkiem Anioła wygodny most kamienny, nieśmacznie naszpikowany posągami.

Zamek Anioła, sławne więzienie Beatrix Cenci, Benvenuto Celliniego i szarlatana Cagliostro (którego Dumas uwiecznił i zidealizował we wspomnianej wyżej powieści), jestto szeroki a niski cylinder z czerwonych trawestyńskich kamieni, przyozdobiony olbrzymim posągiem Anioła; niegdyś grób rodzinny Hadryana, dziś imitacja fortecy.

Zdaleka widać już dokładnie kopułę największe

w świecie bazyliki, ale potrzebujemy jeszcze przejść jedną z trzech brudnych i wąskich uliczek, przepelnionych sklepami pamiątek rzymskich, krzyżyków, medalików i obrazków, ażeby dostać się do niej.

Kościół bowiem leży na samym końcu miasta, zamykając je od północo-zachodu.

Nareszcie widok się odsłania.

No i cóż? zapytasz czytelniku, jakie wrażenie?

Wrażenie jest takie, że spojrzawszy na kościół, patrzysz na kolumnady, obejmujące plac w półkoło.

Wobec ich niespodziewanego ogromu, spodziewany ogrom świątyni ginie.

I tak ze wszystkim, zewnątrz i wewnątrz.

Chcąc wystawić największy kościół na świecie, zapomniano o jednym warunku czysto psychologicznym, zapomniano zbudować go tak, ażeby nietylko był ale i wydawał się największym.

Awangarda świątyni: dwa boczne łuki kolumnad, tworzące trzy olbrzymie chodniki osłonięte przez cztery rzędy 284 słupów doryckiego porządku, są tak majestatyczne, że mimowolnie zmniejszają ogrom samego gmachu.

Wszystko tu zbyt wielkie jak na otoczenie; i obelisk ogromny w środku placu, u którego stopni kamienne płyty cztery strony świata wskazują, i dwie po bokach jego fontanny na 40 stóp wodę wyrzucające, wszystko to ginie w tem tytanicznem objęciu kolumnad.

Przypominasz sobie pierwsze wrażenie katedry kolońskiej i czujesz, że tamto było silniejsze.

Dlaczego?

Bo tum koloński otaczają małe domy, wobec których ogrom rzuca się w oczy.

Toż samo wewnątrz. Tam wnętrze puste, ze wszystkich stron sprowadza wzrok ku sklepieniu, czujesz jedną myśl, jeden ogrom. Tu tych ogromów za wiele. Przedewszystkiem bowiem sam środek kościoła nie jest wolny. Szpeci go kolosalny baldachim spiżowy, który sam w sobie mógłby być efektownym. Oslania on ołtarz, w wielkie tylko święta samemu papieżowi służący, a podtrzymują go cztery mocno złożone słupy w kształcie śruby, dla których odlania zabrano z Panteonu 186,000 funtów spiżu!

Łatwo zrozumieć, że taki baldachim na 70 przeszło stóp wysoki, może osłabić efekt nawet Piotrowej kopuły.

Przytem i całe pstrokate wnętrze świątyni przeładowane jest mnóstwem architektonicznych dodatków.

Posagi, bardzo słabe pod względem artystycznym, ale na 13 stóp wysokie, 30 olbrzymich ołtarzy, kilkadziesiąt konfesyonałów dla wszystkich języków świata, a między nimi jeden *pro polonica lingua*, 148 słupów i niezliczone mnóstwo innych ozdób brązowych, marmurowych i złotych, wszystko to zasypuje ci oczy, zatracając poczucie jedności.

Chcąc je mieć, musisz wejść pod sklepienie kopuły i dopiero ztamtąd, widząc, że pióro jednego z apostołów, któreś z dołu oglądał, ma 17 stóp długości, widząc maluczkość postaci ludzkich snujących się po posadzce kościoła, jakby po placu

jakiś ogromnym, uznajesz wielkość i korzysz się przed nią.

W samym środku kościoła przed baldachimem jest wgłębienie podziemne, otoczone galeryą i łańcuchem 89-ciu lamp brązowych, złożonych, wiecznie płonących. Strzegą one grobowca Św. Piotra, do którego schodzi się po podwójnych marmurowych schodkach.

Przed drzwiczkami podziemia klęczy prześliczna z białego marmuru postać, modlącego się Piusa VI, dłuta Canovy.

Posąg ś. Piotra stoi po prawej stronie w górnym kościele. Jest on czarny, ze spiżu, przetopiony podobno z Jowisza kapitolńskiego jeszcze w V wieku po Chr. Robota to słaba, ale ma wartość pamiątki, dla której uczczenia pobożni całują prawą stopę apostoła.

Trwa to od kilkunastu wieków; miliony, jeżeli nie miliardy wiernych przewinęły się u stóp świętego, i dziś noga którą całowano, jest tak starta, że palców nie znać już prawie...

Metal zniszczony ustami wiernych!

Z przeciwnej strony, na grobowcu Inocentego XI mieści się piękna płaskorzeźba, przedstawiająca odświeżenie Sobieskiego pod Wiedniem. Inne rzeźby i obrazy pomijam; jest ich zawiele, ażeby je wyliczać, a za mało dobrych, ażeby się nad nimi rozpisywać. Barwistych i kosztownych ornamentów, w smaku szkoły Berniniego, nie brak, ale niema w nich tej myśli podniosłej a jednolitej, tej harmonii duchowej, która w innych świątyniach pierwszorzędných, napawą oko i serce spokojem i majestatem wiary,

Chciano wybudować kościół największy i najbogatszy na świecie — i wybudowano go. Oto i wszystko.

A wiecież, ile skarbów włożono w to olbrzymie przedsięwzięcie, które miało ziemskiej chwały przysporzyć Kościołowi? Już w wieku XVII ogół kosztów wynosił 47,000,000 skudów, to znaczy blisko 63,000,000 rubli, a razem z nową zakrystią jeszcze o milion więcej. Od tego zaś czasu koszt utrzymania świątyni wynoszą rocznie 50,000 rubli!

XIII.

.
Pogańskim biegunem Watykanu jest Kapitol.

Tu i tam schodziły się promienie dwóch światów, z których jeden miał ustąpić drugiemu.

Wyszedszy z placu Weneckiego, przez wąskie uliczki dostajemy się w dwie minuty na mały plac, przed którym na najmniejszym, ale zarazem najbogatszym we wspomnienia pagórku rzymskim, wznoszą się trzy pałace kapitolińskie.

Dwa lwy egipskie strzegą wejścia pod górę o niskich, ale na sążeń długich stopniach z asfaltu, a u ich szczytu dwa również starożytne posągi Dioskurów, trzymających rozbrykane konie, niegdyś z teatru Pompejusza wzięte.

Z bijacem sercem, naciskani przez żar słoneczny wchodzimy z tych schodów na placik kapitoliński, ozdobiony w środku wielkim spiżowym pomnikiem króla-filozofa, Marka Aureliusza na koniu.

Tu i owdzie znać na nim jeszcze ślady złoceń, a legenda głosi, że gdy ów posąg na nowo złotem się pokryje, wówczas Rzym stary odzyska dawną swą wielkość i siłę.

Przed nami trzy gmachy, wielkie choć jedno-piętrowe, na dachu otoczone galeryą, a ze środkowego nadto, którym jest Pałac Senatorów, wyrasta wieża czworokątna z zegarem, również galeryą zakończona.

Wieża ta kryje dzwon, który tylko w dwóch wypadkach się odzywa: gdy się rodzi karnawał i gdy Papież umiera.

Dla dzisiejszych bowiem rzymian dwa te wypadki są zarówno ważne, a najwięcej pono wtedy, gdy drugi przeszkadza pierwszemu.

Pałac pokryty jest tablicami pamiątkowymi z czasów zjednoczenia włoskiego.

Ani on, ani dwa boczne: *Pałac Konserwatorów*, czyli ratusz, z prawej, u dołu zajęty przez straż ogniową—i *Muzeum kapitolńskie* z lewej—nie noszą na sobie nawet pozorów starożytności. Takimi jak dziś, są dopiero od XVII wieku.

Stoisz na miejscu, w którym Romulus zbiegów ościennych zgromadzał, gdzie się odbywały pierwsze zebrania ludowe, gdzie dzielny Manlius stawiał czoło nawale Gallów, gdzie wrzała pierwsza wojna domowa przez Grachów wszczęta.

Stoisz na pagórku, który odbijał fale Wandalów i Gotów, a potępionych strącał z sąsiedniej skały Tarpejskiej — a jednak ani śladu po tem wszystkiem!

Gdyby nie tych kilka antyków wystawionych na świadectwo przeszłości, gdyby nie ten Marek Aureliusz w konnej postawie, który zresztą z Kapitołem najmniej miał do czynienia—nie wiedziałbyś na-

wet, że stąpasz po ziemi uświęconej tylu wielkimi czynami, i tak bezprzykładną reklamą.

Rozglądasz się i chciałbyś wiedzieć, zkad tu napadano, gdzie się broniono, jakim cudownym sposobem taki lichy pagórek mógł być fortecą świata, chciałbyś przynajmniej wiedzieć, gdzie się mogły gnieździć owe sławne gęsi kapitołińskie, które Rzym ocaliły, a tu tymczasem — *nec locus ubi Troja fuit*.

Nasycony grozą opowieści o strącaniu przestępców ze skały Tarpejskiej, chciałbyś przynajmniej te wspomnienia, naocznym widokiem uplastycznić. Wszakże skała i przepaść to rzeczy trwalsze niż mury...

Ale gdzie tam! Wcale nie trwalsze. Kurz i piasek, który wieki znosiły w tę przepaść, zasypał ją tak starannie, że dziś, w ogrodzie protestanckiego kościoła skaczesz bezkarnie ze skały Tarpejskiej... na kupę śmieci.

Sic transit gloria mundi.

Ale nie tak jest bynajmniej z całym Rzymem starym.

Roma vetus żyje jeszcze we wspaniałych gruzach swej świetności, tam, za Kapitołem.

Niegdyś prawdopodobnie i ztąd widok był otwarty. Dziś dla ujrzenia *Forum*, *Luku Sewera*, *Konstantyna*, świątyń, amfiteatru i pałaców cesarskich, będziemy musieli zejść po za gmachem senatorów, po *via del Campidolio*, w głąb doliny.

Pierwej jednak zjrzyjmy do muzeów.

Jest co widzieć i z jednej strony i z drugiej.

Na prawo Pałac Konserwatorów ukazuje nam

najprzód swój podwórzec, zastawiony kolosami różnego rodzaju.

Tu ręka, tam ramię i noga jakiegoś olbrzymiego posagu; wspaniała urna, która niegdyś kryła popioły Agrypiny, a potem służyła za krobkę do ziarna.

Dalej posąg Romy, głowa bronzowa zdumiewającej wielkości, koń przez lwa rozdzierany, i mnóstwo innych, szczątkowych już tylko pamiątek.

Na górze, ogromny korytarz z popiersiami znakomitych Włochów, do których w ostatnich czasach przyplątało się kilku Niemców i Francuzów. Mówię „przyplątało,“ bo wyborowi nie przewodniczyła żadna myśl głębsza.

W podwórzu muzeum kapitońskiego (z przeciwnej strony) uderza oko przede wszystkim kolosalnej wielkości Neptun, czy też inny bóg wodny, z muszlą w dłoni, na pół leżący przed fontanną.

Na górze, w sali bronzów, niezmiernie ciekawy i piękny zabytek konia, ze spiżowej blachy, którego czas poszarpał już i połamał, a który jednak na drewnianych podpórkach stojąc, jeszcze dzielną minę zachował — i nie uszkodzona prawie, ale mniej warta pod względem artystycznym, wilczyca karmiąca Romulusa i Rema. Sięga ona IV w. przed Chrystusem i jest ciekawa pod jednym jeszcze względem: na udzie jej znajduje się ślad od uderzenia piorunu, o którym wspomina Cicero, oznaczając datę jego na r. 65 przed Chr. Posąg obejmował wówczas samą tylko wilczycę — bliźnięta późniejszym są dodatkiem.

Zwróciła też moją uwagę wielkość sarkofagów

z płaskorzeźbami bitew pomiędzy Gallami i Rzymianami, oraz resztki marmurowego planu Rzymu z czasów Septima Sewera. Salę zdobi nadto cały tłum filozofów i cesarzów, w popiersiach, niesłychanie ciekawych dla fizyognomisty—cudowna mozaika gołębi nad miską wody, znaleziona w willi Hadryana—wreszcie dwa arcydzieła rzeźby: jedno, które można znać z kopii:—*Umierający Gładyator* i drugie, którego żadna kopia poznać nie da: *Wenus Kapitołińska*. Ta ostatnia ma być podobno oryginalnem dziełem Praxitelesa.

W tem miejscu muszę uczynić nawias.

Przedewszystkiem chcę uprzedzić czytelnika, że o rzeźbie nie mam najmniejszego pojęcia;—że sztuką wogóle interesuję się tylko jako amator, i że nawet historyi jej specjalnie nie studyowałem. To więc, co piszę, raczy łaskawy czytelnik uważać tylko jako przelotne wrażenia przeciętnego amatora, bez najmniejszej pretensyi do znawstwa, co najwyżej z pretensją szczerości.

Co powiedziawszy wracam do rzeczy.

Otóż, zwiedzając galerie włoskie, niemieckie, francuskie i angielskie, przyzwyczaiłem się ulegać rozczarowaniu wobec niejednego arcydzieła, które cały świat artystyczny wysławia.

Nie mogłem np. w żaden sposób obudzić w sobie zachwyty dla drezdeńskiej Madonny Rafaela i przyznaję, że stokroć silniej przemawiała do mnie Madonna Murilla, w paryzkim Luwrze. Holbeinowska zaś jest dla mnie całkiem *hors concours*, jako zbyt ordynarna.

Być może, że sądy te i rozczarowania wynika-

ją z jakiejś wady indywidualnej. Mniejsza z tem; ale to pewna, że zarazem w ciągu tych przeglądów, miałem kilka tak miłych niespodzianek, kilka tak silnych i podniosłych wrażeń, że nawet przygotowanie się do nich w niczem nie osłabiło niespodzianki.

Takich dostarczyły mi w Watykanie rzeźby: „Perseusz“ Canovy, „Merkury“ — antyk, mylnie nazywany Antinousem i „Apollo Belwederski“ — a tu, i przede wszystkim: „Wenus Kapitołińska“.

Kto widział Wenus w pałacu Łazienkowskim w Warszawie, ten nie ma jeszcze żadnego pojęcia o Wenerze Florenckiej w galeryi Uffizi. A kto widział tę ostatnią, temu jeszcze bardzo daleko do pojęcia o tem, czem jest Wenus, królująca na Kapitolu.

Nigdy marmur kararyjski nie wydał tak żywego ciała — chyba w Perseuszu Canovy.

Nawet twarz, u wszystkich innych Wener popolita, tu ma wyraz jeżeli nie rozumny, to przynajmniej tak dla mnie sympatyczny, przy klasycznych rysach, że i od żywej bogini piękności więcejbym nie żądał.

A co za biust, jakie ręce — chociaż do ciasnej rękawiczki nie stworzone — jaki urok całości!

Jeżeli ten kawał marmuru nie ma duszy, to ma niewątpliwie krew, ma nerwy i mięśnie, ma skórę najdelikatniejszą z płci niewieściej, a czegoż chcieć więcej od bogini, która z piany morskiej powstała?

Wychodzisz z jej pokoju i wracasz do niego.

Wybaczasz mu nawet niesmaczną „Ledę z labędziem“, którą obok, dla kontrastu chyba umieszczo-

no, a wychodząc z galeryi, oglądasz się jeszcze, bo ci się zdaje, żeś w tym lesie marmurowych figur jakąś żywą istotę zostawił.

Cześć mistrzowi! Niebo, dla stworzenia miękiego ciała Afrodyty, potrzebowało aż pianki morskiej—Praxiteles stworzył ją całą z kamienia.

O tamtej zapomniała Grecya, ta Grecyę przetrzymała.

Na nieszczęście reprodukcye nie dają o niej pojęcia. O ile Venus z Luwru np. zyskuje na fotografii, o tyle ta traci.

Zobaczywszy Venus, możemy już zejść z pagórka po za pałac senatorów.

Zaledwieśmy się wychylili z za węgła, spostrzegamy zupełnie inny świat, inne powietrze.

Jakaś dziwnie ponura głoza przejmuję umysł na widok tej rozległej doliny, tych dolów do połowy zaspanych piaskiem, tych kolumn poprzetrącanych i murów sterczących nago i martwo.

Pusto tu i bezludno, bardziej jeszcze niż wówczas, kiedy po haniebnej porażce pod Alią armia rzymska uszła do Vejów, a mieszkańcy, częścią rozproszeni, częścią skupieni na Kapitolu, zostawili ulice i domy otworem dla wroga, który zwolna i lekceważąco, łupiąc i uczując po drodze, ciągnął pod mury Rzymu.

Świątynie pozamykano, bogów zakopano w ziemi lub uniesiono w kraj ościenny, na rękach Westalek.

Zda się, że widzisz jeszcze, tu, na Forum, osiemdziesięciu owych starców, których ciężar lat przykuł do miejsca, siedzących pod kolumnami, na

białych krzesłach kurulnych i osłaniających miasto jedyną bronią, jaka im została: siwizną swych włosów.

Już pod samym pałacem senatorów spostrzegasz ślady dawnych murów, służących nowym za fundamenta, a które na kilkadziesiąt lat przed Chr. dźwigały archiwum państwa.

Było to tak zwane *Tabularium*, później na główny skład soli zamienione. Obejmowało ono pięć rzędów filarów i sklepień, zewnętrznym doryckim przedsionkiem otwierające się w dół, ku Forum.

O kilka kroków dalej sterczy jeszcze osiem filarów świątyni Saturna, trzy olbrzymie słupy świątyni Wespazyana i bogato płaskorzeźbami przybrany łuk Septimiusza Severa.

Pierwsze sięgają piątego wieku przed Chr., stoją więc już lat 2,200, i od najdawniejszych czasów kryły w sobie skarb państwa.

Pomiędzy świątynią Wespazyana i łukiem Severa na stokach Kapitolu, ślady świątyni Zgody przypominają pojednanie plebejuszów z patrycyuszami i sławną mowę Agrippy o żołądku, rękach i nogach, która lud rzymski skłonić miała do powrotu z góry świętej.

Przed temi zwaliskami rozciąga się dolina, dzieląca Kapitol od Palatinu, której środek zajmuje na lewo *Forum Romanum* z resztką ośmiu kolumn w rzędzie stojących, a z prawej, ślad ogromnej *Basilica Julia*, która niegdyś miała dwa szeregi kolumn, prostokąt podłużny obejmujących, a dziś tylko tu i owdzie urąga czasowi szczątkami połamanych podstaw.

Obok nich mieści się, dziś jeszcze widzialny, olbrzymi kanał miejski *Cloaca maxima*, przez jednego z Tarkwiniuszów zbudowany, który całą dolinę z wód osuszał, i dziś jeszcze zadanie swe spełnia.

W tej to dolinie rozgrywały się nieraz losy Rzymu.

Tu była stoczona wielka bitwa z Sabinami, po porwaniu im żon i córek. Tu rzeczpospolita stanowiła swe prawa, a z mównic (rostra), których ślady jeszcze pozostały, rozlegał się głos trybunów. Tu odbywały się walki gladyatorów, zarówno jak i posiedzenia sądowe, tu wreszcie palono ciała bohaterów; i może dziś jeszcze twa noga, ciekawy przechodniu, nadepcze jaki niewidzialny atom z popiołów wielkiego Cezara. Tu, z tej kamiennej estrady przebiegły Antoniusz wypowiedział swą świetną mowę ku uczczeniu zasług zamordowanego dyktatora i spowodował dlań zaszczytny pogrzeb na stosie z płomieni, wobec najświętszych miasta pomników. Tu wreszcie na jednej z mównic, tenże Antoniusz wystawić kazał głowę i prawą rękę Cyncerona, przez jego siepaczy zamordowanego, a czcigodna małżonka konsula, na swój sposób oddała ostatnią posługę wielkiemu mówcy—język jego pokłuwszy szpilkami.

Była to odpowiedź na „filipiki“ Cyncerona.

Ale trzebaby przebiecz całe dzieje rzeczypospolitej i cesarstwa, wypowiadając wspomnienia, jakie widok tych zwalisk na pamięć nasuwa.

Rzućmy jeszcze wzrokiem w dalszą głąb doliny.

Na lewo, gdzie grunt się podnosi, widać na

wzniesieniu kilka słupów, podtrzymujących mury świątyni Faustyny (żony Antoniusza pobożnego). Podobnie jak wiele innych i tę świątynię na kościelek przerobiono.

Na prawo zaś, na pagórku palatyńskim, widnieją zdala resztki pałaców cesarskich, resztki, z których dziś jeszcze, choć już forma ich dawna zaledwie domyślać się daje, możnaby kilka wspaniałych gmachów wystawić.

A cóż to musiał być za ogrom majestatyczny za czasów Cezara!

Jaki przepych za czasów Nerona, który sufity ze słoniowej kości rzeźbić kazał!

Nie należy jednak sądzić, że wszystkie gmachy publiczne, których ślady lub zwaliska starożytność nam pozostawiła, odznaczały się wielkością i przepychem. Świątynie Saturna, Wespazjana, Faustyny, Castora i Polluxa, Cezara nawet, są to budynki, rozmiarem swoim najmniejsze nasze kościółki przypominające.

Świątynie bowiem w starożytnym Rzymie nie miały bynajmniej tego ludowego charakteru, co późniejsze kościoły chrześcijańskie; budowniczym nie szło bynajmniej o to, ażeby lud wewnątrz świątyni znalazł miejsce.

Przypatrzmy się naprzykład świątyni Westy.

Jest to budka w kształcie grzyba, który oprócz jednej środkowej, szerokiej nogi, stanowiącej cały korpus świątyni, ma nadto dokoła dwadzieścia nóżek kamiennych, w stylu korynckim. Daszek lekko wypukły, drewniany, dorobiony dla osłonięcia ca-

kości, a wewnątrz miejsce zaledwie na kilkadziesiąt osób.

W tych świątyniach nie lud się modlił, dla którego wcale dostępnymi nie były, lecz kapłani, a względnie monarchowie; tylko więc dla innych powodów, a nie dla pomieszczenia społeczeństwa, nadawano im niekiedy większe rozmiary.

Chrześcianizm dopiero spopularyzował modlitwę.

XIV.

A teraz, jeśliś łaskaw czytelniku, pośpieszmy w inną stronę.

W dolinie, rozdzielającej pagórki Celius, Esquilus i Velia, zuchwale piętrzą się ku niebu zarysy kolosu, który odrazu wzrok przykuwa i każe zapomnieć o tych wszystkich drobnych świątynkach, wyglądających przy nim jak grzyby u stóp dębu.

To Koloseum.

Największy na świecie teatr, szczyt architektonicznej potęgi Rzymu.

Ni mniej ni więcej tylko 87,000 widzów znajdowało w nim wygodne pomieszczenie na ławach amfiteatru, cztery olbrzymie piętra eliptycznie obejmujących.

Sama scena miała w średnicy mniejszej 53,6, w większej 85,7 metrów długości.

Wysokość zaś gmachu sięga dziś jeszcze prawie 50 metrów.

Jak wam się podoba taki teatrzyk!

Ażeby sobie wytworzyć pojęcie o wspaniałości widowisk, jakie tu urządzano (pominąwszy groźny i wstrętny dziś dla nas ich charakter), należy wszel-

kie dzisiejsze miary i liczby przy najwystawniejszych sztukach czarodziejskich w grę wchodzące, nie powiem podwoić, ale przez sto pomnożyć.

Widowiska amfiteatru dzieliły się na cztery kategorie:

1) *Walki gladiatorów*, w których występowało po jednemu, po dziesięciu a nawet po paręset z jednej i tyleż z drugiej strony zapasników, a które za Trajana doszły do tak niesłychanych rozmiarów, że już nie setki, ale tysiące niewolników, umyślnie do tej sztuki zaprawianych, mordowało się dla uciechy ludu.

Byli to zwykli zbrodniarze lub jeńcy wojenni.

2) *Walki zwierząt*, które umyślnie w ogrodach zoologicznych hodowano i w razie potrzeby przed widowiskiem głodzono.

Bywało ich nieraz po kilka tysięcy z całego świata pościąganych.

Tak np. w r. 248 po Chr. cesarz Filip chcąc uczcić rocznicę założenia Rzymu, wyprowadził w szranki amfiteatru hipopotama, nosorożca, 10 tygrysów, 10 łosiów, 10 hyen, 10 żyraf, 20 dzikich osłów, 30 lampartów, 32 słonie, 40 dzikich koni i 60 lwów oswojonych, nie licząc wcale innych pospolitszych, których po kilka tysięcy padało wśród walki.

3) *Wojny morskie*, naśladowane, a raczej istotnie odbywane w obrębie sceny.

W tym celu wypełniano ją wodą i z bramy przeciwległej łoży cesarskiej, którą dziś jeszcze widzieć można, wyprowadzano rzeczywiste statki wojenne z żołnierstwem.

Do wody wpuszczano nadto różne potwory morskie, które nieraz w walce udział przyjmowały.

A gdy jedna slrona odniosła stanowcze zwycięstwo, wypuszczano wodę, wynoszono trupy, zasypywano piaskiem ślady krwi, wonnościami przytem napelniając powietrze, i można było przystąpić do nowej zabawki, którą na zakończenie stanowiło zwykle

4) *Pożeranie chrześcian przez dzikie zwierzęta.*

A lud patrzył, słuchał, wywijał chustkami klasał, wrzeszczał lub śmiał się do rozpuku.

W takiej szkole kształcił się młody rzymianin.

Tu konał Rzym Romulusa, tu także rodził się Rzym Konstantyna.

Krew dzikich założycieli miasta, pod grozą wrażeń, przetrawiała się zwolna w krew łagodnych apostołów chrześcijaństwa.

To, co dziś pozostało z Koloseum, mimo całego swego ogromu, jest tylko jedną trzecią częścią całości.

Inne budynki jeszcze bardziej ucierpiały; bo nietylko, że je czas z ziemią równał, ale i ludzie starannie do tego pomagali, rozszarpując materiały budowlany lub wyrywając z murów żelazo, które szczególnie w wiekach średnich do wielkiej doszło ceny.

Niektóre znów, jakkolwiek stoją dziś jeszcze jakby całe, ale przez szereg wieków uległy tak licznym metamorfozom — przebudowywano je i naprawiano tak bezmyślnie, że żaden zmartwypowstały rzymianin, nie poznałby w nich pamiątek swojej chwały.

Zaledwie epoka odródnienia, swym zwrotem do pierwowzorów klasycyzmu, i w tym kierunku zasadę poszanowania ustaliła.

Ale jakiejże to trzeba było siły odpornej, ażeby wszystkie burze dziejowe przetrwać i doczekać się tej epoki!

Jeden tylko budynek dokazał tego cudu. Jest nim *Panteon*.

Miał jednak i on swoją fatalną chwilę.

Wprawdzie zamienienie go na kościół, w wieku VII, obeszło się bez naruszenia budowli, ale w dziesięć wieków potem Urban VIII (*Barberini*), dla przyozdobienia bazyliki św. Piotra i zbudowania owe-go spiżowego baldachimu, o którym wspominałem, kazał pozdejmować z Panteonu tablice, płaskorzeźby, pokrycie dachu a nawet metalowe belki w kształcie rur z brązu, podtrzymujące wierzch portyku i przepięć je na śrubowe filary *Tabernaculum*...

Quod non fecerunt Barbari, fecerunt Barberini ¹⁾ jak się wyrażał Pasquin, twórca paszkwilów.

Lecz i tę niebezpieczną operację wytrzymał stary weteran. Zmizerniał tylko. Złocona blacha nie świeci już na kopule, fronton spochmurniał i zczerniał, ale mury na 15 stóp grube i całe sklepienie stoi niewzruszone. Ciężar lat przycisnął go tylko do ziemi i zagłębił tak, że gdy, za czasów Agryppy, pięć stopni prowadziło doń pod górę, dziś w dół zchodzić trzeba.

¹⁾ Czego nie uczynili Barbarzyńcy, tego dokonali Barberiniowie,

Kształtem swym przypomina on, a wielkością przewyższa kościół św. Aleksandra w Warszawie. Portyk o ośmiu słupach ogromnych, korynckich i kopuła, zuchwale oparta na samych murach tylko, czynią to podobieństwo widocznem.

Ale jakaż różnica w samej sztuce!

O czem zapomniano przy budowie św. Piotra, o tem tu pamiętano.

Mała świątynia, bez porównania mniejsza od św. Piotra, robi przecież wrażenie ogromne. Całe bowiem wewnątrz jest puste i wolne. Nic nie krępuje wzroku—wszystko sprowadza go ku górze.

A dość popatrzyć się w tę górę, ażeby zdumieć się śmiałością budowniczego.

Ponieważ wysokość gmachu wynosi 132 stóp—to znaczy tyleż co i średnica poziomą—kopuła więc jest względnie płaską, i wpatrując się w jej płyty marmurowe, czujesz straszliwy ciężar, jakby cudem zatrzymany nad twą głową!

Wistocie! Kazać takiej masie kamienia wisieć w powietrzu i utrzymywać ją tak, przez lat dwa tysiące—to sztuka nielada!

Bogactwa także nie żałowano, dla uświetnienia tej sztuki.

Marmury — ale nie te pospolite, lecz najrzadszych gatunków i kolorów, jak np. marmur bronzowy, zwany *giallo antico*, z którego dziś zaledwie biżuterje wyrabiają, tu składa całe kolumny, podtrzymujące niby nisze, czyli wgłębienia świątyni, dawniej dla bożków przeznaczone.

Nawet frontowe kolumny portyku są z rzad-

kich granitów czarnych i białych, w jednej sztuce na 13 metrów wysokie, a podstawy i kapitele mają z białego marmuru.

Ale najefektowniejszym szczegółem tej budowy, jest zupełny brak okien, i zastępujący je brak dachu u samego szczytu kopuły.

Środek kopuły, stanowiący koło, o dziewięciu metrach średnicy, jest otwarty — i tym sposobem osiąga się efekt, który w naszych budynkach tylko sztucznie, przez umieszczenie u sufitu słońca elektrycznego osiągnąć można, to jest, że światło pada z jednego tylko, a mianowicie środkowego punktu.

Było wprawdzie dawniej 14 okienek, pod gzymssem, ale je zamurowano.

Tym sposobem wszystkie posągi, fryzy, kapitele, łuki i kolumny, występują w jednolitem oświetleniu i w harmonijnych cieniach.

Ale, zapytacie może, coż się dzieje w świątyni podczas deszczu?

Ba! na to poradził sobie Rzymianin w sposób bardzo prosty:

Na środku posadzki, składającej szachownicę z brązowego i białego marmuru, porobił wgłębienia i otwory, któremi woda deszczowa natychmiast spływa do kanału.

Zresztą deszcz tak rzadko pada w Rzymie, że jeśli kogo pokropi, to sprawi mu raczej przyjemność niż przykrość. Panteon zaś, jak wszystkie świątynie rzymskie, nie był przeznaczony na to, żeby w nim tłumy dłuższy czas spędzały. Poświęcony „wszystkim bogom“ na pamiątkę zwycięstwa pod Actium

i ustalenia się pokoju, służył on tylko za miejsce czci urzędowej dla bohaterów i zasłużonych mężów ojczyzny.

Dziś mieści, między innemi, grobowce: Rafaela i pierwszego króla Włoch zjednoczonych, Wiktora Emanuela.

Po obu stronach kopuły, z frontu, widzieć można dwie przystawki, które „ni przypiął, ni przyłatał” budowniczy Bernini, za apostolstwa, wspomnianego wyżej papieża Urbana VIII, a mające służyć jako dzwonnice. Nazwano je „oślemi uszami Berniniego”¹⁾.

¹⁾ Zostały one usunięte w kilka lat później.

XV.

Zanim Rzym pożegnamy, zaprowadzę cię jeszcze, czytelniku, na wyżynę w samym końcu miasta, żebyś mógł objąć okiem całość starego i nowego Rzymu.

Mijamy *Piazza del Popolo* i wchodzimy pod górę po wygodnej wężownicy.

Już pierwsze piętro pagórka (nazywa się on *Monte Pincio*, prawdopodobnie od bogatej rodziny Pinciów, która niegdyś Rzym zamieszkiwała) daje piękny widok na plac Ludu, w którego środku cztery lwice otaczają wyniosły a smukły obelisk, sprowadzony jeszcze przez Augusta z Heliopolis—i wyrzucają w górę strumienie wody.

Wstępując wyżej, spotykamy coraz to bujniejszą roślinność.

Wspaniałe kaktusy, na wysokość piętra, rozciągają mięsiste swe ramiona. Białe posągi pięknie odbijają na tle dębów, a żałobne cyprysy tulą się do ścian szarych murów.

Co krok fontanny, grupy rzeźb i altany malownicze, albo baseny z wodą i złotymi rybkami—na tem samem miejscu, gdzie niegdyś Lukullus morskie

ryby dla stołów swoich sztucznie przy życiu utrzymywał.

Musiałyż to być ogrody za jego czasów!

On, który na „skromny,” jak mówił, obiadek dla Cycerona i Pompejusza wydał 10,000 talentów, musiał ich nie żałować na upiększenie rozległego parku, który, z samej natury swojej, doskonale się nadawał do założenia wspaniałego ogrodu.

A musiało to być miejsce urocze, skoro Messalina, posiadająca talent dobierania dekoracyj, tu najchętniej przyjmowała odwiedziny swoich zaufanych przyjaciół.

Biedny Klaudyusz! Jakże on musiał rzewnie wyglądać na tem tle mirtów, palm—i kaktusów!

Szczyt góry zajmuje obelisk Hadryana i... kawiarnia Spielmanna.

Stajemy przy kamiennej baryerze tarasu i naraz cały Rzym z willami i ogrodami, rozkłada się u stóp naszych.

A więc najprzód Rzym chrześcijański, dalej pogański, a jeszcze dalej na południe, żydowski.

Kiedym raz pierwszy wszedł niespodzianie w tę ostatnią dzielnicę Rzymu, dziwnie mi się miękko zrobiło na sercu; zobaczywszy bowiem znane twarze i usłyszawszy prawie znany szwargot, sądziłem, że wyszedłszy z pod *Colosseum*, znalazłem się na... Grzybowie.

Ale wstrzymujemy łzy rozrzewnienia, aby po raz ostatni nasycić się widokiem wiecznego miasta.

Przed nami sto wież, sto kopuł, obeliski, fontanny — gdzieniegdzie biała willa, przez wieniec mir-

tów strzeżona, tu i owdzie palma wachlarzowa wychyla z ogrodów swą koronę — winnice wieszają się po stokach gór i po murach miasta.

Tam, za placem, za rzeką i za stosem dachów, ponad nie wzniesiona, zdaleka bardziej imponująca niż zblizka, rozsiadła się wspaniała kopuła św. Piotra, z przytulonymi do niej pałacami Watykanu — a do miasta wyciągająca dwa kamienne ramiona swych olbrzymich kolumnad.

Na lewo baszta świętego Anioła i willa Doria-Pamfilii.

Bliżej — Corso z kopułą San Carlo i płaska rotunda Pantteonu, a dalej, na samym krańcu nowego Rzymu, kwadratowa wieża Kapitolu, z niską galerijką.

Całkiem w oddali sine góry — a nad wszystkim: włoski szafir nieba.

W miarę jak słońce zniża się ku zachodowi, Monte Pincio ożywia się coraz bardziej.

Aleje i ścieżki, które w r. 1849, na wniosek Mazziniego, przyozdobiono w popiersia znakomitych ludzi, wypełniają się tłumem spacerujących. Piękne i strojne panie ciągną w powozach i kolaskach. Tu świat próżnujący daje sobie *rendez-vous*, tu się zawierają znajomości, a nawet oddają wizyty w powozach.

Nas tu jednak nikt nie czeka. A ponieważ ścisk wzrasta, powozy najeżdżają, kurz oddech tłumi, rozsądniej będzie rzec *addio* pięknej panoramie i zstąpić na ten padoł placu.

Zbliża się też i chwila odjazdu.

Bądź zdrowa stolico świata!

Bądź zdrow Rzymie, stary i nowy, chrześcijański,
pogański i żydowski — i wy tysiącoletnie fontanny
i wy szesnastoletnie kwiaciarki...

A rivedervi! ¹⁾.

¹⁾ Do zobaczenia.

XVI.

A teraz, łaskawy czytelniku, musisz się przygotować do silnych wrażeń, bo myślę cię unieść jednym tchem, a nową drogą—aż na północ.

Jechaliśmy wschodnim brzegiem Włoch, pojedziemy teraz zachodnim.

Siadamy do wagonu, otwieramy okna naroścież, zapuszczamy błękitne firanki, zapalamy czarne kwadratowe cygara (wybacz, że nie mam lepszych!)—i dalej w świat!

Dzień jest cudowny, ale niebo sieje zewsząd takim ogniem, jakby na Sodomę i Gomerę.

Żaden listek nie poruszy się na drzewach, żadna trawka nie zagibocze się na łące — tylko tłumy owadów brzęczą w powietrzu, wirując jak opętane.

Spoglądamy oknem, ostrożnie uchylając firankę.

Na lewo: pusta płaszczyna.

Na prawo: góry i zameczki.

Gdzieniegdzie, wśród łąk, małe budki, całe ze słomy, służące do ochrony od żaru.

Zdaleka jakiś dziwny pas błyszczy na widnokręgu, rozszerza się, drży, faluje i zmienia w lśniące zwierciadło wód.

To morze. Zbliżamy się do niego coraz bardziej. Szafirowo-zielona głębia bierze od słońca zło-
to, a oddaje mu srebro.

Wszędzie dokoła martwy, omdlewający spoczy-
nek, tylko na jej falach wieczna robota i migo-
tanie.

Mijamy brudny port Civita-Vecchia i pędzimy
dalej na północ, tuż, tuż brzegiem morskim.

Statki i okręty ukazują się na widnokręgu, czer-
nią się dymem lub bieleją żaglami, suną jak cienie
w dal, i znikają.

Stajemy na popas w Livorno.

Usłudni agencji wiozą nas do hotelu św. Marka,
blisko dworca, gdzie dostajemy pokój przybrany
w marmury, ale w marmury brudniejsze od naszych
cegieł w drugorzędnych hotelach.

— Ile kosztuje ten pokój?

— Pięć lirów.

— Proszę nam dać tańszy, za dwa liry.

— To niech będzie ten za dwa liry.

We Włoszech tak zawsze, nawet w porządniej-
szych hotelach.

Rozglądamy się w naszych apartamentach za
zniżoną cenę i znajdujemy w nich wąską szafkę, na
pół osoby i komodę, tak wysoką, że sięga nam do
brody, wreszcie łóżko, równie wielkie jak w Bolo-
nii, ale już całkiem zaszyte w muślinowy baldachim.
Zasłona ta miała służyć do nie wpuszczania owadów,
ale jak w tym razie, służyła raczej do nie wypu-
szczania ich na zewnątrz.

Nazajutrz rankiem ruszamy w głąb miasta przez
ulicę Solferino i przeszedłszy kilka kanałów, oraz

plac, oczywiście Wiktora Emanuela, dochodzimy do Bramy Morskiej, *Porta a mare*.

Tu siadamy do łódki i każemy się wieźć do kąpieli.

W porcie pełno olbrzymich statków francuskich i angielskich; ruchu, gwaru i śmieci pod dostatkiem.

Nareszcie dopływamy do szalasów kąpielowych, gdzie pod jaskrawymi flagami, przy monotonnym dźwięku trąbki, oddajemy się rozkoszom pływania na wznak, po gęstej słonej wodzie, w towarzystwie dam, po kąpielowemu przybranych.

Co to znaczy — tło! Gdyby, te damy oprócz zmoczonego i oblepiającego je kostiumu, miały na sobie jeszcze białe spódnice i białe kaftaniki i gdybyśmy je tak zastali w ich pokoju, uciekłyby z krzykiem — tu, ponieważ jest mokro, ani myślą uciekać i podskakują przy sznurze w najlepszych humorach. Kwesytą tła.

Orzeźwieni i wygrzmoceni przez fale, wracamy z błogiem uczuciem chłodu w całym ciele.

Czas się posilić i jechać dalej.

Ach co za upał!

Po kąpieli już ani śladu, choć niedługo trwała droga, bo w pół godziny byliśmy w Pizie.

Miasteczko białe i dość schludne.

Ale nas obchodzi tylko wdzięczna katedra i sławna pochyła dzwonnica z białego marmuru.

Wistocie jest co widzieć: wieża przeraża swym zboczeniem od pionu, wynoszącym blisko cztery metry. Jest szeroka i ma siedem pięter, każde z arkadami, dwa ostatnie z galeryą, a przypatrzysz się im bliżej, można się domyślać, że wieża pochy-

liła się sama, przed jej ukończeniem, gdyż ostatnie piętra dorabiano już z lekkim zwrotem ku prostopadłej.

Na tej to dzwonnicy, korzystając z jej pochyłości, Galileusz robił sławne swe doświadczenia nad spadkiem ciał, powtórzone następnie w katedrze pizańskiej.

Porobił kulki jednakowej wielkości, ale nie jednakowo ciężkie, z różnych substancyj, a więc z drzewa, szkła, ołowiu i t. p. i przekonał się, że, pomimo bardzo różnego ciężaru, prawie jednocześnie padały na ziemię.

Gdy natomiast nadał im formę różną, to nawet przy jednakiej wadze opóźniały się jedne za drugimi, mianowicie, gdy miały dużą powierzchnię.

Wniósł ztąd, że tylko opór powietrza opóźnia spadek i że, gdyby nie ono, wszelkie ciała spadałyby ku środkowi ziemi, z jednakową szybkością.

Ale ściślejszego dowodu dać nie mógł, ponieważ za jego czasów maszyna pneumatyczna, wyciągająca powietrze, nie była znaną (Galileusz urodził się w r. 1564) i dopiero Newton, wypompowawszy powietrze z długiej rury szklanej, sprawdził, że wszystkie ciała spadają w niej z jednakową prędkością, objawiając różnice coraz większe dopiero wtedy, gdy coraz więcej wpuszczamy do rury powietrza.

Katedra bardzo miłutka i pełna uroku.

Przed wielkim oltarzem księży śpiewają psalmy, wachlując się połami od sutann; zresztą w kościele niema żywej duszy.

Cała świątynia jest z białego marmuru, inkrustowana gustownie czarnym i kolorowym.

Obrazów pierwszorzędnych wiele—sztuka i bogactwo walczą o lepsze z siłą ogromu. Styl tokański.

Po teatralnych kościołach Rzymu, katedra pizańska musi sprawiać sympatyczne wrażenie. Czuć tu, że jesteśmy w świątyni, nie w szopce.

Ale czas wracać; słońce już zachodzi, a pociąg czekać nie będzie.

Jakiż tu śliczny kraj dokoła!

Zieloność zalewa cały widnokrąg, a choć zmrok już zapadł, miasteczko bieli się jeszcze na tem tle szmaragdowem, ze szczytem katedry, która całe miasto o pół korpusu przerasta.

Za chwilę — nowy obrazek.

Olbrzymie brzozy, połączone wieńcami pistacyj, tworzą aleje, promienisto zbiegające się pod górę.

Nad górą niebo stalowe i nieśmiało jeszcze mru-gający Syryusz.

Ale oto i księżyc, oświecający już całkiem inny krajobraz, całkiem ciemny: pagórki z ruinami jaskółich zamków, dalej góry, bliżej smugi drzew, splecione gościńcem, góry popielate, skąpane w mgle księżycowej; zwaliska i drzewa czarne—droga biała.

Po za kępami brzoskwiń i oleandrów, wstęga rzeki migoce odbłaskiem miesięcznym i zdawało się, że wszystko rozplynie się wkrótce w tej mgle czarodziejskiej i w tych iskrach białych a cichych—gdy na raz, z lewej strony drogi, ukazuje się wielki gwarny ogród, przybrany w czerwone latarnie...

To *Lucca*.

Ale tu nie będziemy wysiadali.

Drzemiąc i budząc się naprzemian, dojeżdżamy do *Modeny*.

Jutrzienka przeciera oczy i zdaje się namyślać, czy wyjść na świat boży, czy też, owinawszy się mgłą poranną, spać jeszcze — ale ludzie na polu już koszą siano i wiążą olbrzymie sno-py konopij, więc i ona wychyla z za widnokręgu swe zarumienione oblicze. Słoneczniki błyszczą w promieniach tego złotego rumieńca, przed chatami, otoczonemi gromadką topoli włoskich, takich smukłych i nagich, jakby je kto z liści oskubał.

Nieopodal na łące, między łanami kukurydzy, pasą się białe woły, z wielkimi rozochatymi rogami — nad wodą; w zagajnikach. tu i owdzie sterczą pochylone wierzby, przypominające brzegi Wisły.

Ale jak tu bujno, zielono, jak tu wszędzie pełno barw i życia!

Mijamy żółto-różowe domki *Modeny*, i, nim słońce doszło do zenitu, stajemy w *Veronie*, której dworzec przybrano w wieńce, flagi i herby—bo król ma niebawem przyjechać.

Tu warto wysiąść choć na chwilę. Osada staro-gallijska, sławne ognisko walk Gwelfów i Gibelinów, *Verona*, ma wiele ciekawych pamiątek; ale najciekawszą z nich niewątpliwie jest amfiteatr rzymski z czasów Dyoklecjana, mogący współzawodniczyć z Colosseum, jeżeli nie artyzmem budowy, to przynajmniej ogromem i trwałością.

Czterdzieści pięć rzędów stopni z szarego marmuru, dawało w nim pomieszczenie 25 u tysiącom widzów siedzących, i 70,000 stojących. Zewnętrzne

arkady gmachu dziś jeszcze są tak mocne, że je wynajmują na mieszkania i sklepy, obracając czynsz na utrzymanie murów.

Długości ma 166 a szerokości 133 metry.

Wewnątrz areny znalazło się dość miejsca na wybudowanie letniego teatrzyku, w którym się Werończycy po nowożytnemu zabawiają. Satysfakcya to nielada—słuchać francuskich szansonetek—w murach amfiteatru Dyoklecjana!

Cóż wam jeszcze powiedzieć o Veronie?

Prawda! Wszakże to miasto rodzinne najidealniejszej z bohaterek dramatu, białego gołąbka rodziny Capulettich — Julii Szekspira i Belliniego. Chcecie wiedzieć, jak wygląda gniazdko tej gołąbki?...

E! nie powiem lepiej!... Albo zresztą słuchajcie i uczcie się znikomości rzeczy ziemskich. Wszak powiedział poeta:

Was im Gedicht soll leben
Muss im Leben untergehen!... ¹⁾.

Otóż pałacyk rodzinny Capulettich jest to brudny i wązki domek, w wązkiej i brudnej ulicy, zajęty dzisiaj na... szynk. Gra w nim katarynka, ludzie tańczą i piją, a o Julii pamiętają tylko o tyle, o ile za te wspomnienia mogą wyludzić kilka soldów, od słabo oryentującego się podróżnika.

Są pamiątki, których lepiej nie oglądać.

¹⁾ Co ma żyć w pieśni, musi zginąć w życiu.

W ogrodzie byłego klasztoru Franciszkanów, pokazują także grób Julii, którym ma być wielkie koryto kamienne, umieszczone niby w kapliczce jakiejś; ale nie widziałem go wcale, wyczytawszy w Bedeckerze, że—„i grób sam i całe otoczenie zdolne są rozczarować najbardziej romantyczną imaginację”.

Jedziemy dalej.

Ostatnie stoki Alp sinieją na horyzoncie; białodrzew, akacje, brzoskwinie i oleandry otaczają pałacyki, rozsiane po górach — zaś chmury pokrywające niebo wyglądają jak fantastyczne olbrzymy ze śniegu, podpierające popielate sklepienie, a same wsparte na sinych kopułach Alp.

* * *

Dojeżdżamy do Wenecyi i wsiadamy na statek.

Noc już zapadła, dokoła ciemno i głucho—morsze tylko szumi i maszyna turkocze.

Błyskawice przerzynają stalowe sklepienie nieba, brudnymi chmurami zasłane.

Nad ranem wypogadza się.

Od wschodu niebo szaro-ultramarynowe, u dołu jakby winem tokańskim splamione, ale jednocześnie przewiazane tęczą.

Od strony Tryestu pociągnięte bladym błękitem pruskim i okryte złotą gazą — z poza której przebija się pierwszy brzask dzienny.

Tu świeci słońce — tam tęcza.

A środkiem całe tło szaro-brudne, jak uliczki miast włoskich.

Morze, koloru starej butelki, tem jaśniej odbija bieluchną pianę, wyrzucaną z pod kół maszyny.

Na wschodzie ukazują się przelotne bielsze chmurki, lśniące, jakby z perłowej masy, i podkreślone złotym rąbkiem.

Nad drobnymi falami morza odznaczają się już grube fale szczytów, a słońce tymczasem wzbija się coraz wyżej, między uparty tłum szarych chmur, tworząc jaskrawe pręgi złote, otoczone bledszymi i węższymi prążkami.

Góry, z sinych, stają się prawie szafirowe, a piana pod kołami statku żółknie i różowieje.

Widać już sylwetki okrętów.

Słońce gwałtownie rozdziera przez pół, wielką, najciemniejszą chmurę, i tworzy z niej dwie gondole, które, zaledwie powstały, z przestrachem uciekają na północ.

Wpatrzywszy się dłużej w słońce, sądzisz, że włożyło na się płaszcz najpyszniejszej purpurowej barwy — a zamknąwszy oczy, widzisz przed sobą żółto-zielone serce, poszarpane i całe we krwi pływające.

Ale tymczasem morze się zaludnia i rozwesela. Okręty, mijające brzeg widnokręgu, wyglądają jak świeczki, porostawiane na fali, większe obok mniejszych, a które jutrzeńka zapala z odległości.

Płyniemy wprost na słońce.

Na górach ukazuje się roślinność, coraz jaśniej i wyraźniej, jakbyś patrzył przez lornetkę, nastawianą zwolna na ognisko.

Już tylko na wschodzie pozostaje gaza mgły, i świat stał się przejrzystym, chociaż słońce samo,

owinięte jeszcze dziurawą płachtą chmury, przez jej otwór tylko, jak przez okienko, wygląda.

Wreszcie ukazujące się przed nami, za morzem, pasmo pagórków, uchyla się, odsłaniając za sobą dachy i wieże miasta.

Zbliżamy się do Tryestu.

XVII.

Nie tracąc czasu, przesiadamy ze statku wprost do wagonu, a gdy pociąg ruszył, wychylamy się oknem, ażeby po raz ostatni morze zobaczyć — i pożegnać.

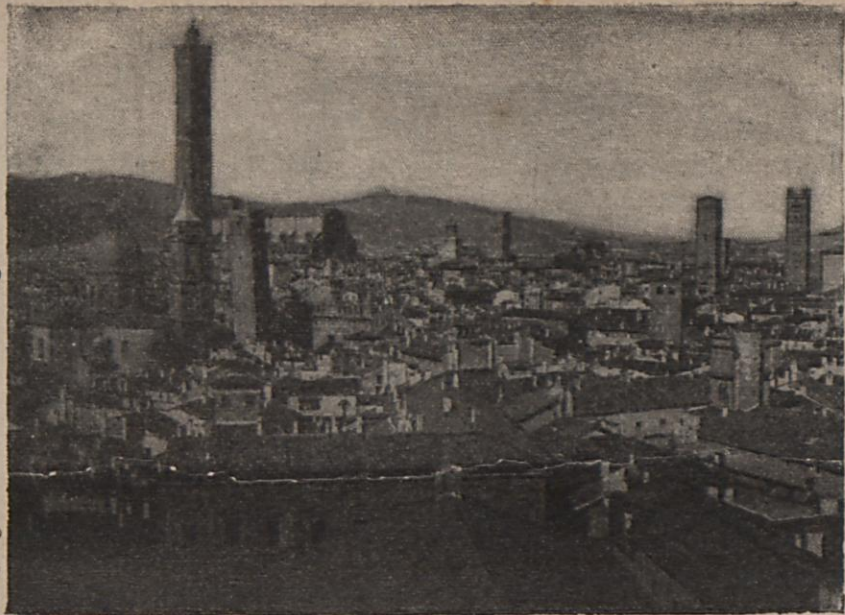
A takie piękne w tej chwili, takie majestatyczne w swym cichym ogromie!

Wszystko niebieskawe: woda i niebo, jakby w jedną otchłań zlane, otchłań senną, z turkusów i kryształu. Wszystko ciche, jak zakłète, i zmieszane; gdzieniegdzie tylko ostrzejsze a drżące smugi i ściegi szafirowe na wodzie, świadczą, że jednak w morzu jest więcej życia niż na niebie.

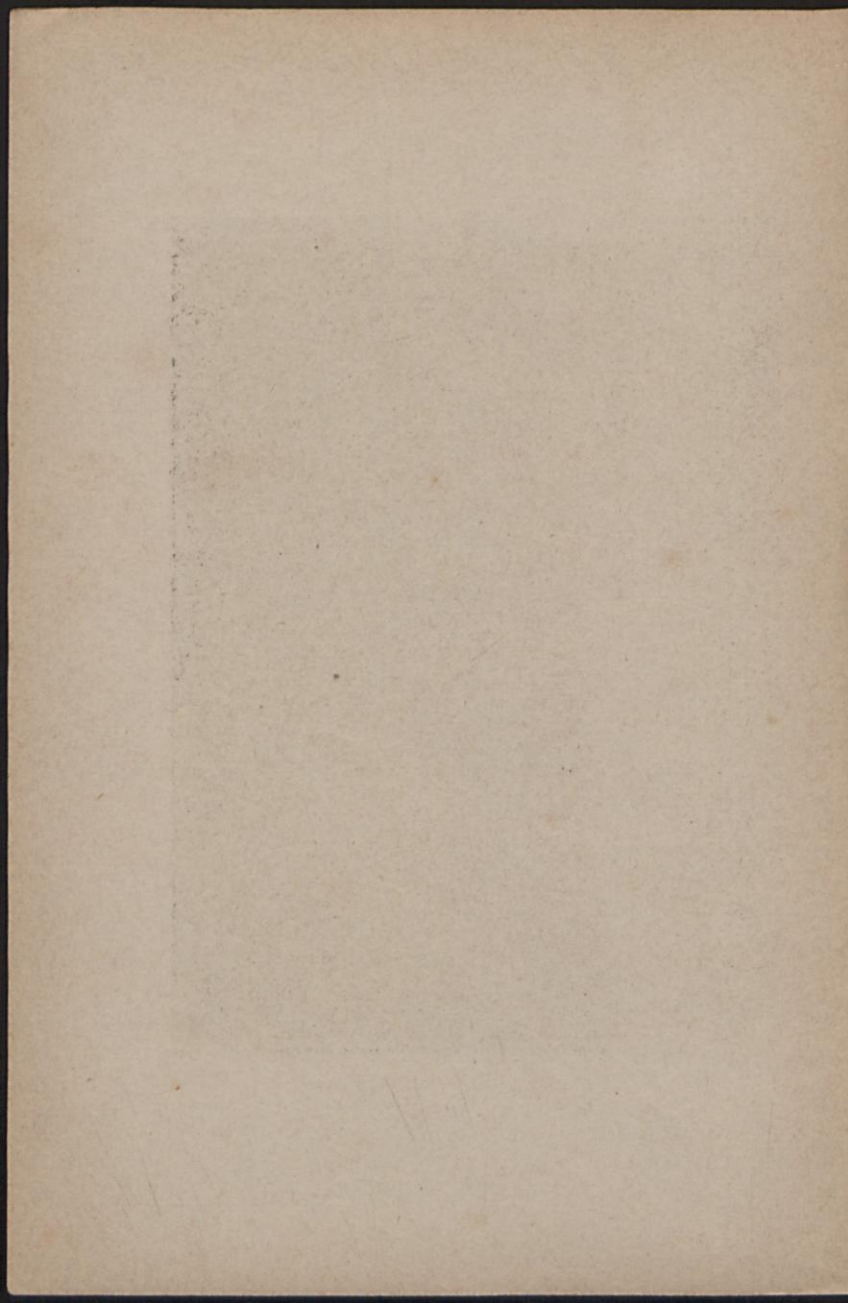
Zmarszczki na falach stają się coraz widoczniejsze — z bliska grubsze a dalej coraz drobniejsze — ale wszystkie tak delikatne i proste, jakby je najbiegłęjszy artysta dyamentami pod linią kreślił i zmazywał.

Ostry sierp lądu, żółtawej barwy, stanowi martwą ramę dla tego żywego obrazu.

Białe domki wyrastają na nim jak stokrotki, a u brzegów krążą łódki z żółtymi żaglami, pod którymi bielą się, drżąc od wiatru, koszule rybaków.

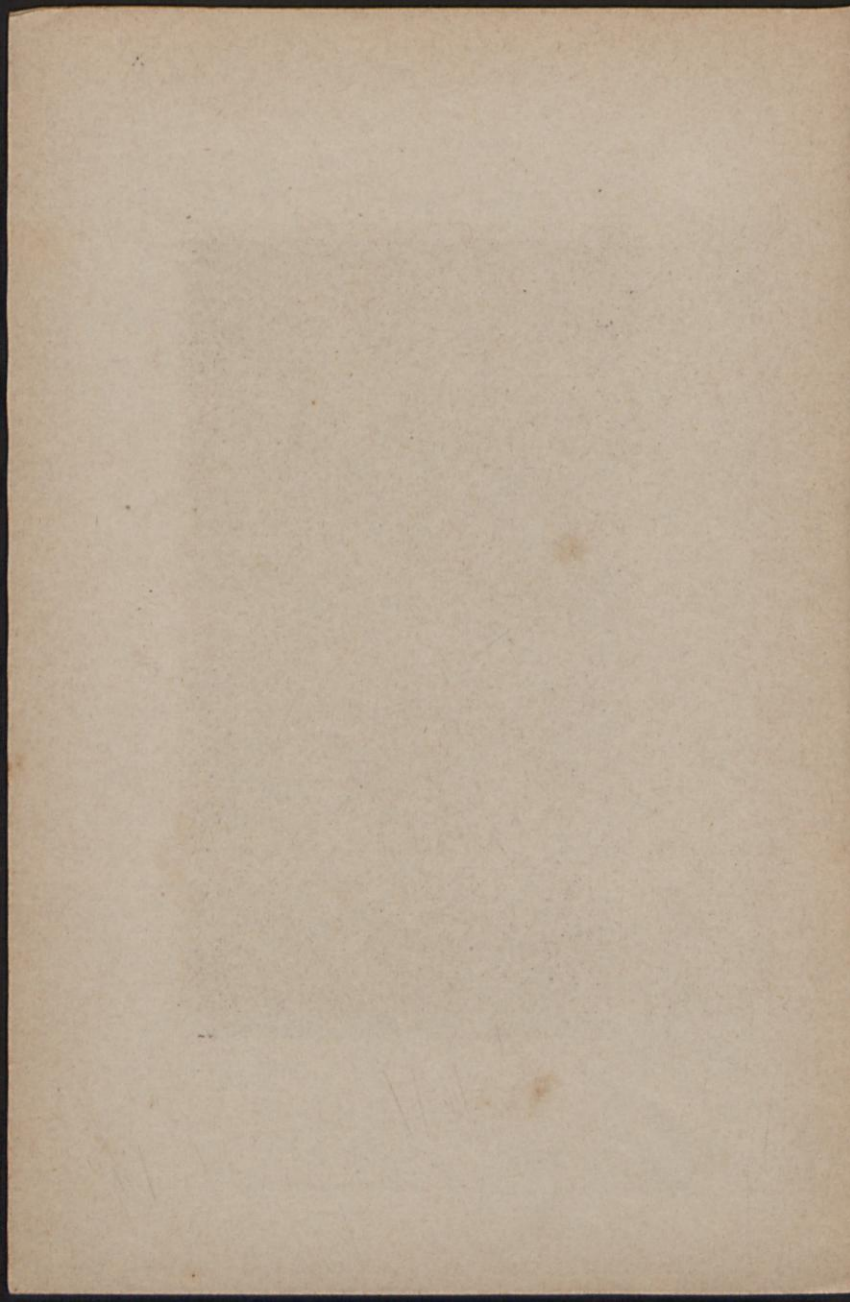


Bolonia.



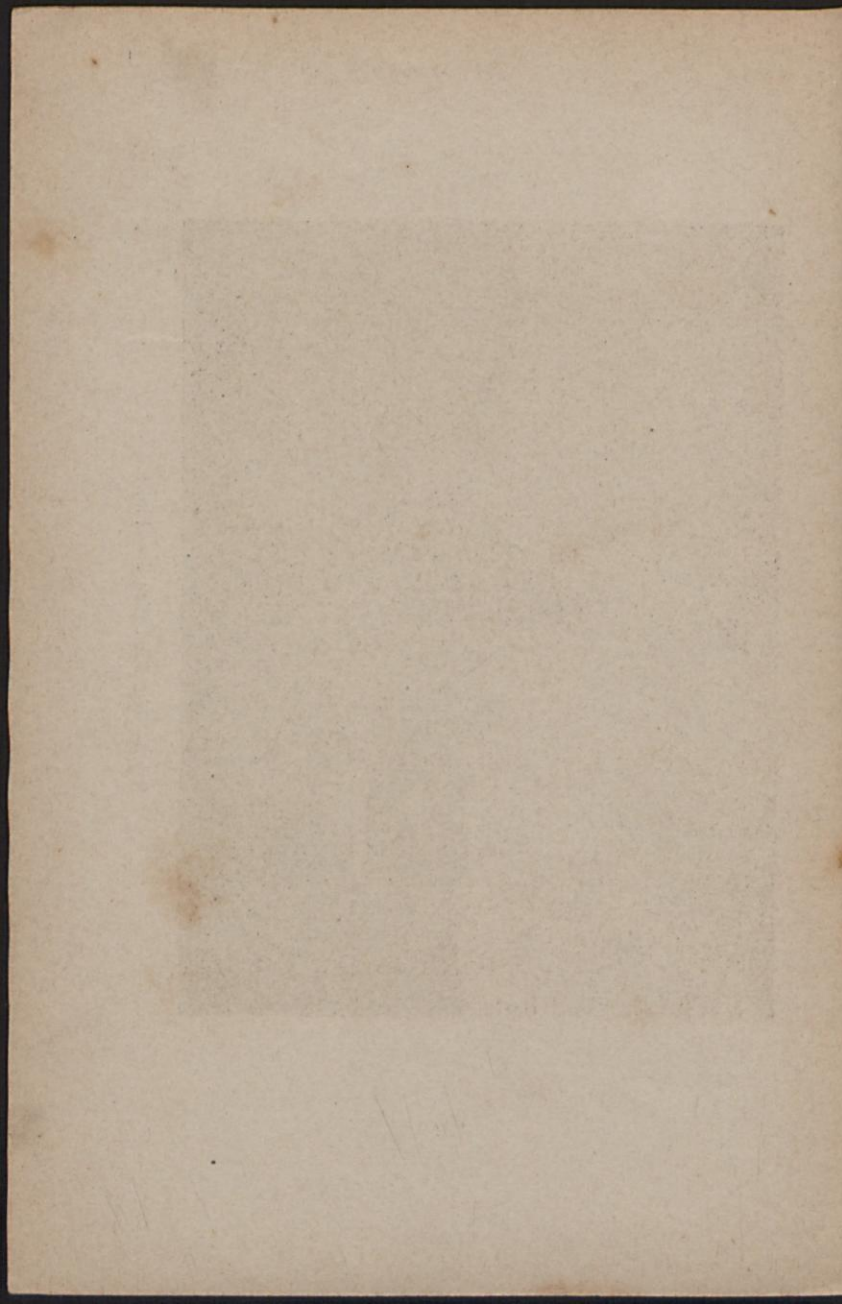


Florença.



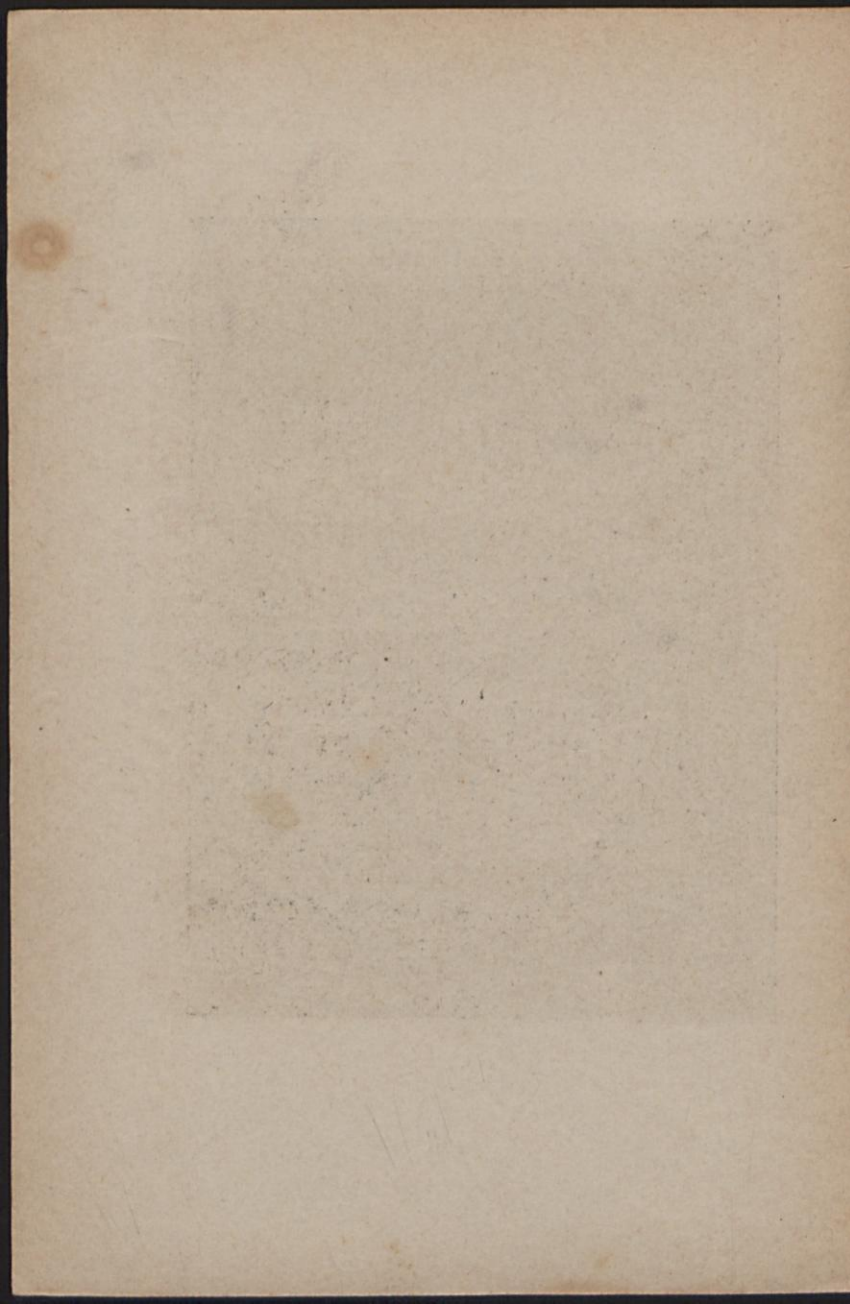


Rzym. Kościół i plac św. Piotra.



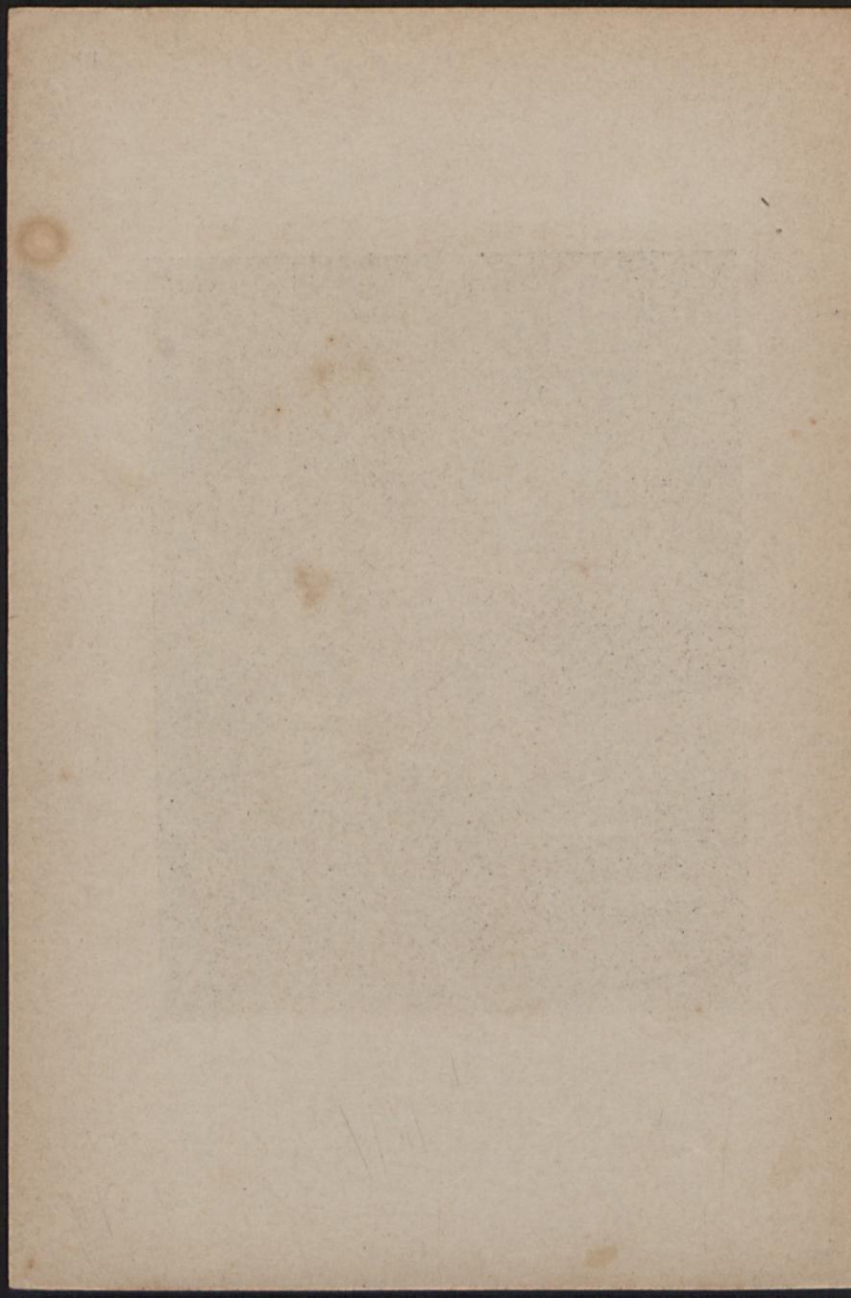


Rzym. Wnętrze kościoła św. Piotra.



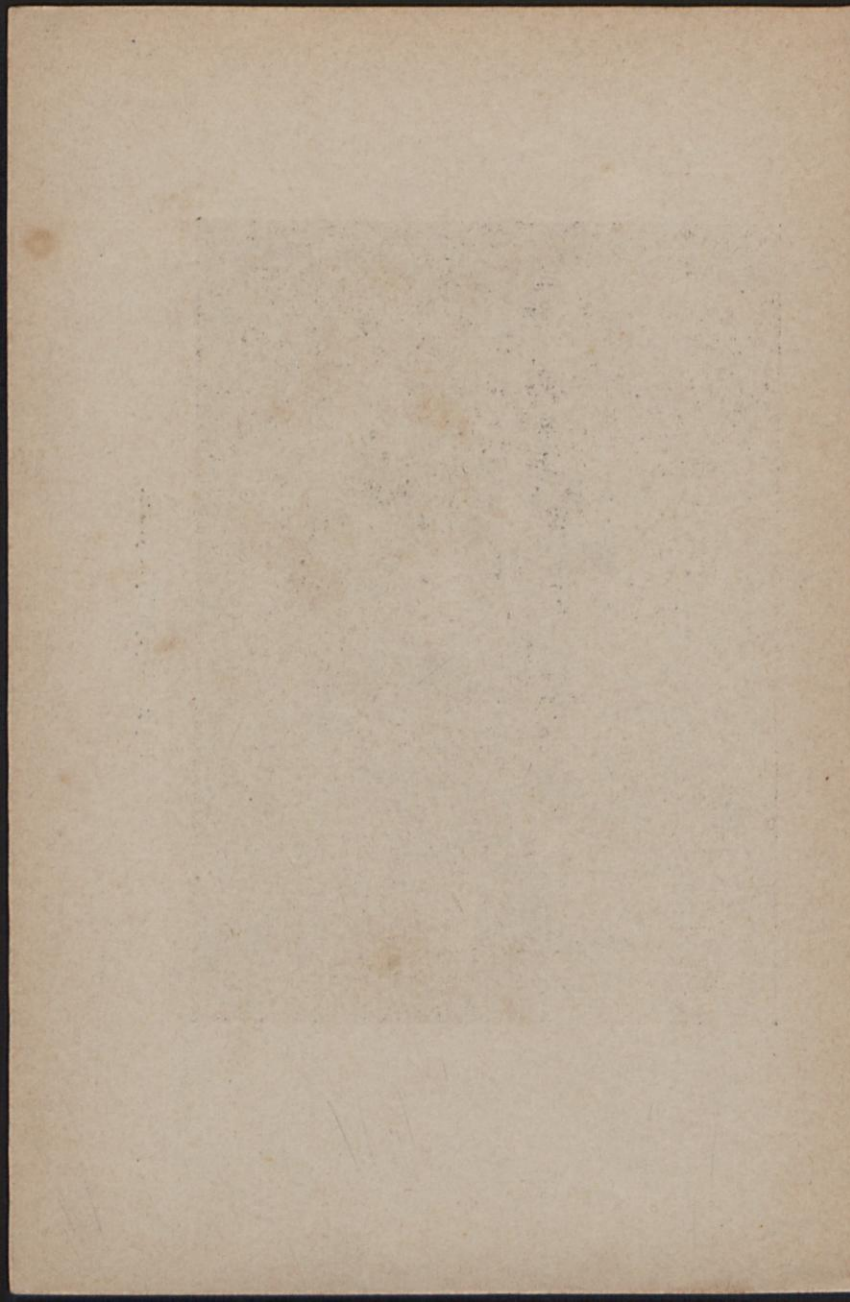


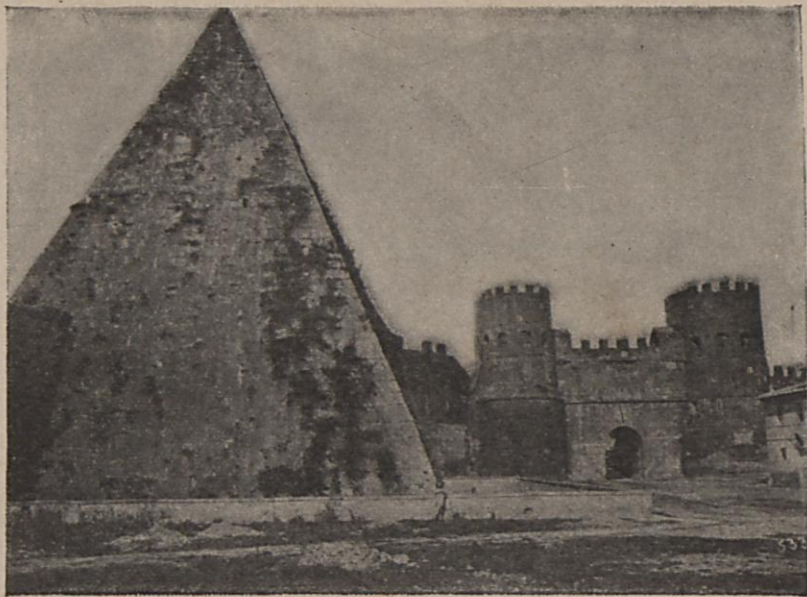
Rzym. Kaplica Sytyńska.



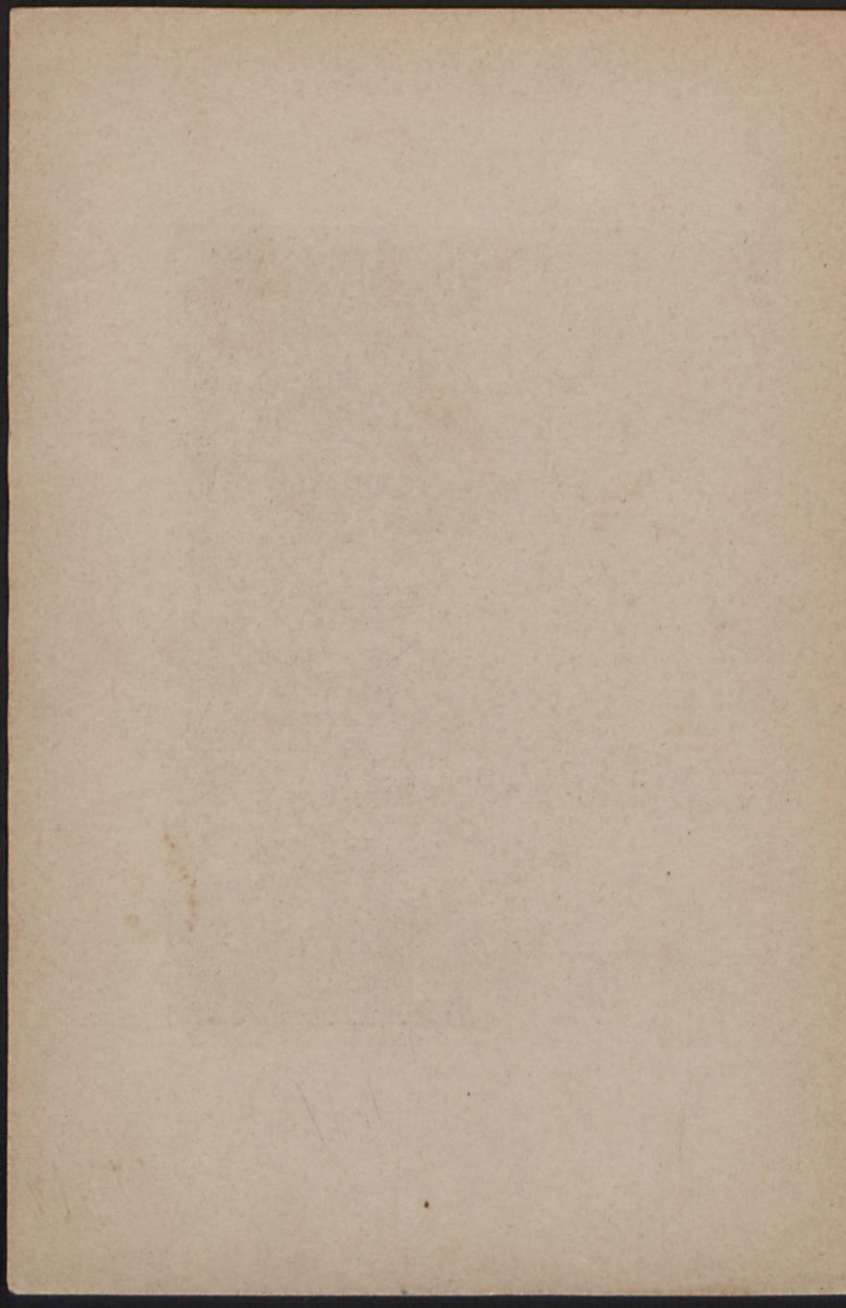


Rzym. Wyspa Tyberyusza.



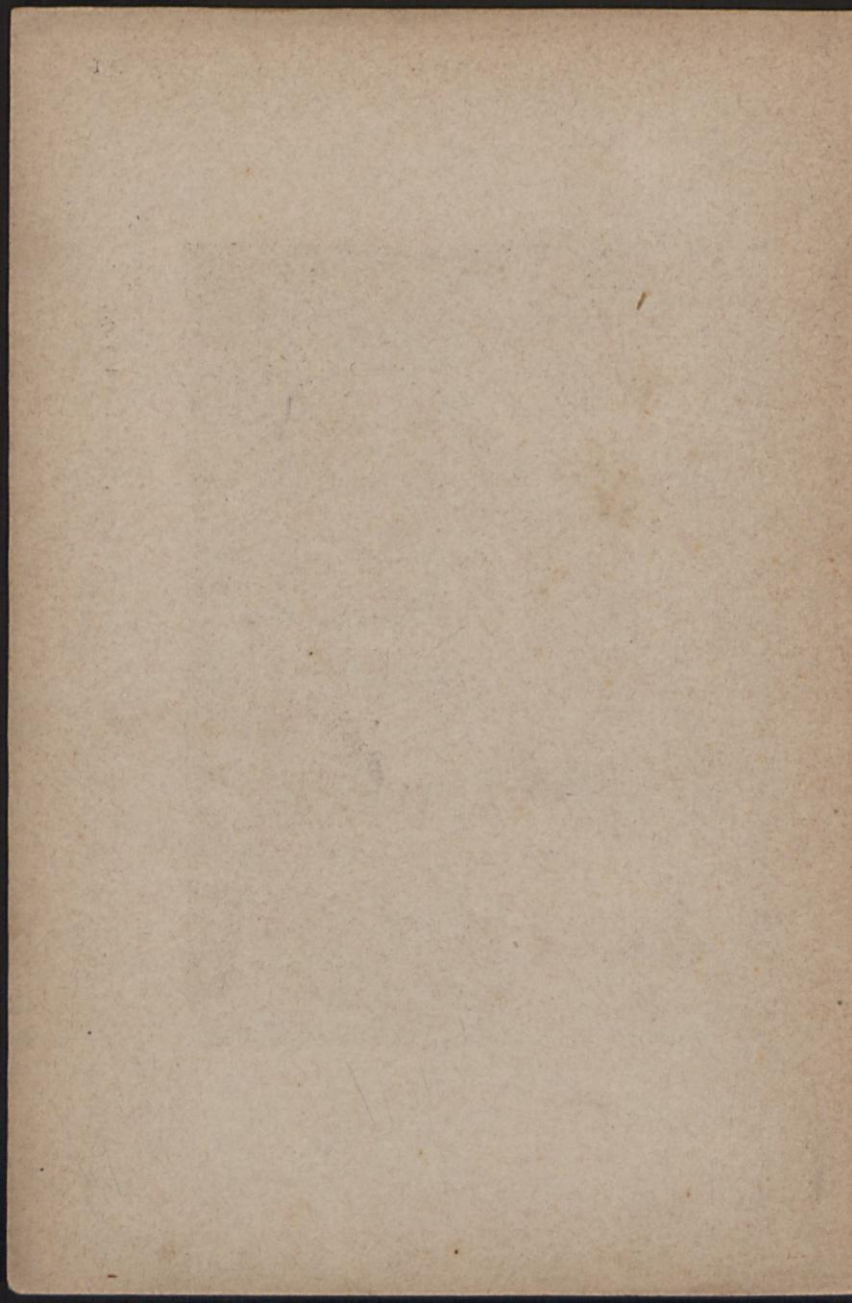


Rzym. Piramida (grób) Gajusa Cestiusa, uważany dawniej za grób Remusa.





Panteon w r. 1879 (z oślemi uszami Berniniego, do porównania z widokiem późniejszym w „Listach z Włoch” ks. Brykczyńskiego, Biblioteki t. 95).



Patrzysz na to wszystko przez szczeliny skał, przez gałęzie fig, przez siatkę wina i bluszczów, przez gęste, równoległe druty telegrafu, którego słupy barwią się pomarańczowo—i żalujesz, że całego tego obrazka nie możesz wyciąć nożyczkami i schować na pamiątkę do kieszeni.

Wjeżdżamy między popielate skały łupków gliniastych i widok znika—ale za chwilę skały rozstępują się i jeszcze raz widzisz morze, jeszcze raz—ale już raz ostatni—podglądasz Nieskończoność.

Potem, zamiast morza, otacza cię dziwnie oryginalna pustynia z krzaków i kamieni złożona, głucha i dzika.

Kamienie i krzaki—krzaki i kamienie.

Znużone tą jednostajnością oczy, zwracają się od okna w głąb wagonu.

XVIII.

Rzadko gdzie znajdziecie tak dziwaczne towarzystwo, jak w tych stronach: energiczny Węgier w granatowej kurcie, z krótką fajeczką w zębach; wąsaty Serb z wydatnymi policzkami i orlim nosem; staruszka Włoszka, z twarzą tak pomarszczoną, że prawie rysów rozróżnić nie można; jakiś galant, nieokreślonej narodowości, w tyrolskim kapeluszu; włoski rybak, z rozpiętą koszulą w niebieskie kratki; kilku Słowaków z szerokimi ustami, w kaftanach niby aksamitnych, koloru wilgotnej ściany — i Niemców, ze złotymi kolczykami w lewem uchu.

Rozmowa — na temat „nie miała Austria kłopotu, kupiła sobie Bośnię,“ toczy się w języku, złożonym z niemieckich słów, włoskich rzeczowników, węgierskich przekleństw i czysto zwierzęcych okrzyków, z tyrolskimi trylami.

Rozumie się, że jedziemy trzecią klasą.

Przez okno ukazują się jodły i świerki, a pod nimi szachownica pól, której nie widzieliśmy we Włoszech.

Góry rosną i układają się w trzy kondygnacje: najbliższe ciemno-zielone, dalsze szare, jeszcze dalsze sine.

Pod niemi buki i kasztany—przy drodze chmiel i jarzębina.

Bystry strumień zielonego górskiego potoku, rozbija się o skały, tworząc białą pianę — a po za rzeczką, trzy inne stopnie zieloności: gór, łąk i drzew, dopełniają całość, tej szmaragdowej akwarelli.

Niebo zaczyna się ściemniać, góry niebieszczeją i zasuwają się mgłą wieczorną.

Błogi chłód powiał od lasów jodlowych; a ponieważ poprzedniej nocy nie spałem, wyciągam się wygodnie na ławce, podkładam torbę pod głowę, i słysząc już tylko od czasu do czasu, uprzykrzone brzęczenie dzwonek telegraficznych, zasypiam.

Jak długo spałem, nie wiem.

Wiem tylko, że śniły mi się w kilku językach żywe dyskusje, że krajobrazy migotały mi przed oczyma duszy w fantastycznych kombinacjach i że naraz zbudziło mnie wołanie w swojsko dźwięczącej mowie:

— *Woda świeża, zdrojowa!*

— A dajże mi tej wody, choćby dlatego, że się już „frisch' Wasser“ nie nazywa!

Mój Boże! wszak to nasze strzechy słomiane, nasze pola... biała gęś nad stawem czy kałużą... dziewczyna w czerwonej spódnicy z dzbankiem przy studni... pod płotem dwoje chłopiat płowowłosych z ogorzałą twarzą i szafirowemi ślipkami, w koszulkach krajką przepasanych... a koło nich kiście dzie-

wanny, zmijogłówki, kaszki białej i bławatków, rozsypane po ziemi...

— Dziękuję ci moje dziecko — woda była wyśmienita!

W samą porę napiłem się zimnej wody!

Ale otóż i Granica.

— Co pan rozkaże?—pyta kelner.

— Najprzód przepalanka—potem barszcz z uszkami—a potem zrazy z kaszą.

KONIEC.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księżstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Pleniewicz. **Kształcenie młodości** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Tom.

- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. *Pojata, córka Lezdejki*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. *Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu*, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
31. Klemens Junosza. *Na zgliszczach*, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. *Pamiętniki*, tłoczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. *Wyprawa Andréego balonem do bieguna*, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. *Precz z orężem! historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. *Pamiętniki Seglasy*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. *Podróż do bieguna północnego*, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. *Rok dziewięćdziesiąty trzeci*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. *Dziennik Franciszki Krasińskiej*, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. *Nowe dziedziny widma*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. *Książę Srebrny*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. *Beniowski*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. *Szandor Kowacz*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. *Stella*. — *Tartówna*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahmer. *Syberia i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej*, w tłomacz. i z przedmową *Włodzi. Trąpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. *Dzieje Narodu Polskiego*, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.
55. Adolf Dygasiński. *Wilk, psy i ludzie*. — *W puszczy*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. *Przygody Huck'a*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
59. *Pamiętniki Franciszka Karpińskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 60, 61. J. I. Kraszewski. *Barani Kozuszek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. *Straszny Dziadunio*, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. *Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac*, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Tom.

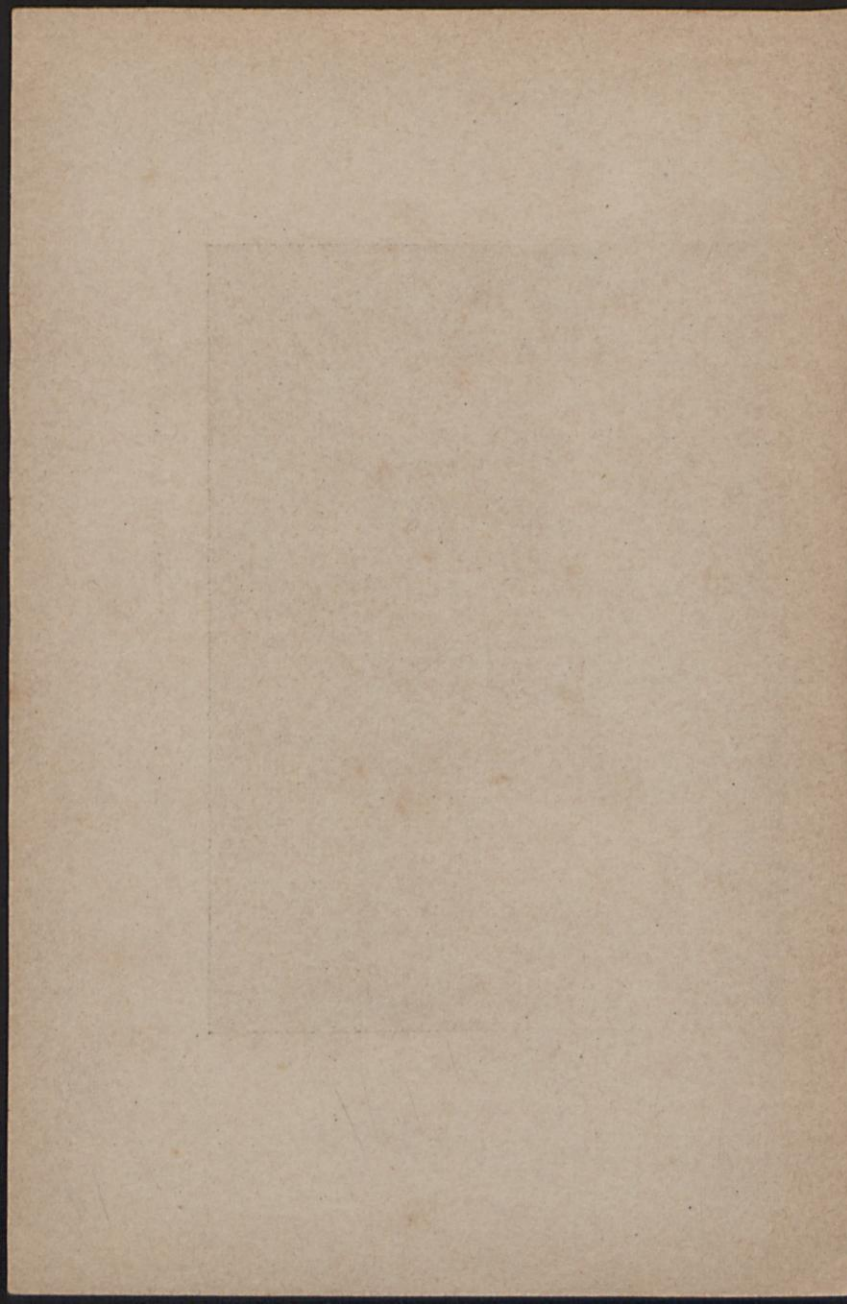
- 66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową Włodzimierza Trąpczyńskiego.
68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową Juliana Ochorowicza.
69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach**, w przekładzie dra Wik. Wolskiego, z przedmową Juliana Ochorowicza.
70. Michał Bałucki. **Przekłute pieniądze**, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego**, z przedmową Piotra Chmielowskiego.
- 73, 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową J. A. Święcickiego, z ilustracjami G. Dorégo.
81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej**, z przedmową Juliana Ochorowicza.
- 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową J. A. Święcickiego, z ilustracjami.
84. Stanisław Grudziński. **Półpanek**, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska**. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi**, z przedmową Wiktora Gomułickiego.
- 89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową J. A. Święcickiego.
90. Maciej Wierzbński. **Nowelle**, z przedmową T. Jeske-Choińskiego.
- I. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową Bronisława Chlebowskiego, z ilustracjami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową J. A. Święcickiego.
- 93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową Walerego Przyborowskiego.
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej**, z przedmową Juliana Ochorowicza, z ilustracjami.
- 96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona**, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne**, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura**, z przedmową J. A. Święcickiego, z ilustracjami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą**, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego.
- II. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową Bronisława Chlebowskiego, z ilustracjami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami i mapką.
 - 106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej
 109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracyami.
-

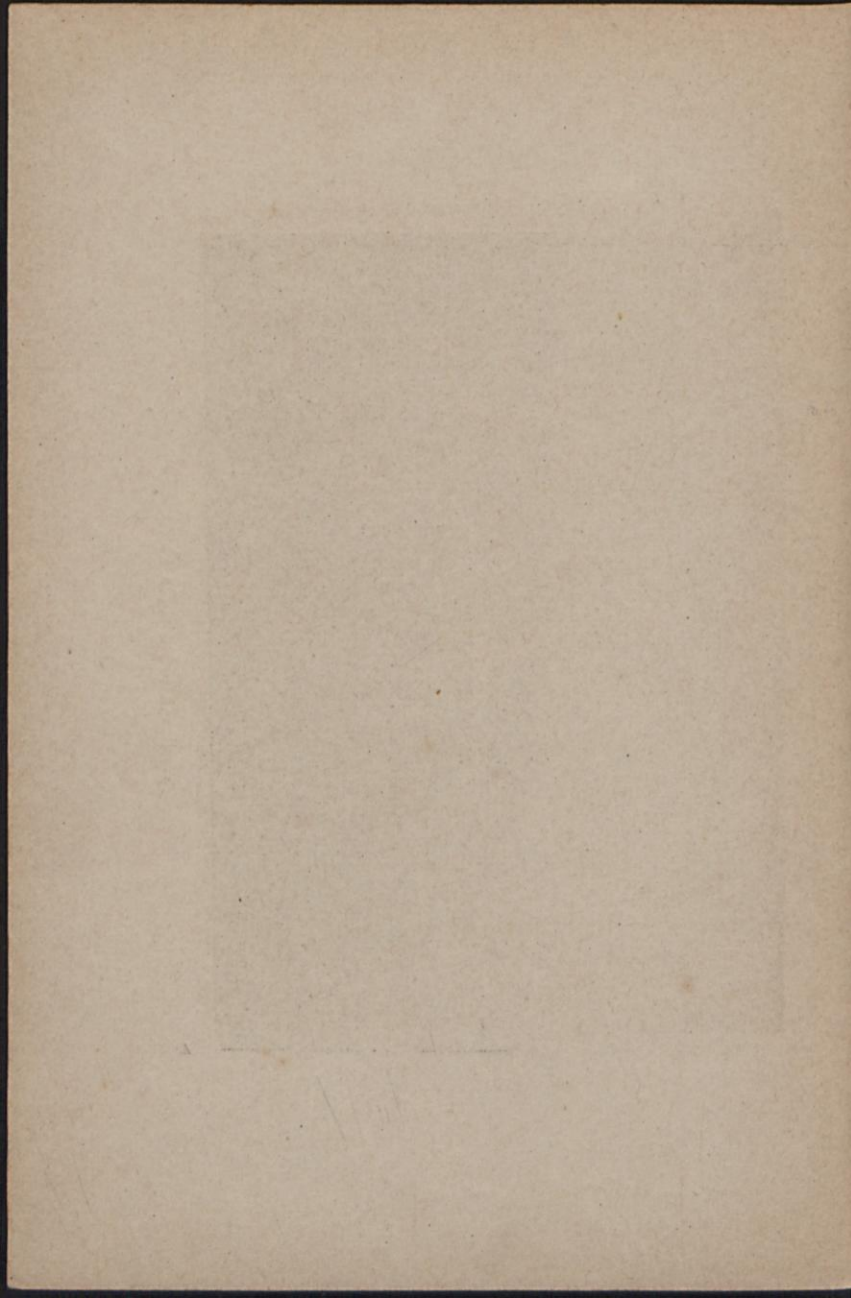


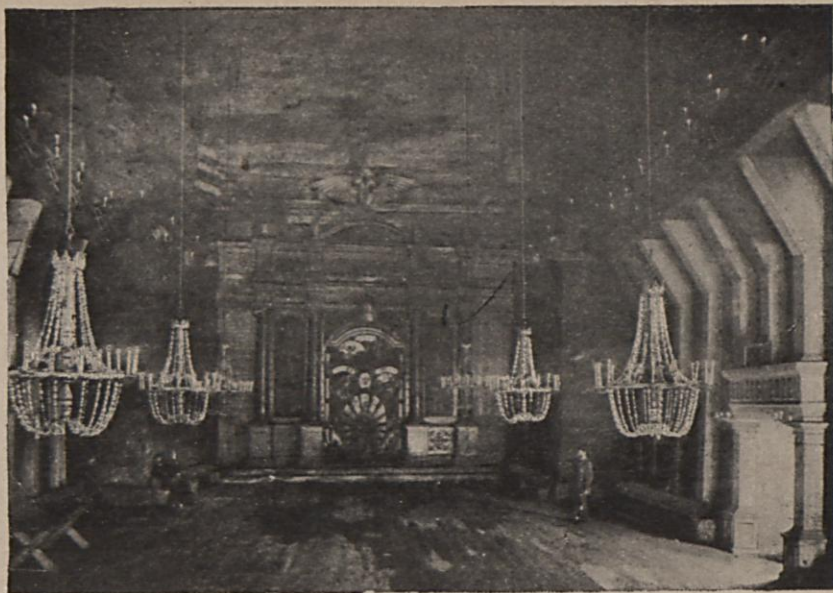
Kraków. Kościół N. P. Maryi z kościółkiem św. Wojciecha.



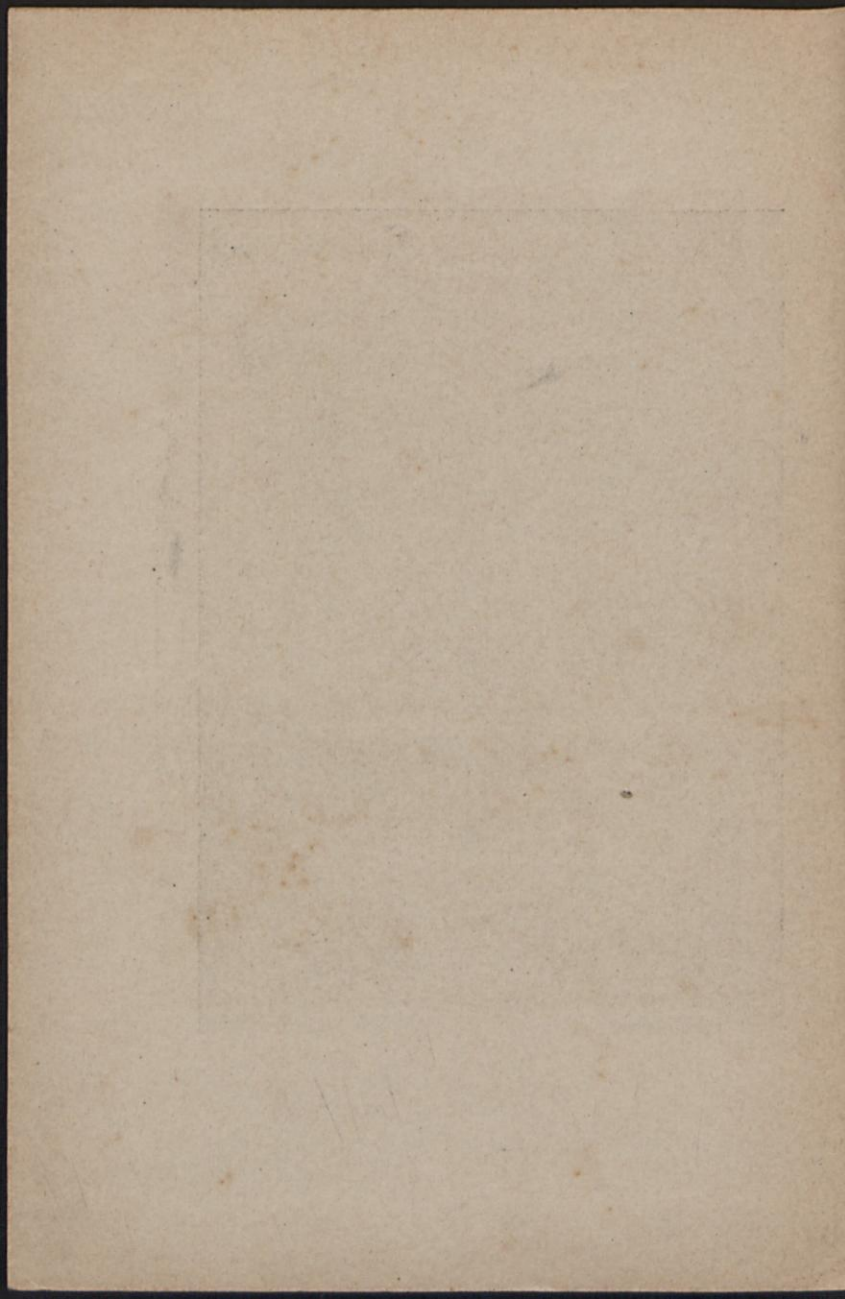


Wieliczka (od dworca kolei).



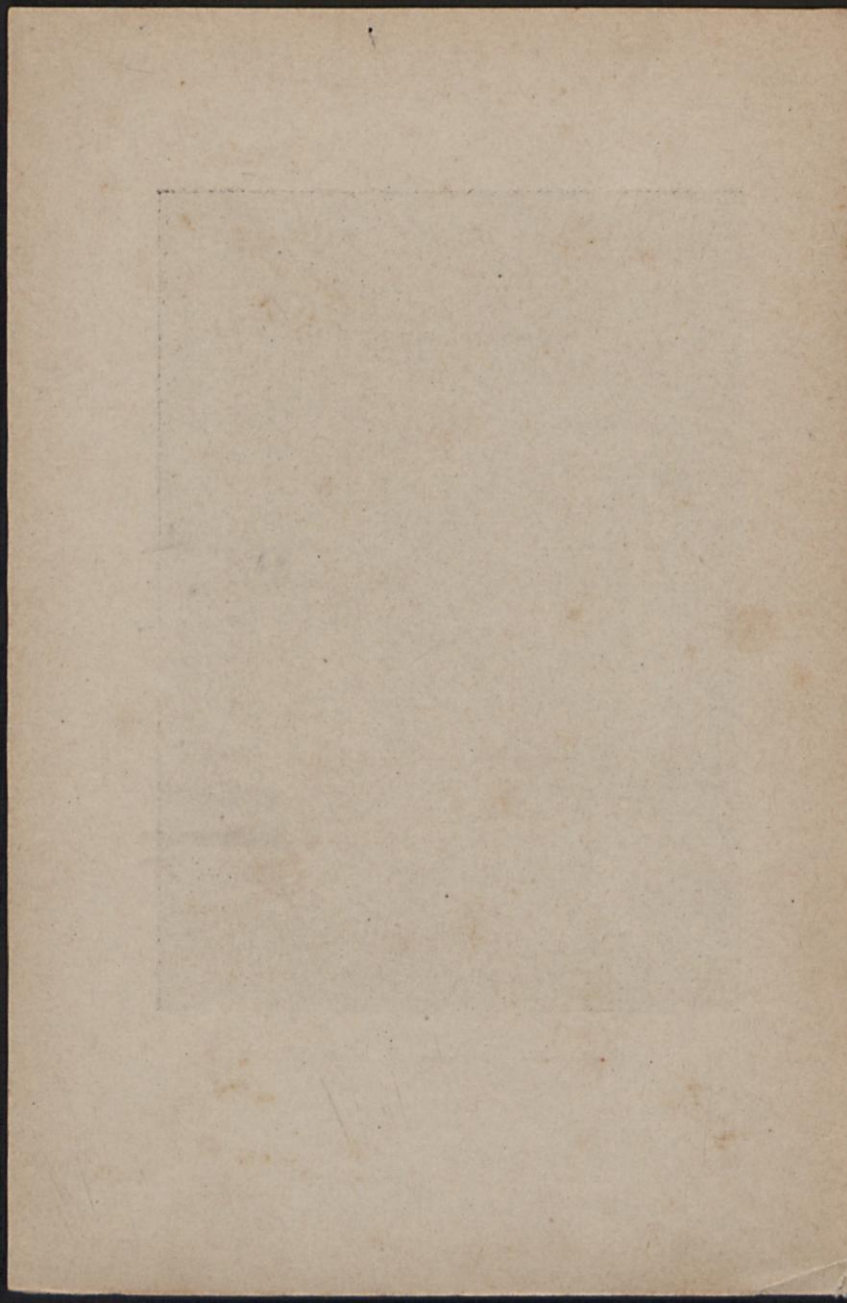


Wieliczka. Sala balowa „Lętów.”



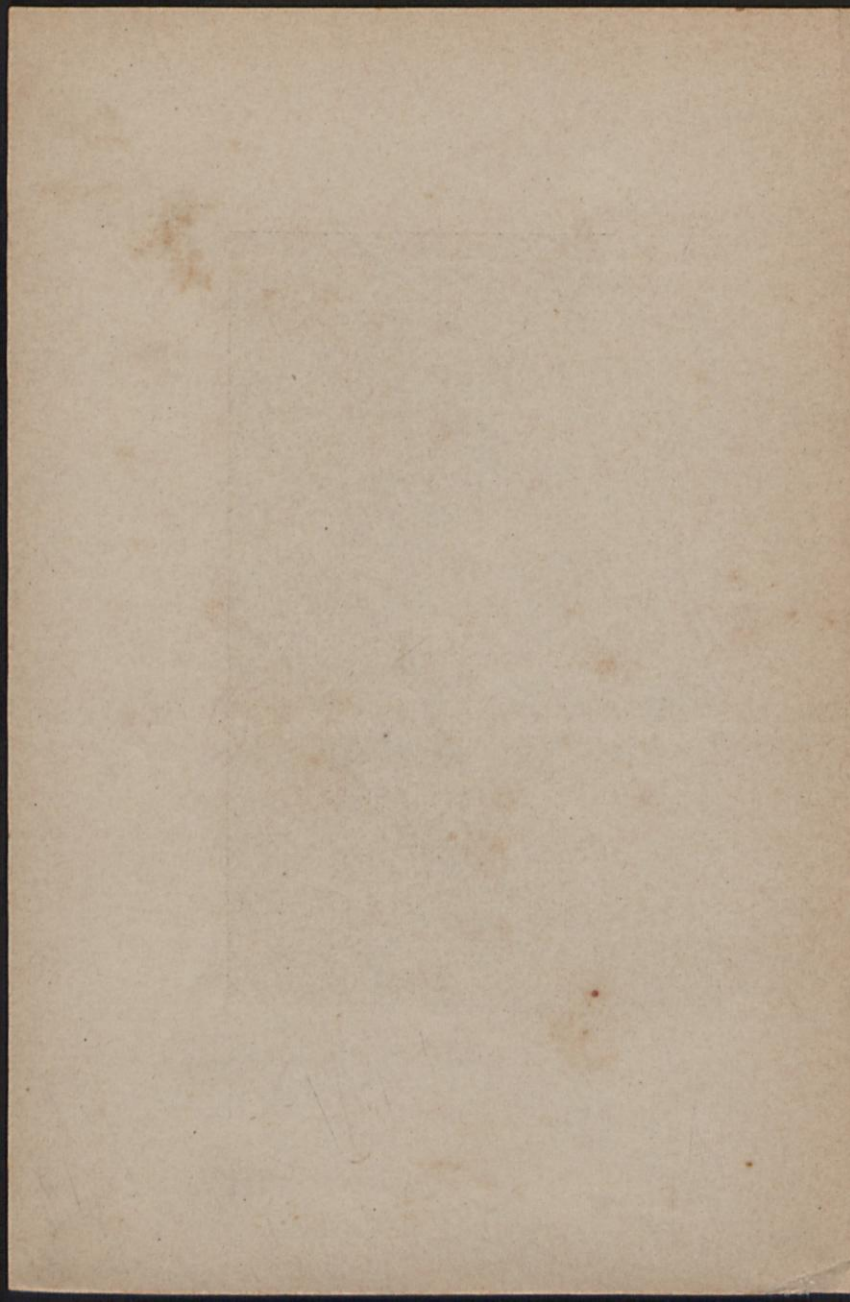


Wieliczka. Kaplica św. Antoniego.



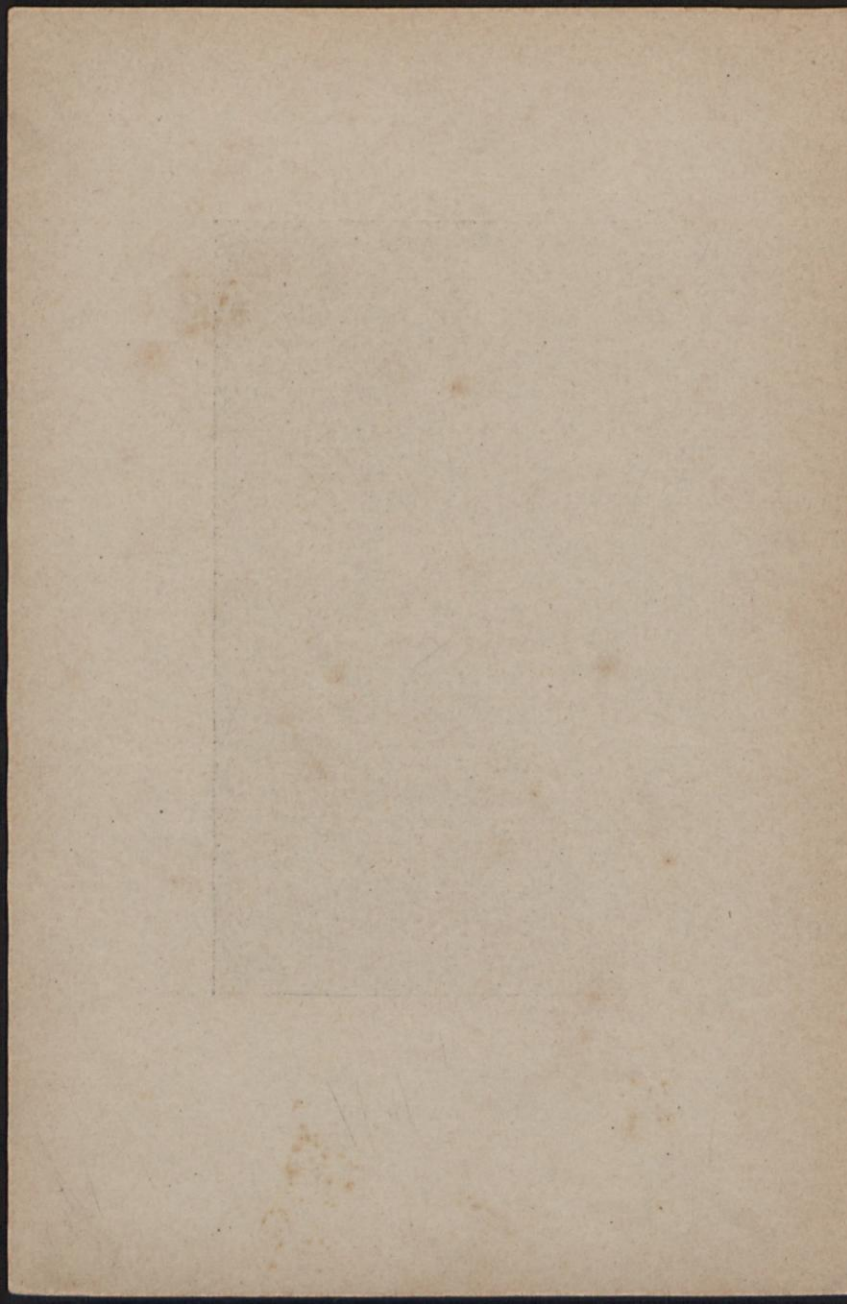


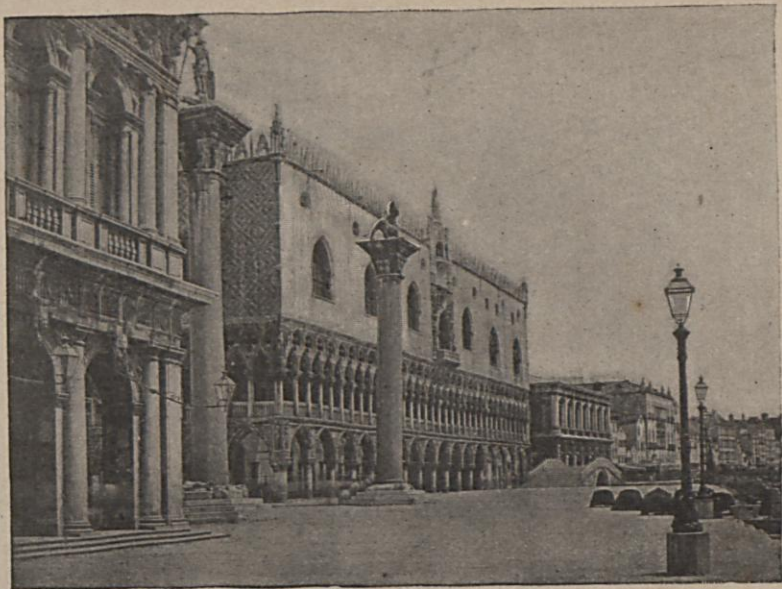
Weneeya. Canal Grande.



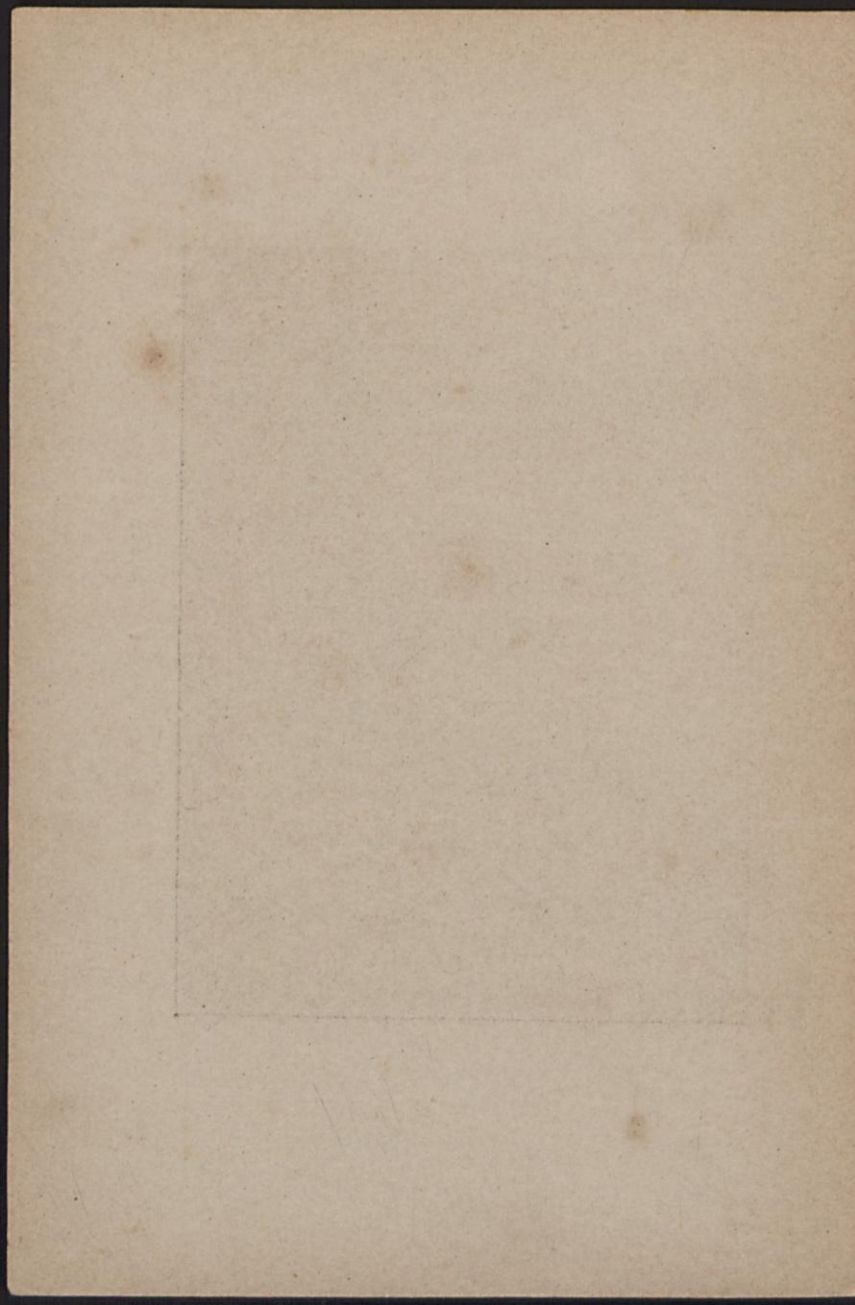


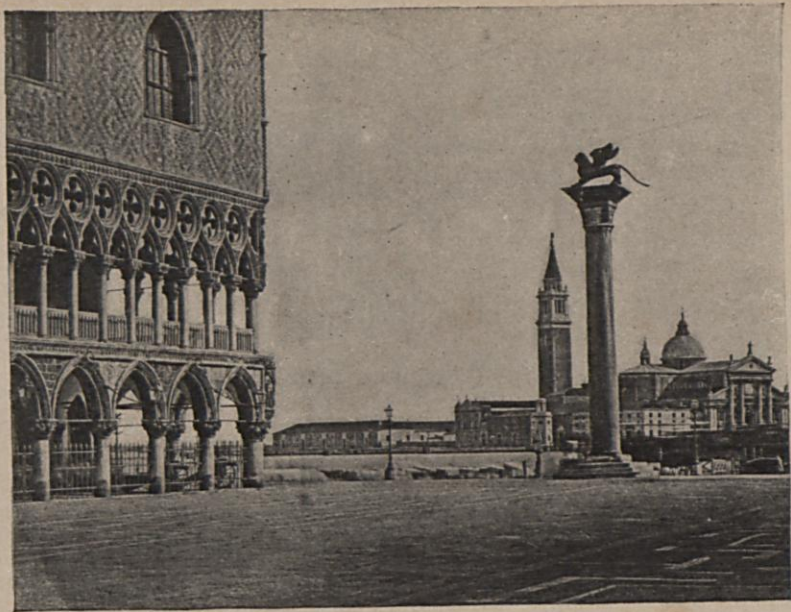
Wenecya Canal Grande.



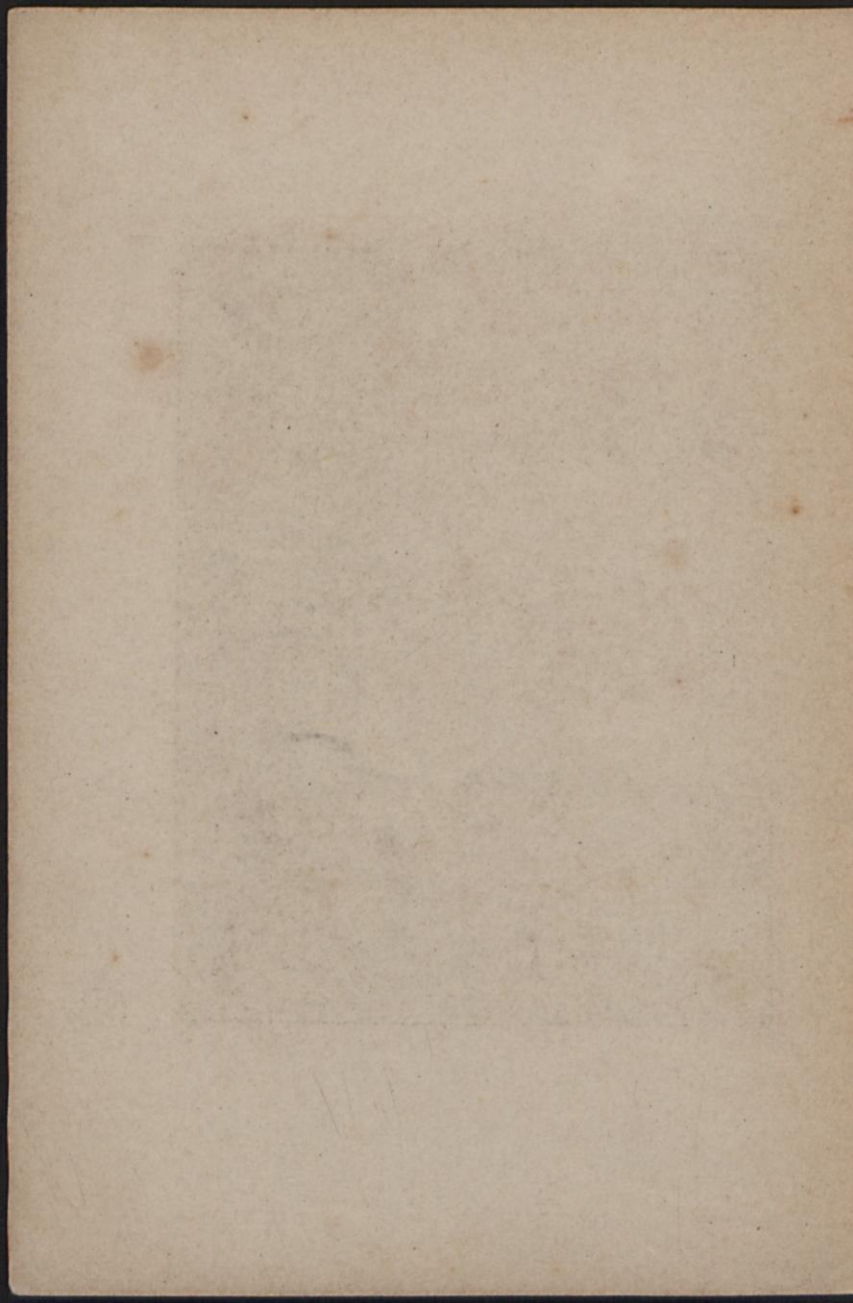


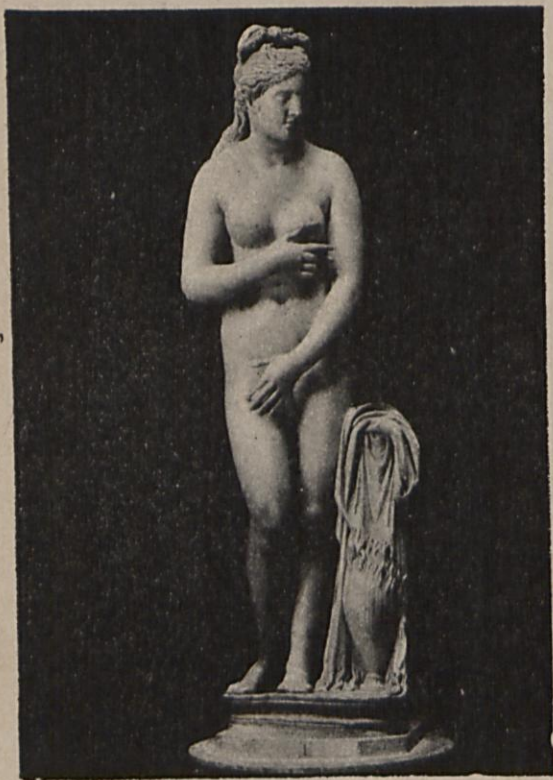
Wenecya. Pałac Dożów.



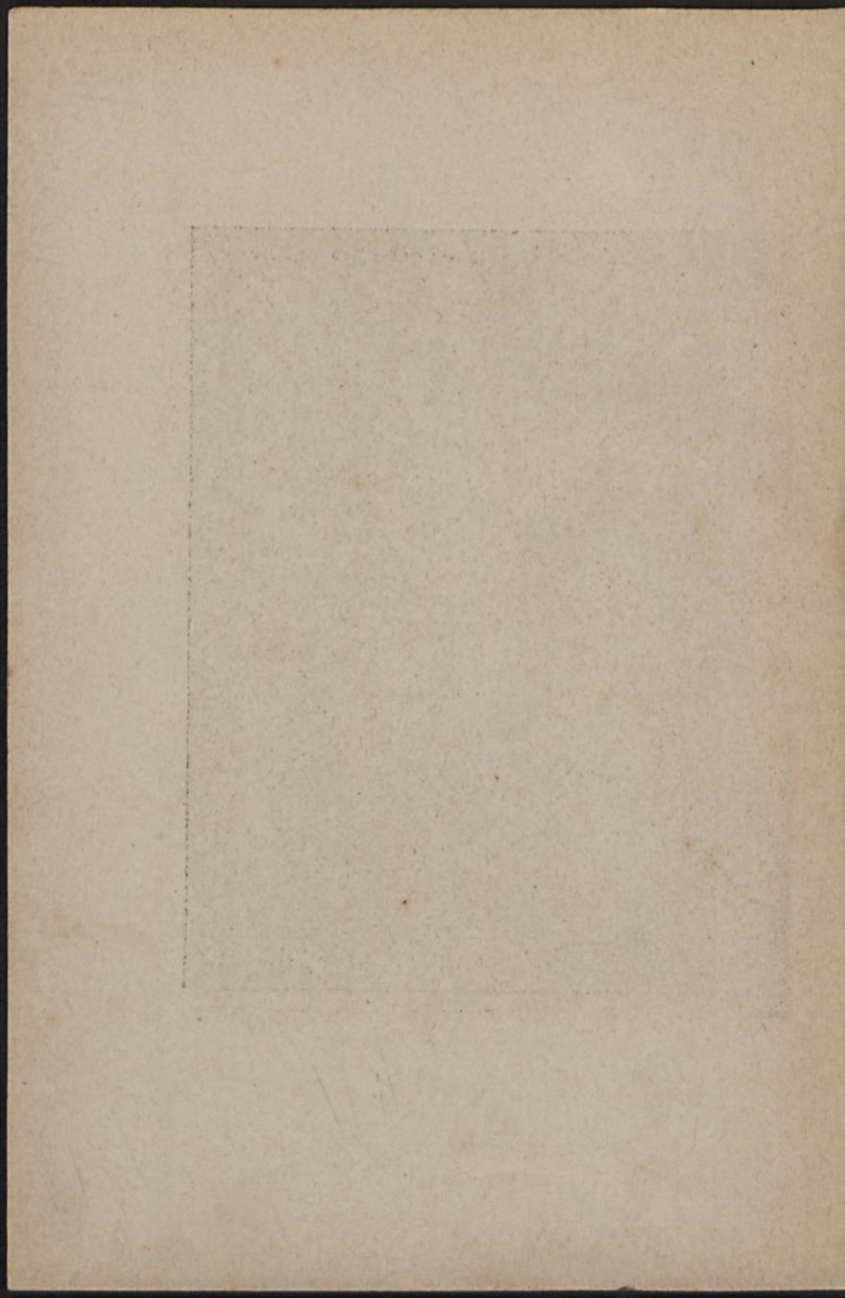


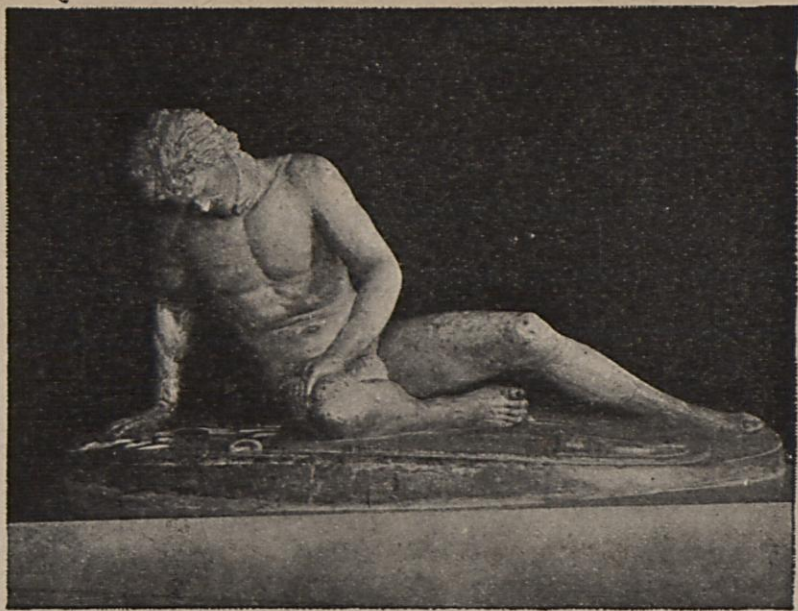
Wenecya. Część pałacu Dożów—Piazzetta.



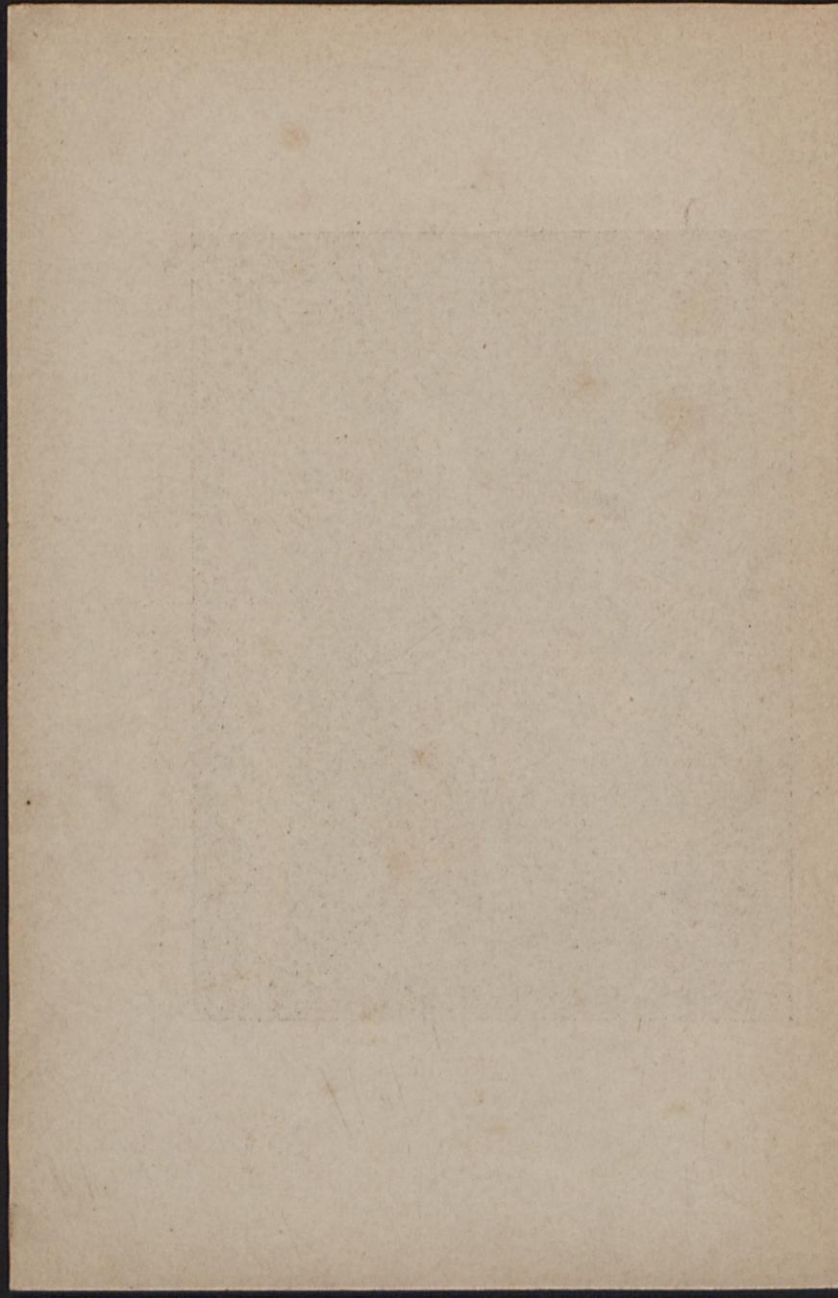


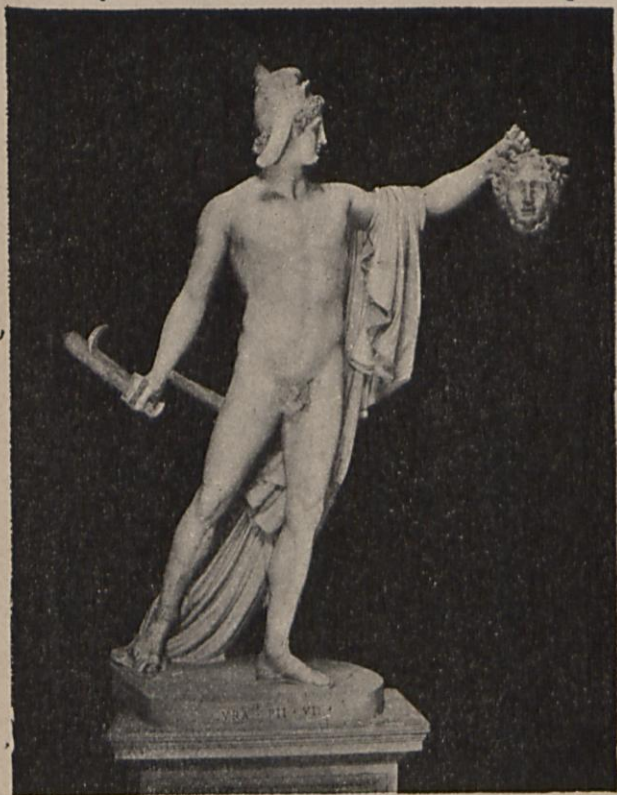
Rzym. Wenus kapitolńska.



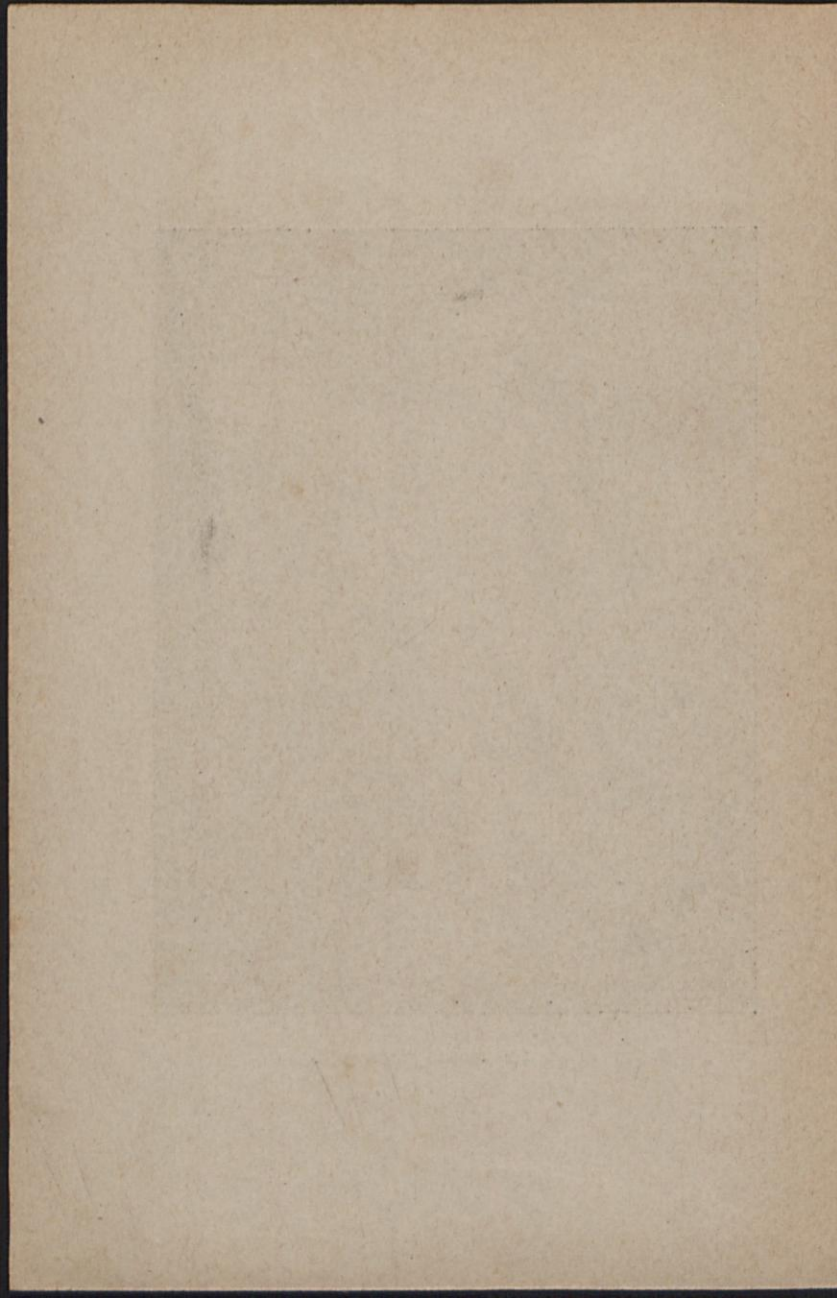


Rzym. Gladyator umierający.



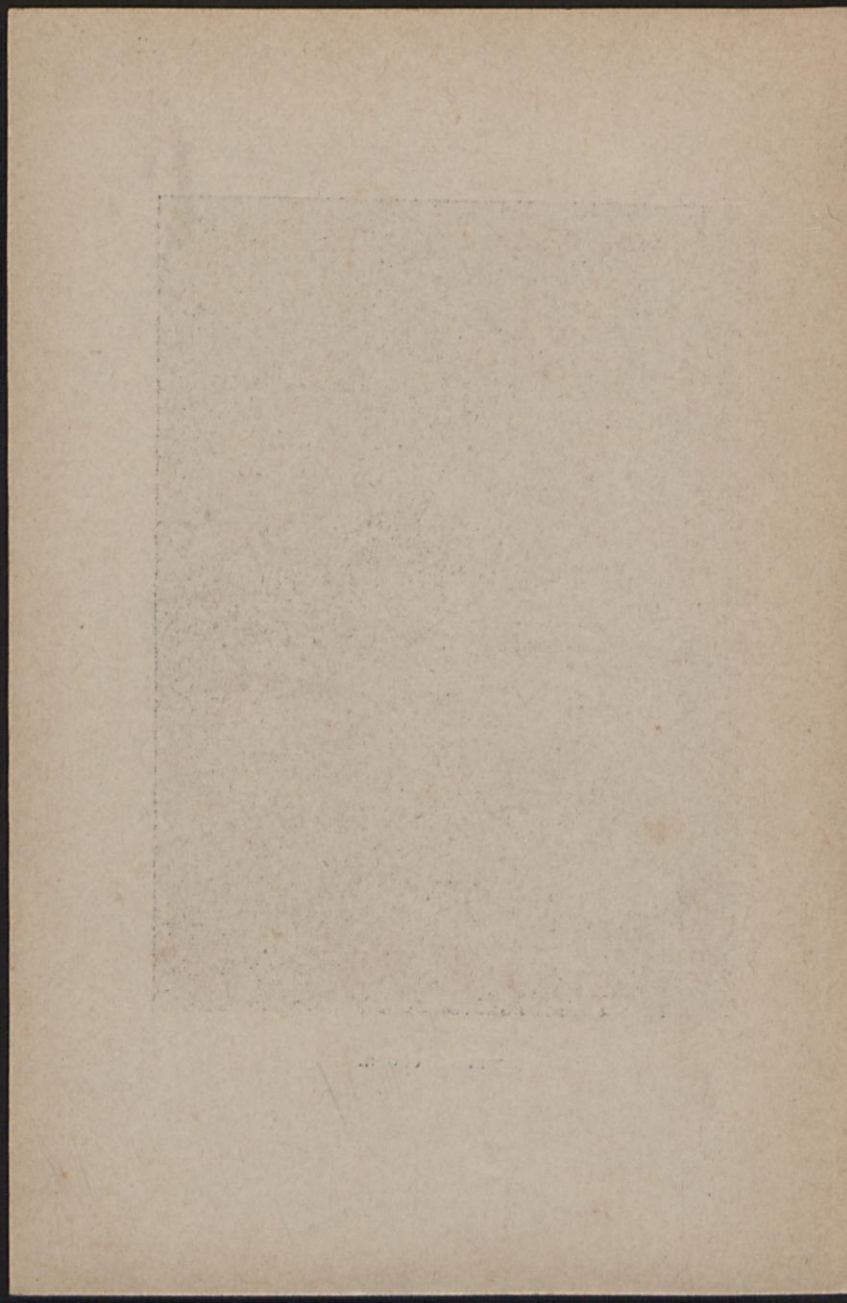


Rzym. Perseusz unoszący głowę Meduzy.



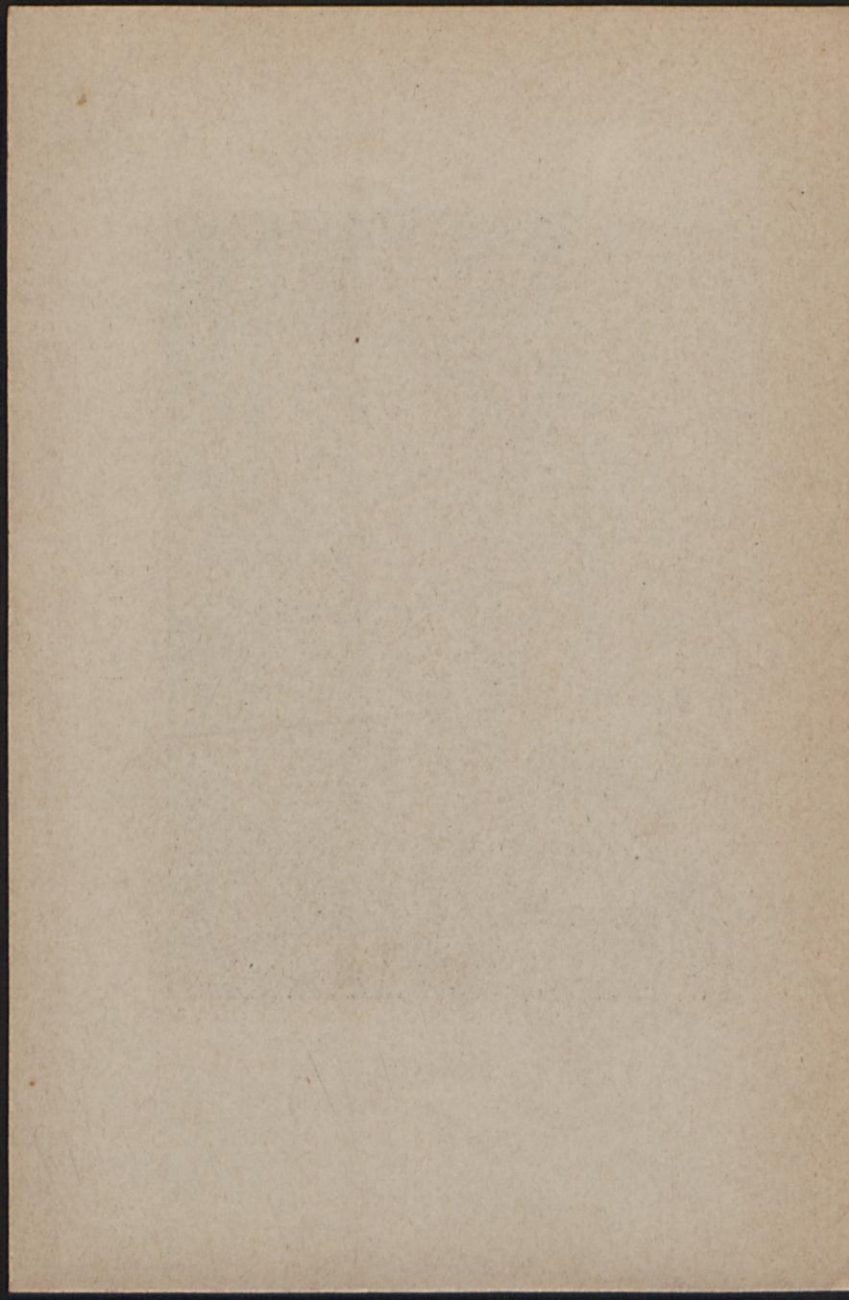


Rzym. Laokoon.



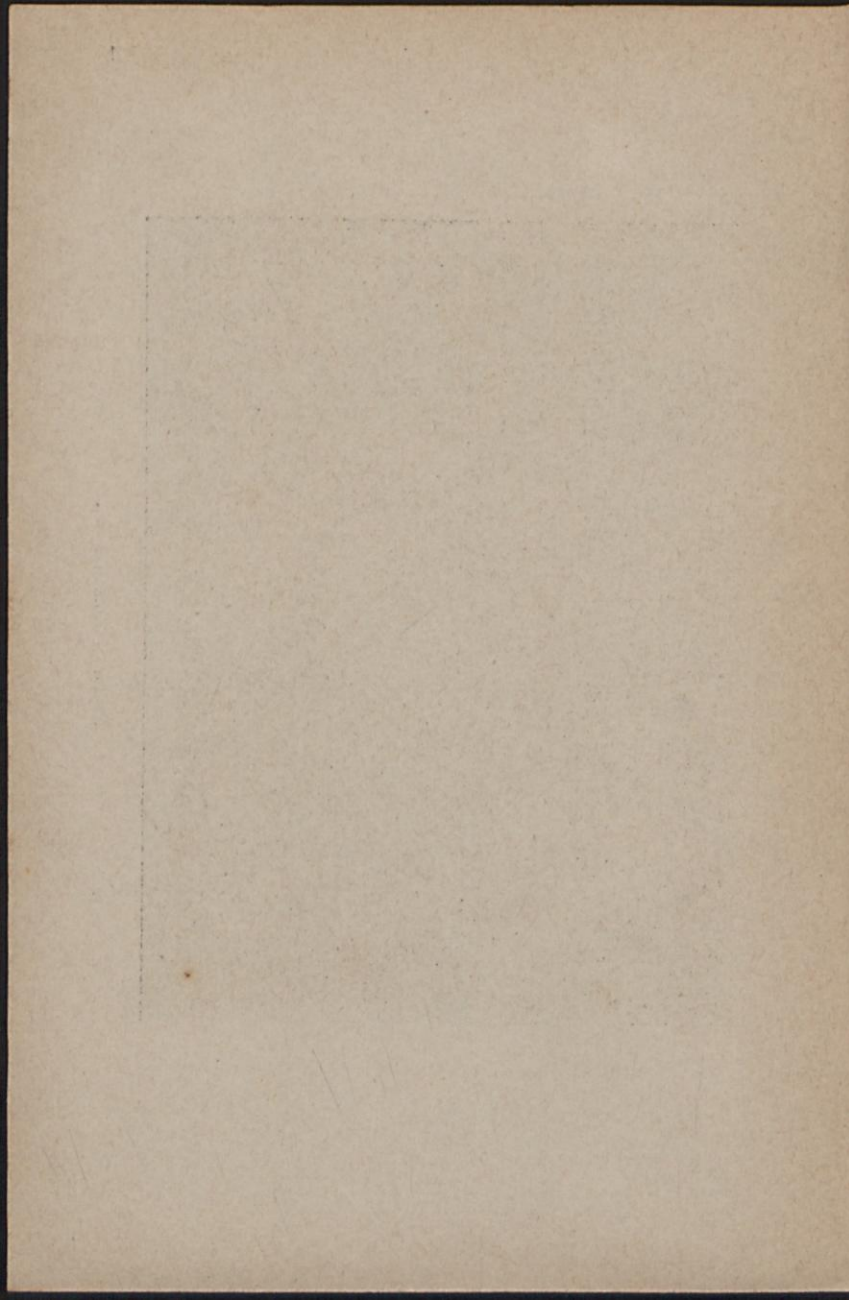


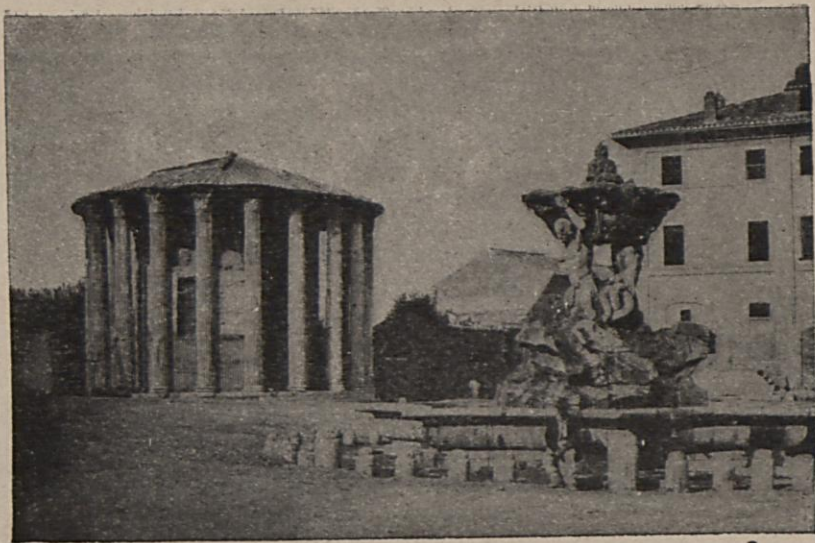
Rzym. Forum.



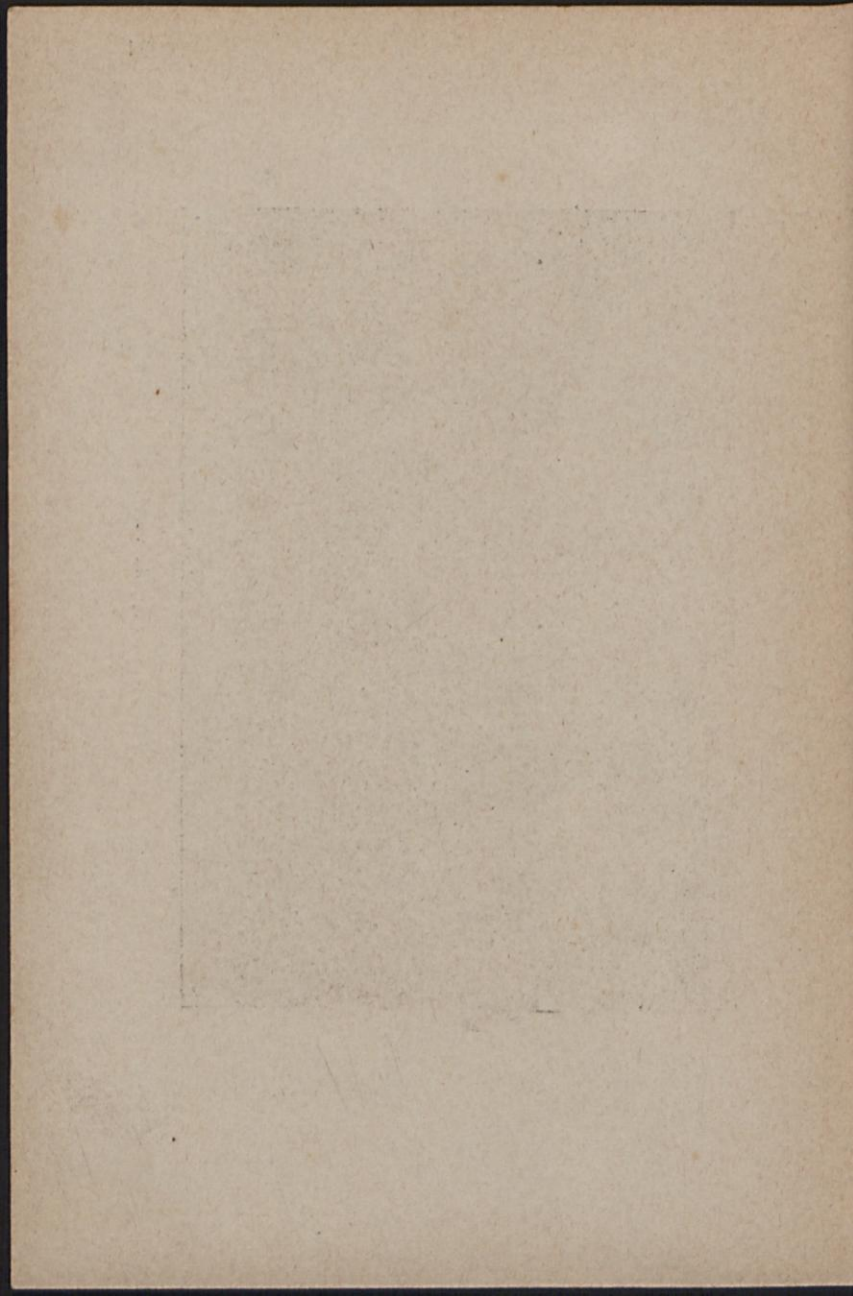


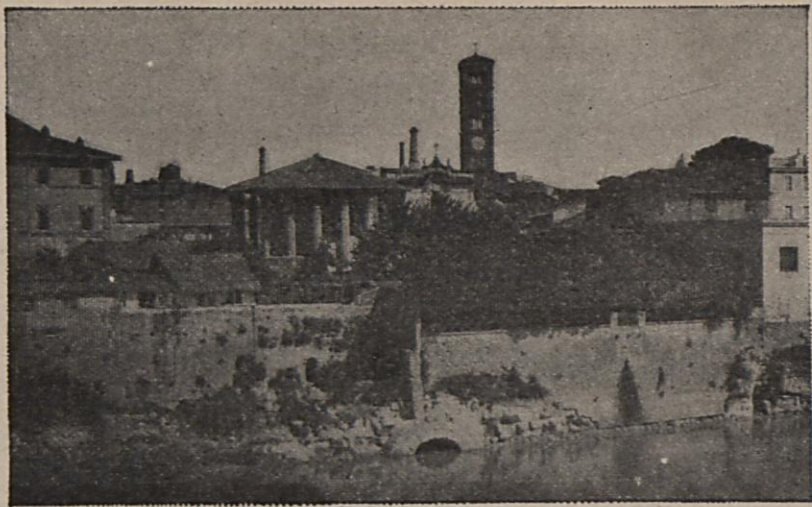
Rzym. Forum Trajana





Rzym. Świątynia Vesty.



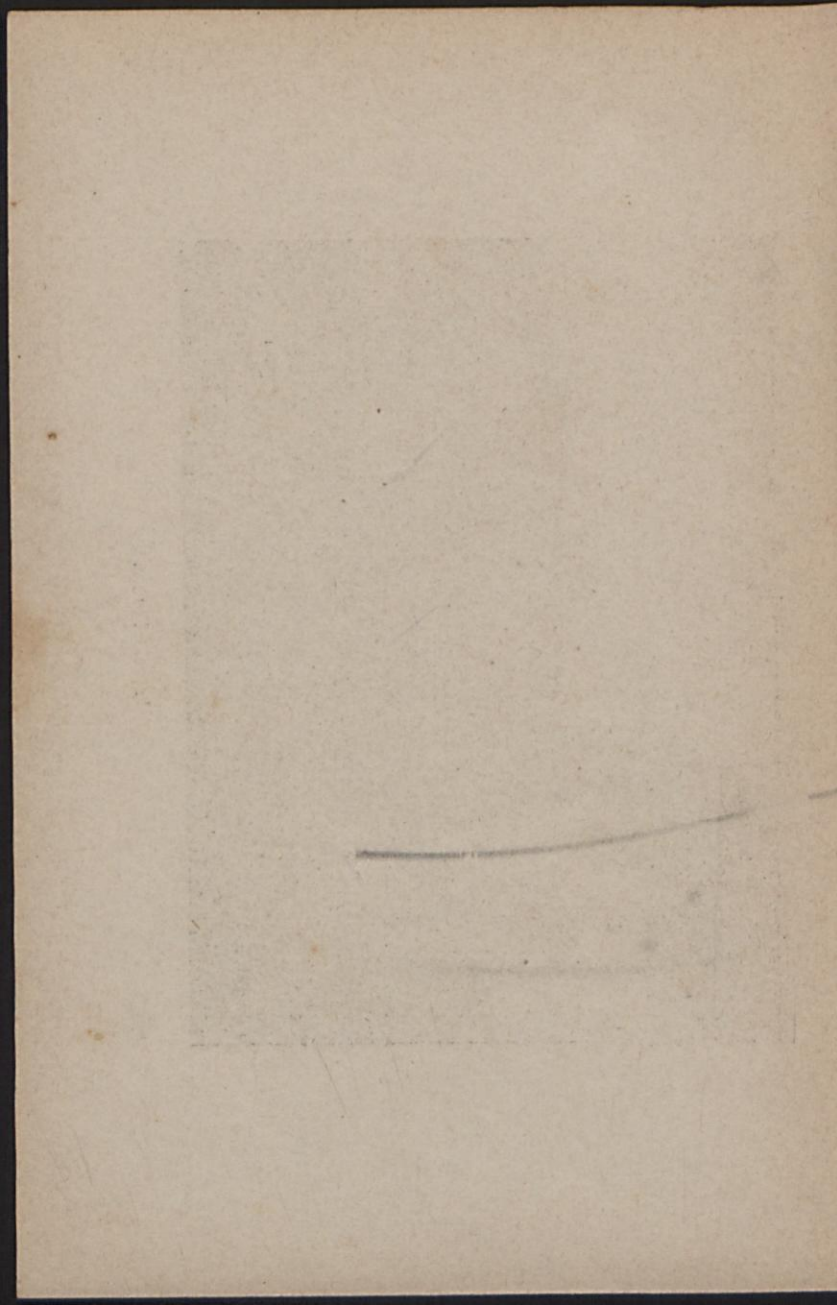


Rzym. Kanał Wielki.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

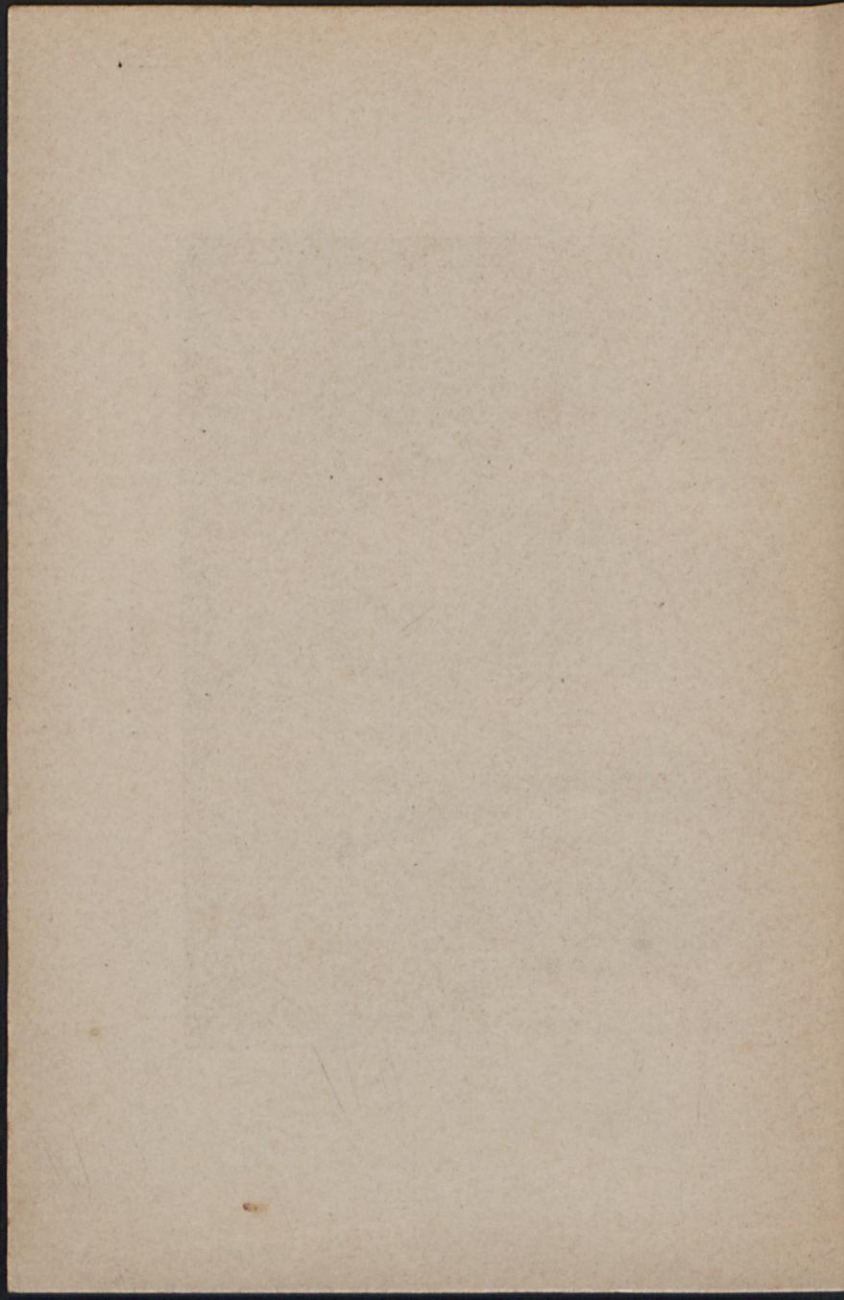


Rzym. Forum.



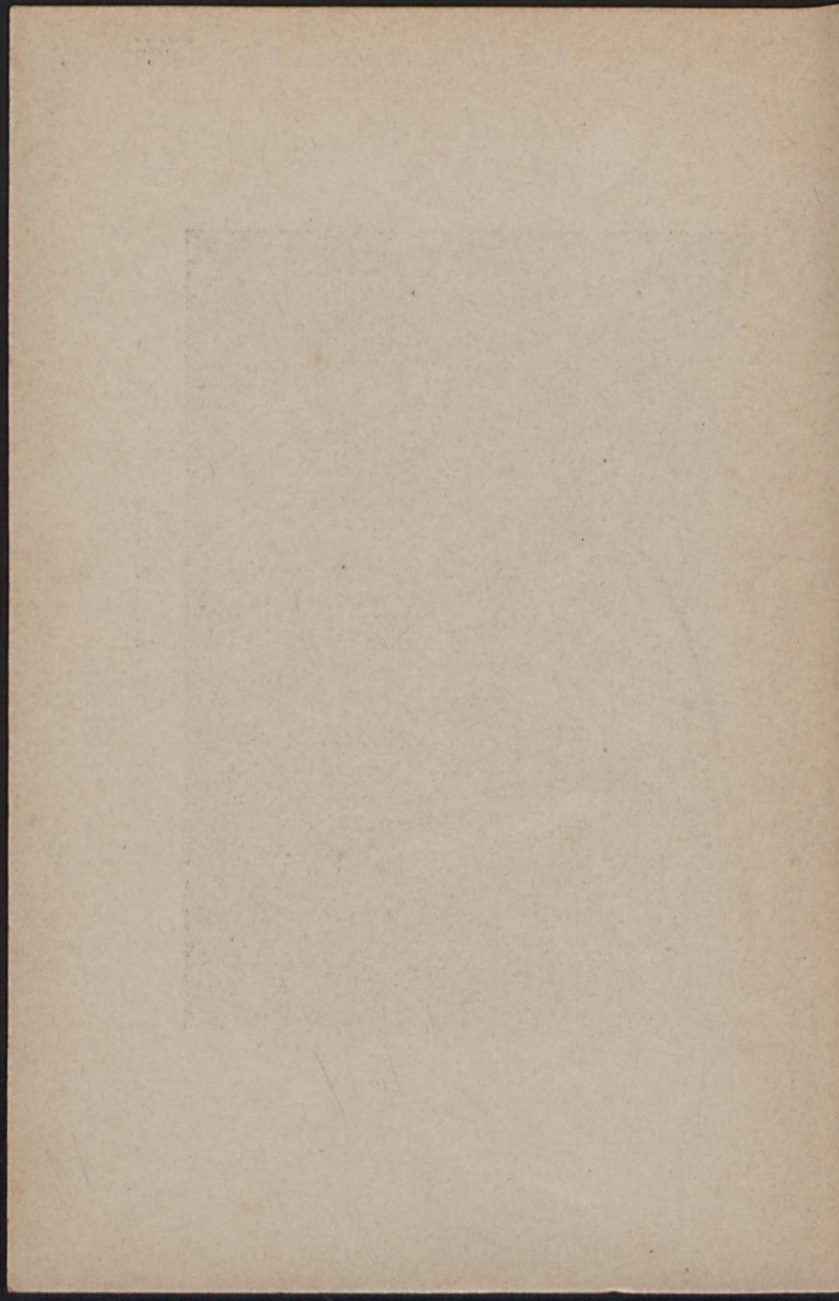


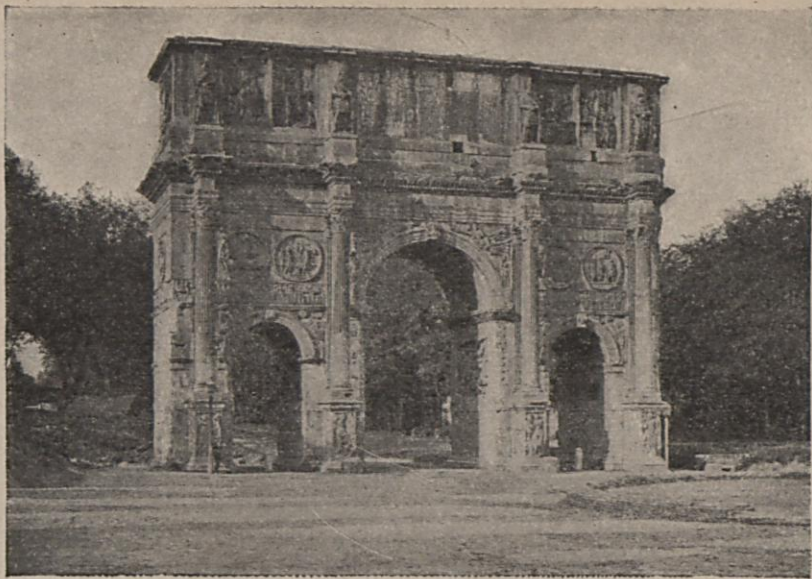
Rzym. Colosseum.



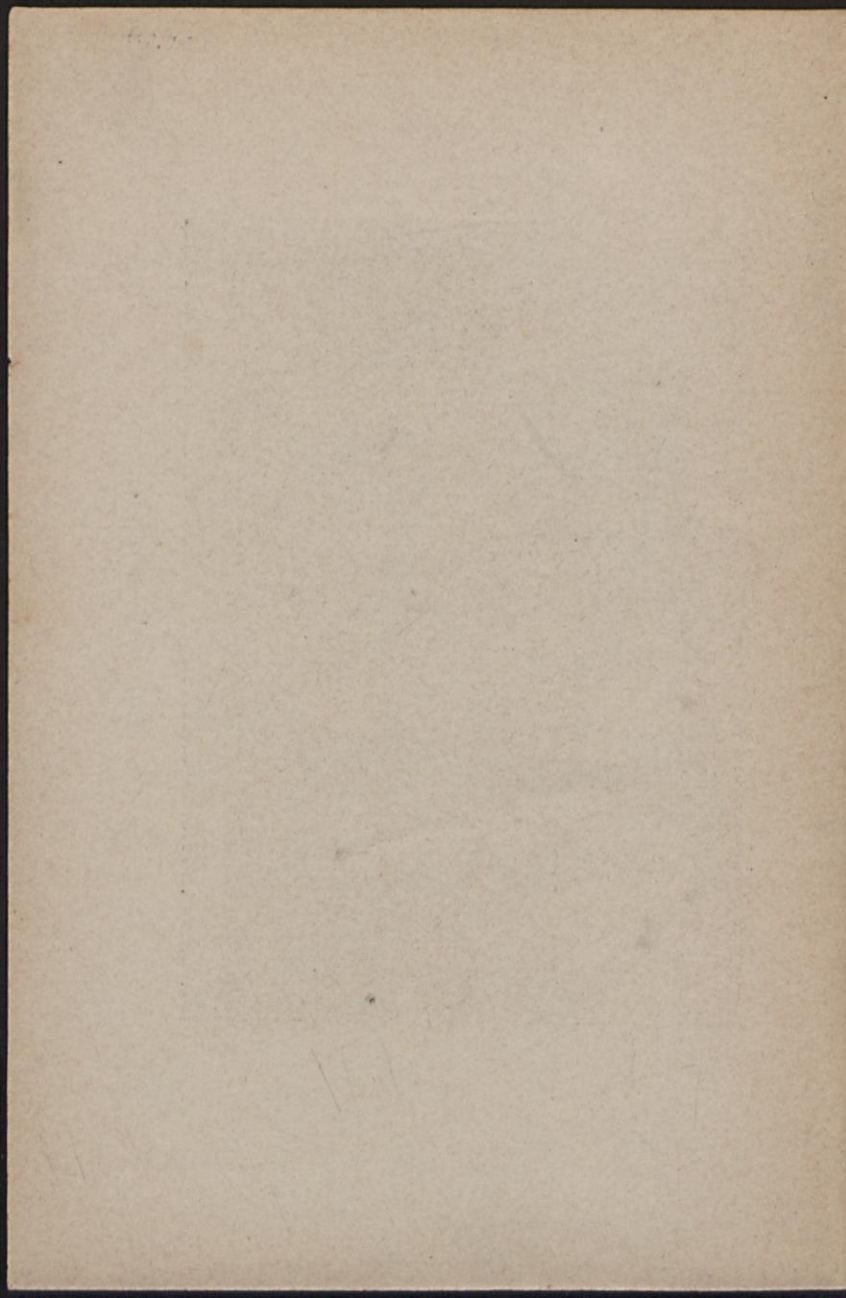


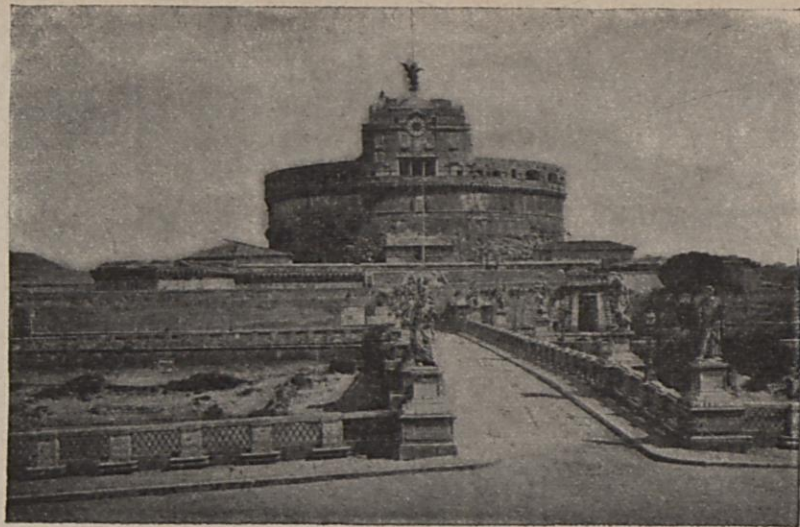
Rzym. Wnętrze Colosseum.



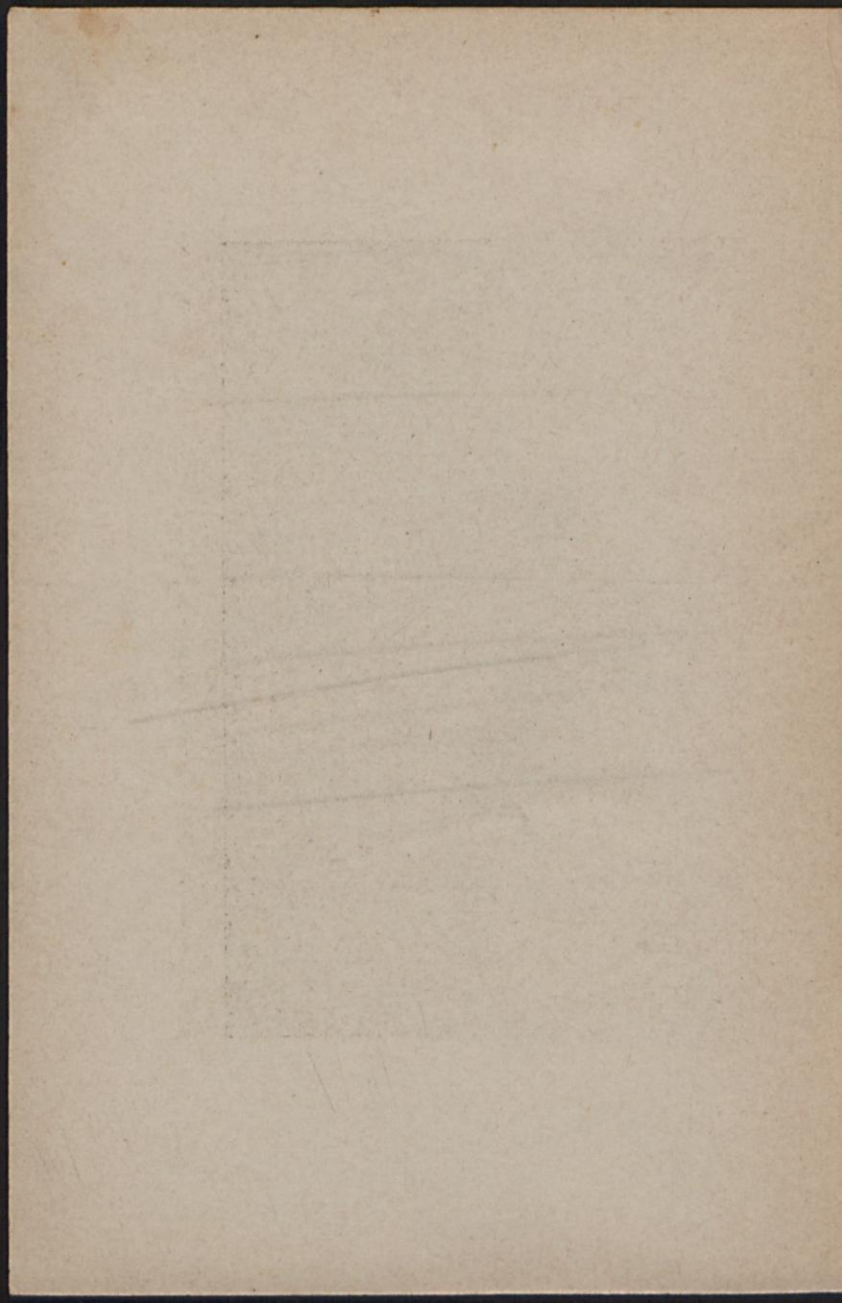


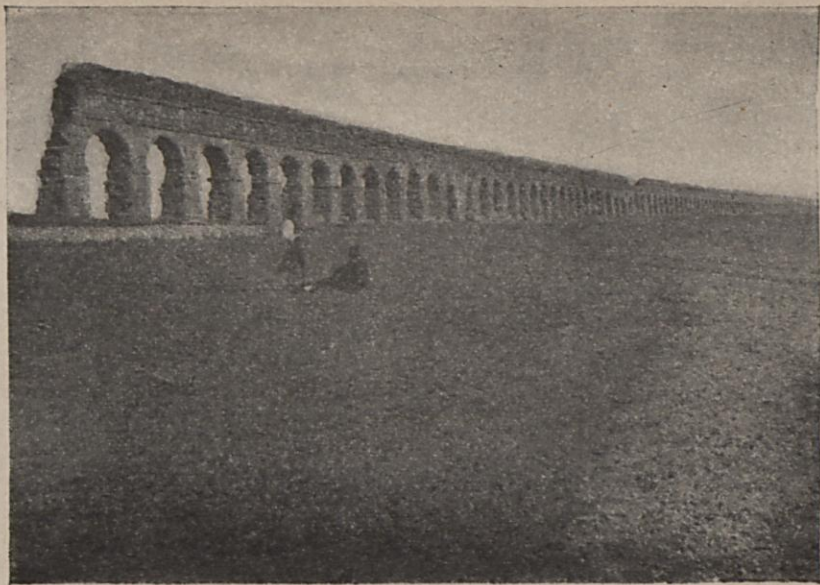
Rzym. Łuk Konstantyna.



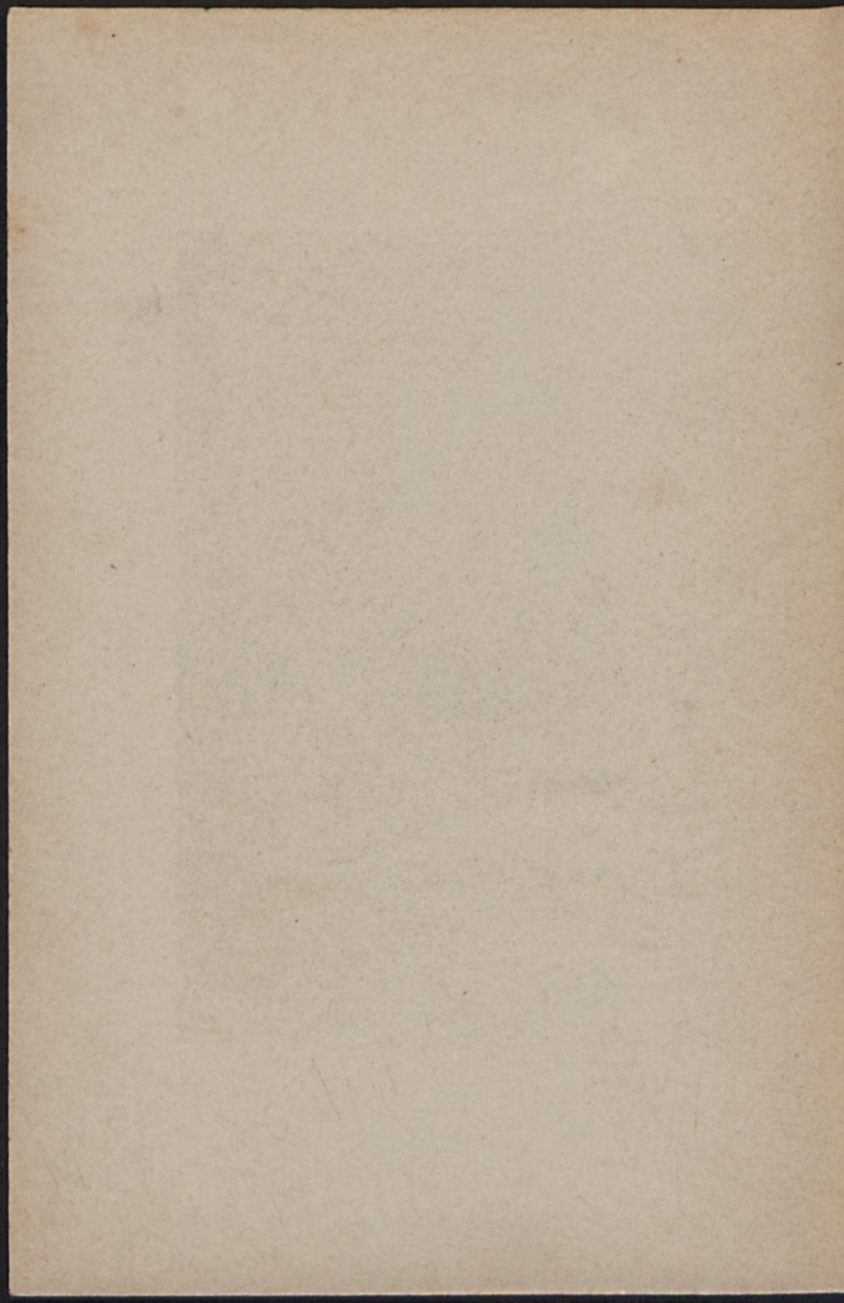


Rzym. Zamek św. Anjoła.



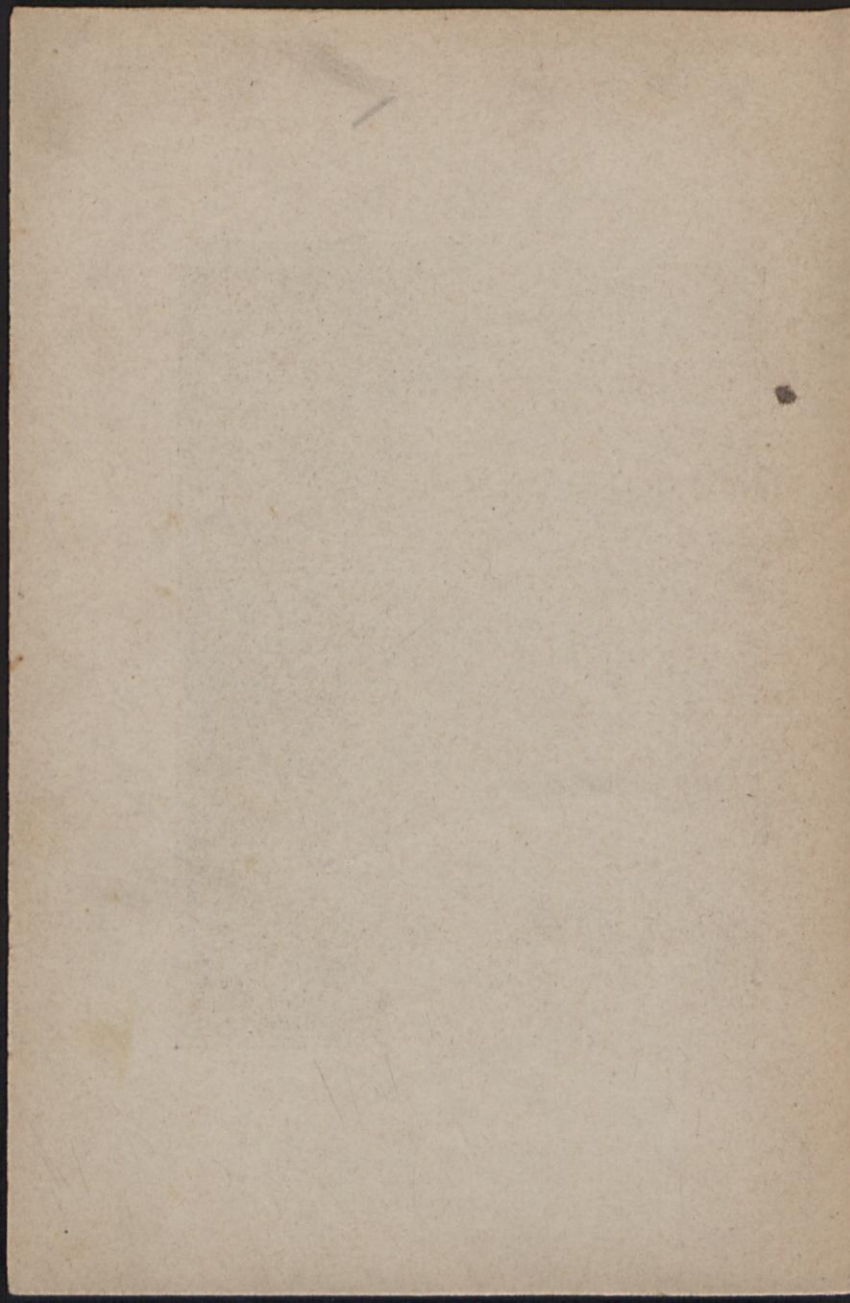


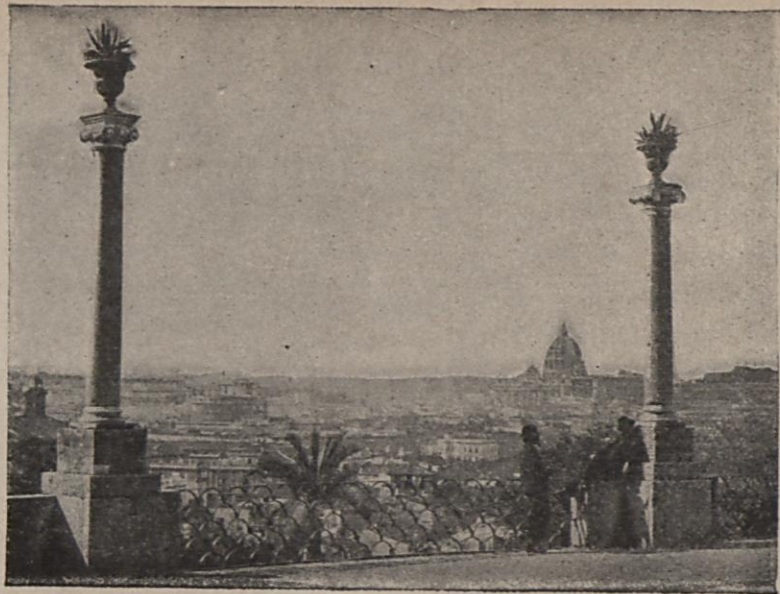
Rzym. Ruiny wodociągów.



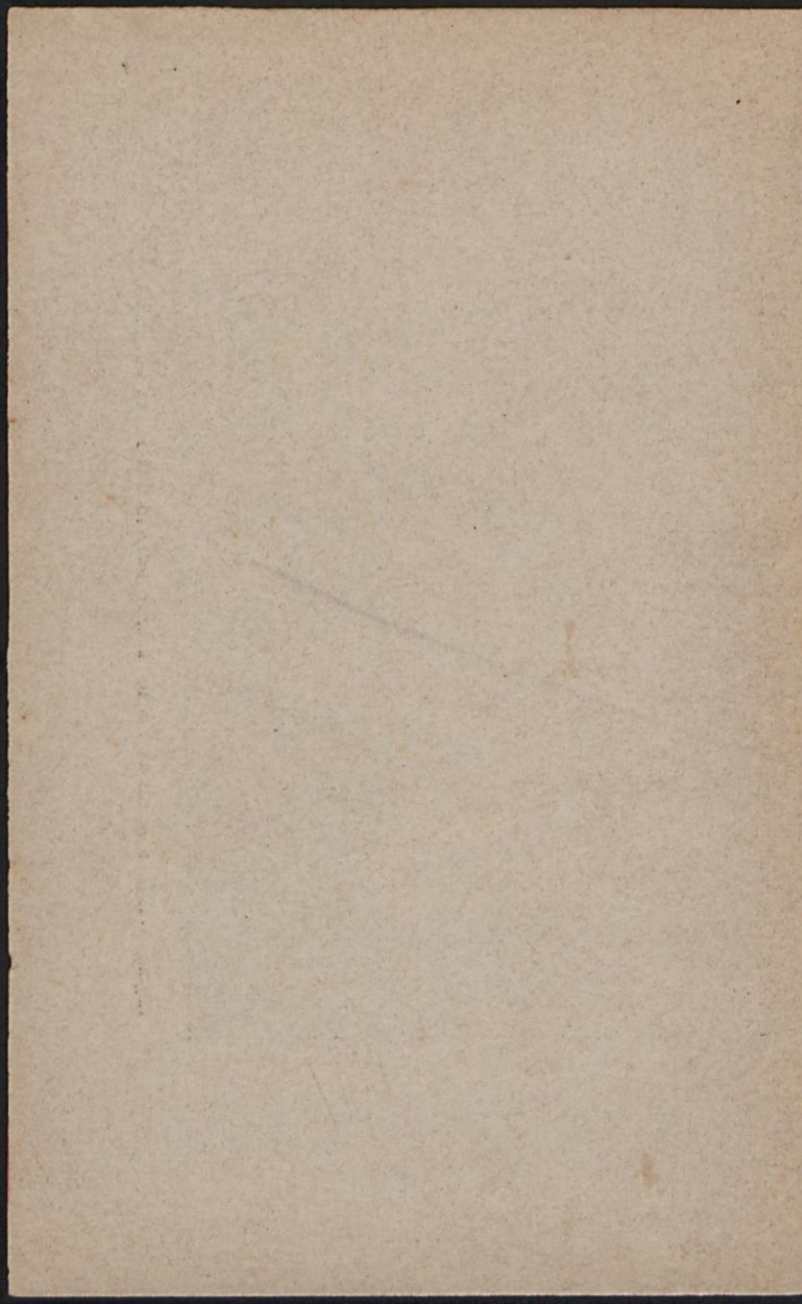


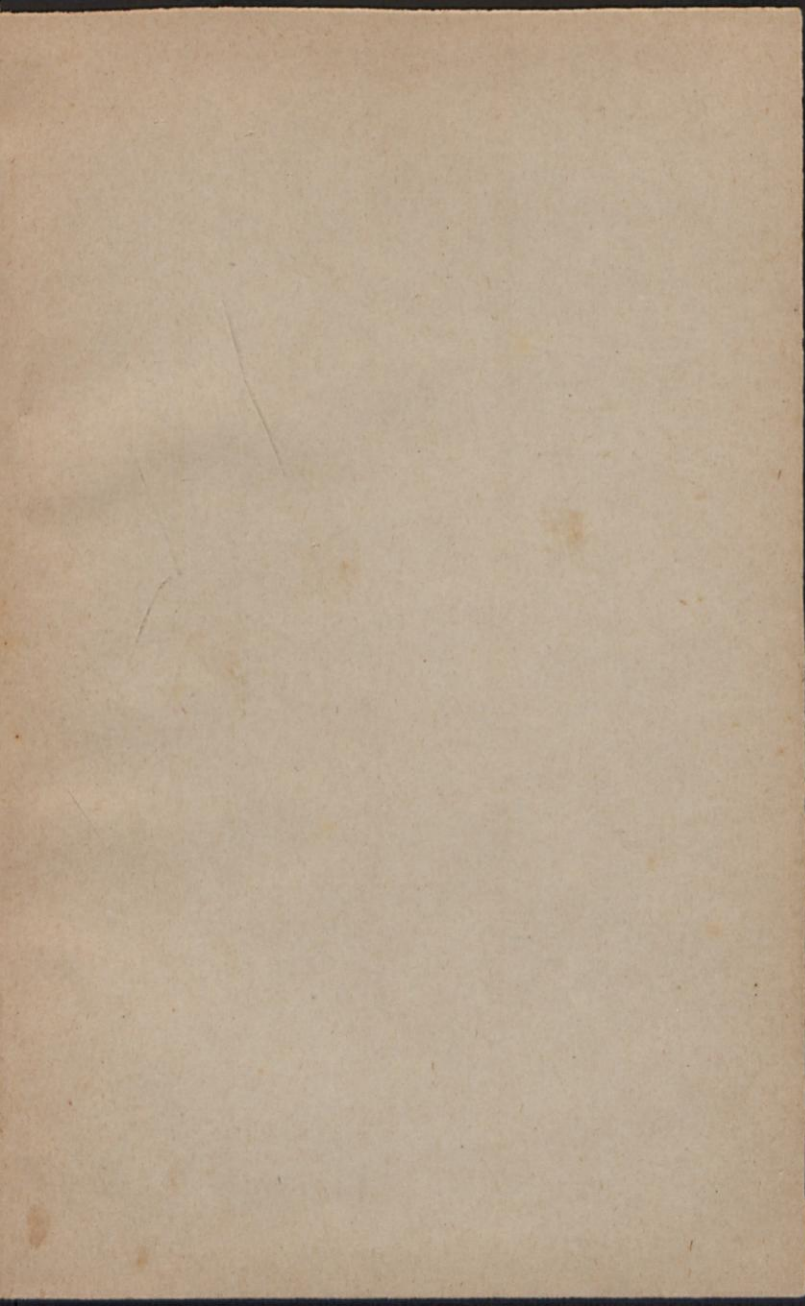
Rzym. Grób Cecylii Metelli.

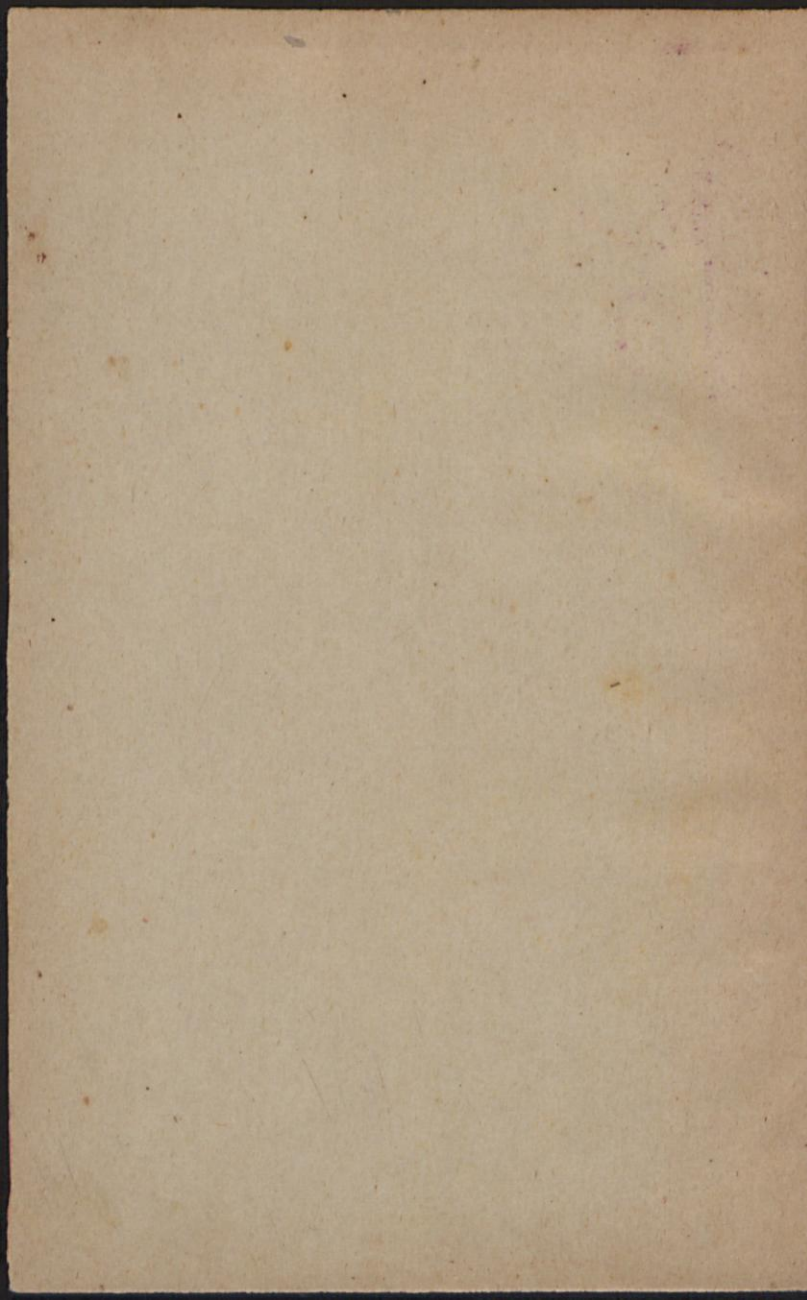




Rzym. Widok z Monte Pincio na kościół św. Piotra i zamek św. Anioła.







Książnica Zamojska



10258723

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

